

Michał Migar

EROTYCZNY
pamiętnik masażysty

Michał Migar

**Erotyczny pamiętnik
masażysty**

A stylized, handwritten signature logo in black ink, consisting of the letters 'M' and 'G' intertwined in a cursive, flowing manner.

Fatum

Nazywam się Adam Tobuz i urodziłem się, gdzieś u źródeł Sanu. Czemu zaciemniam? Bo dziś jestem ozdobą mojej ojcowizny i nie chcę, by mi ktoś z powodu tego pamiętnika wypominał przeszłość.

Gdyby mi powiedziano, że popełnię na papierze w swoim życiu coś więcej niż wypracowanie z Kochanowskiego, z sześćdziesięcioma trzema błędami, które w siódmej klasie mojej szkoły, dawało mi nie najgorsze, bo piętnaste miejsce, to ja bym ze swojej strony, raczej uwierzył w to, w co przecież żadną miarą uwierzyć nie mogłem, że mój ojciec, przestanie pić, chociaż on rzucić picia wcale nie zamierzał, tak, jak ja, pod słowem, niczego w życiu nie zamierzałem pisać. Baćkowa nahajka, której ślady po latach mydłem nie dało się zmyć, zniechęcała nie tylko do pisania. A gdyby matula część z tych, dla mnie przeznaczony wyrazów ojcowskiej miłości, nie przyjęła na siebie, to zapewne wyglądałbym, jak cętkowane, kacze jajo.

Nie dziwota, że często przemyślałem, jakby tu struć, ojca, po tutejszemu baćkę, na amen. W grę wchodziła trutka na szczury, wilcze jagody, atrament. Wilcze jagody były sezonowe, trutka za droga, atrament, dostępny wprawdzie, ale, jak tu zatrzeć ślady, prowadzące wprost do mnie, bo oboje ojce, tego do niczego nie używały.

W domu zostałem jedynakiem z woli boskiej, bo całą resztę rodzeństwa, powołała, ta sama wola, wcześniej, do siebie. Miałem jedyne serdecznego bracha Włodka, i gdyśmy tak z moim brachem grzeszyli w kułak za stodołą, Włodek mówił niezmiennie: „Masz ty, brachu, oj masz ty zaganiacza, fu, strach patrzeć!” Nic dziwnego, że nabrałem przekonania, że jestem jakimś zaprzańcem, a nie stworem boskim. A to i ojciec był tegoż zdania.

Rozpocząłem naukę w Technikum Mechanizacji Rolnictwa, w powiecie i postanowiłem w przyszłości postąpić na służbę bożą. Moją, uwikłaną w starowierstwo duszyczkę, na prostą, ku panu Bogu drogę, jał wyprowadzać proboszcz, nasz szkolny katecheta. Żadnych formalności mi nie czynił. Nauczył i pozwolił ministrantować. Dostałem od duchownego panczeny, które, na wszelki

wypadek zakopałem, w żelaznej skrzynce po gwoździach, w sobie tylko wiadomym miejscu. Na wieść, że służę do mszy w katolickim kościele i się odszczepiłem od naszej wiary prawosławnej, ojciec chwycił za nahaj, ale wrzasnąłem, że uderza w konstytucję, za co mu władza rękę po ramie utnie. Splunął za siebie ze trzy razy i wyniósł się do karczmy.

Po lekcjach, najczęściej zostawałem na trochę w bożym domu, posprzątałem, posiedziałem w ławie, czasem usłużyłem do ceremonii zaślubin czy pogrzebu. Chciałem służyć Bogu, ale i grosza potrzebowałem. Byle by zbiec przed pokusą grzechu wszetecznego i nie czyniąc ujmy detce, dać przystęp aniołowi. Widać było w tym moim postępowaniu coś na rzeczy, bo dostałem od duchownego również wieczne pióro, które schowałem wraz z panczenami.

Anielskie dary jednak się detce nie podobały. Słowa diabeł nie śmiałem użyć, palcem nie wytykałem. I tak wie się, o kogo chodzi.

Zamiast dary zabrać, jeśli już tego koniecznie chciał, to on podburzył mojego bracha Włodka. Inaczej być przecie nie mogło. Wzbudził w nim srogą do mnie zawieść. Brach mój zdradził na wsi okropny sekret „wielgachnego”. Teraz na potańcówkach, nie mogłem się wprost odpędzić od dziewczuch, które potrafiły przyjeżdżać do nas z daleka, żeby się do mnie przytulać, piszczeć i srom mi robić tak dotkliwy, że czasem przestałem w ogóle na potańcówki chodzić. To, i nie było wątpliwości, że maczał w tym palce detko, a wszystko dlatego, że przedwcześnie go zlekceważyłem, bo go nazwałem przy duchownym po biblijnemu, szatanem.

Tego roku zima srożyła się na dobre. Rzekę skuł lód, po którym, jak po lustrze, do powiatu i z powrotem mknęły dzwoniąc dzwoneczkami dziesiątki chłopskich sani. Wśród nich, wzbudzając głośne okrzyki zdumienia, z rozwianym włóczkowym szalikiem, jak torpeda, na moich anielskich, błyszczących panczenach mknął ja. W tym dnia słupek rtęci spadł poniżej dwudziestej kreski. Po lekcjach ochędożyłem dom boży. Duchowny rzekł:

— Zostań dziś, Adamie u mnie. Zimno, do twojej wsi nikt nie jedzie. —

Błysnął w uśmiechu, złotym zębem, którego mu zazdroszczono.

Podziękowałem dobrodziejowi.

Żona organisty, ze strzelistymi, jak wieże kościelne piersiami postanowiła uzupełnić mój niedobór kalorii, tak, jak się dolewa olej do traktora. Miałem jeść. Natarczywie się we mnie wpatrywała, zagryzała wargi.

– Wielebny kazali, żebyś szedł pod prysznic. Wcisnęła ręcznik.

Wlazłem. Przybytek, w życiu czegoś takiego nie widziałem. Ciuchy precz i dotykałem cudzeniek. Wrzasnąłem pod strugą lodowatej wody i bryknąłem z łazienki. Baba, jakby czekała. Wbiła wzrok w moją odpychającą męskość. Bryknąłem z powrotem pod kaskadę ciepłej już wody. Ha, чудо!

Zapach konwalii, w mydle.

Z chmur spadłem na ziemię. Szturchnęła mnie zimna ręka. Zza wodnej firany sterczała naga ręka gospodyni. Zmierzała do wielgachnej męskości.

– Coś cie? – wrzasnąłem. – Powiem wielebnemu.

Jak groch o ścianę.

– Nie darmo gadali we wsi. Jak kłonica – mruzczała.

Oczy organiścichy jarzyły się bursztynowym blaskiem. Uciekać? Zimna ściana. Ręką go ucapiała. Wychynął ze szczeciny nieproszony na światło dzienne olbrzymi, nagi, naprężony, jak jakaś fioletowa maczuga.

„Spietra się” – przeleciało mi przez myśl. Tak, by było, gdyby była kobietą. Była detkiem. Była detkiem pewnikiem, bo i śmiałyby sięgać po wielgachnego, co nie był jej? Przestało chlapać.

– Oduść, że mi, nie uchodzi pod dachem duchownego.

– A skądże.

– Sam diabeł ci go przyprawił – powiedziała, oglądając z wypiekami na twarzy narzędzie szczególnych dla kobiety tortur. Tak przynajmniej wtedy o tym myślałem. I ciarki mi po plecach przeszły.

Jakbym słyssał swego ojca. Musieli o czymś wiedzieć, czegom ja nie wiedział. Oglądała go w całej ohydnej okazałości, wielkiego, jak zardzewiały skobel u wrót stodoły.

Sięgnęła krocza. Odnalazła wprawna ręką dwie uciekające kulki. Stanęła w ogniu, niczym żagiew pod kotłem w chlewni. Podbrzuszem przebiegły mi dreszcze.

Wielgachny podnosił się i spadał, jak szlaban na przejeździe.

– A mnie byś ty sobie nie obejrzał trochę? – stęknęła. – Nałykałam się ja tych waszych męskich słodkości. Z wielebny mi nie wyjeżdżaj, też człowiek.

Organiścicha rozerwała przy szyi bluzkę, i rzuciła się na ten, ów, mój szlaban i wepchnęła go sobie w szczelinę między piersiami. Stała przede mną na kolanach, twardymi cyckami ogarnęła wielgachnego, że skrył się jak kułak w wyrobionym cieście.

Widziałem nieraz piersi mojej matki, ale gdzie jej do tych. Miała ciemne, sterczące sutki. Po raz pierwszy zobaczyłem, że cyckami nie tylko karmi się dzieci. Nagle odchyliła się do tyłu, by ukazać tłuste, wysoko obrośnięte krótkim włosom, rozwalone na boki uda.

Gołą rzycią siedziała na lakierowanym stołeczku. Nie siedziała. Jak ślimak wraz ze stołkiem pełzała w moją stronę. Na zydelku zostawiała wilgotny ślad. Palce mojej stopy wcisnęła między te rozłożone uda, pod kotkę, w gorące, śliskie siedlisko. Spomiędzy jej rozwartych kolan łypało na mnie tajemnicze, przekrwione oko otoczone wijącymi się czarnymi rzęsami. Ześrodkowałem całą swoją uwagę na tym podniecającymi i przerażającym zjawisku. Niczego podobnego w życiu nie widziałem. Komuś złorzeczyła, stękała. Brykała nogami, chrumkała jak maciora, ruszała biodrami i wciąż nie zamykała przepastnego oka, jakby wabiła nim moją spęczniałą maczugę.

Dostałem dreszczy, ni to ze strachu, ni to z innej przyczyny. Wielgachnego znowu wejcowiała spoconymi piersiami. To było coraz przyjemniejsze, o furę przyjemniejsze, niż to, co robiliśmy z moim brachem Włodkiem za stodołą. Potężna rozkosz drażyła mi krzyż. Wziąłem się na odwagę i dotknąłem jej cycek. Troskliwie je gładziłem.

Wymykały mi się z rąk, więc je zażyłem sprytnym chwytem z pod spodu i zacząłem mocno miętosić. Bawiłem się nimi z coraz większą pasją widząc, jak kobieta wije się w jakichś cudownych, niewysłowionych mękach. Pocałowała moje ręce. Schyliła się. Kłęb mego sprężonego mięsa dotknął jej ust. Trysnął, aż się zachwiałem.

Kołysała się w przysiadzie na palcach mojej stopy, wyprężyła się. Zarechotała i nagle ryknęła, jak zarzynane ciele. Na czworakach pod razami bykowca, padając od uderzeń męzowskiego buta, jęcząc i błagając o litość, skryła się w głębi pomieszczeń. Kopnąłem się do ucieczki, ale czerwony na gębie organista był tuż. Uderzył bykowcem, jakby chciał przeciąć na pół. Uch! Bolało. Rąbał we mnie, jak tłuczkiem w wieprzowy kotlet.

Leżałem przed nim bezbronny.

– Ja, panie, niewinny! – jęczałem.

Oszczędziłby mi dalszych lat życia, gdyby nie postać duchownego. Na wyjaśnienia nie liczyłem. Łaski się nie dopraszałem. Ciuchy w garść, panczeny też, i na mrozie potykając się, padając i podnosząc, biegiem do rzeki. Naciągałem ciuchy na zorane od razów ciało. Więcej niż bólu, organisty, mrozu, a może i śmierci, bałem się baćki.

Dopadłem wyrastających wprost z lodu wiklin. Rzeka ciemna po obu brzegach środkiem lśniła uciekającą i ginącą gdzieś w poświacie księżycy wstęgą. Srebrnym, lodowym szlakiem, poturbowany i zniewolony, pomknąłem na darowanych mi przez księdza łyżwach.

Kłębiły mi się czarne myśli i najgorsze przeczucia. Grzeszyłem w kułak, o czym wspomniałem, podobnie, jak chłopcy ze wsi, ale tylko mnie nachodziły myśli, że anioł za tym nie stoi. A jeśli nie anioł to, kto? Ojciec był pijakiem, ale głupcem być nie musiał. W pijanym widzie, dostrzegł widać stojącego za mną detkę.

– Insze dzieci klęczą u stóp najświętszych, ty u kopyt kosmatego – żartował w rzadkich u niego chwilach wisielczego humoru. Matka milczała, miała to w charakterze.

Próbowałem, odstąpić detkę, służąc do mszy. Nasłał na mnie wiedźmę i złoił bykowcem. Zresztą. Może ten „wielgachny” dla kobiet rozkwitłych jest cymesem, a bykowcem bił mnie i ją za karę anioł? Nie na mój skołatany rozum to było. Im bliżej chaty, tym mocniej ścisnął gardło strach. Niechby baćka był spity. Spalbym w stodole zagrzebany w ciepłym, fermentującym sianie. Gnałem. W zwężeniu rzeki cień mój zderzył się z drugim, niższym, wydłużonym. „Detko” - przemknęło mi przez myśl.

Nie mniej groźne od bezcielesnego, okazały się cielesne wilki. Naliczyłem trzy. I choć mi życie było niemiłe, zdwoiłem prędkość. Byłem na lodzie nieosiągalny. Na skarpie wyrosły zaśnieżone chaty ze strużkami sinawego dymu. Ścigający kamraci detki, wsiąkli w czerń lasu. Pocieszenia nie było. Jasne okno chaty zwiastowało najgorsze. Ruszyłem do stodoły, ale w drzwiach chaty stanął baćka.

– Kto? – warknął. Kopniakiem nakierował mnie na sień.

– Psia jucho? – Chlasnął mnie otwartą dłonią w ucho. Cofnął się i spoglądał, to na swoją rękę, to na moją twarz. Przysunął wiszącą żarówkę do mnie i splunął z odrazą. Zauważyłem, że był tylko w koszuli, bez swoich długich gaci. Matka leżała na wyrku zupełnie bez sił, jakby ciężko zaniemogła. Jedna noga zwieszała się na podłogę. Gdy wszedłem zawstydzona się i z trudem okryła kołdrą. „Widocznie ją swoim zwyczajem napastował” – kołatało mi się we łbie.

– Zaprowadzi cię ten twój orczyk do grobu. Od urodzenia zwisał ci jak bat budząc zachwyty tylko położnej. Patrząc, dzieciarów naznoszą – zawyrokował baćka. Porównał mnie z nierogacizną. Moją biedną mamę obarczał winą, że wydała na świat dziwolągą i suponował, że dopadł ją w kartoflisku jakiś zwierz. Powtarzał to często po pijanemu i zgryźliwie rechotał.

Matka boso wylazła z łóżka, coś narzuciła na grzbiet, zdjęła ze mnie wilgotne ciuchy. Nie zdradziła, że mi brak gaci i skarpetek. Na widok pleców jednak załkała.

– To tak! – ryknął baćka, w którym obudziła się nagle pijacka drażliwość. – Kto?

Milczałem. Organista sługa boży. Jak wytłumaczyć, że byłem ofiarą detki, a później anioła? Kto to zrozumie? Po prawdzie i ja tego nie rozumiałem. Napytałbym tylko nową chłostę. Ale ona była mi widać i tak sądzona. Baćka zdjął z drzwi splecioną z gumowych kabli nahajkę, której smak w równej mierze znaliśmy koń, ja i matka. Sparciała guma odsłaniała w wielu miejscach cieniutkie miedziane włókna. Przecinały skórę jak żyłotka.

Zakryłem twarz rękami, a ojciec smagnął mnie ostrzegawczo po łydkach. Matka chwyciła go pod kolana. Zdzielili i ją. Wiła się, jak pokutnica łyskając gołym ciałem. Brakowało mi sił.

– Organista – wycharczałem.

– Organista?! – wrzasnął z niekłamany zdumieniem. – Teraz ja mu wyrznę.

Bačka nie zapomniał mi odstępstwa od naszej wiary prawosławnej.

– Zakryjże cycki i rzyć! – ryknął na matkę. – Łachy! – Wyskoczył na dwór i nie bacząc na noc, założył konia do sań. Do sań wrzucił widły i nahajkę.

– Tam wilki – ostrzegłem w nadziei, że poniecha zamiaru.

Lecieliśmy lodową wstęgą i tym razem księżyc świecił prosto w oczy. Bačka pokrzykiwał, złorzeczył, sanie łomotały, źle kuty koń ślizgał się i łapał równowagę.

Dygotałem z zimna i bezsilnej rozpacz na myśl, co mnie teraz tam spotka. Świsnęła nahajka raniąc koński zad. Wałach zarył kopytami. Obrócił spieniony pysk i łypnął złym, lśniącym okiem. Katapultował okute tylnie kopyta wprost w siedzących za nim ludzi.

Ciemność

Leżałem okryty derką, ale ciepło nie było. Miałem pod głową miękką poduszkę, ale miękko nie było. W głowie żarzył się ból. Ciało odstawało od kości. Powieki, jak sklezione żywicą, ani rozerwać. Puściły. Wokół ciemno. Może ja w grobie? Pochowali. Słyszało się o tym. Krzyk z pod ziemi, to boją się, że dusza potępiona tak krzyczy.

Spociałem się.

– Mamo! – wyszedł z tego nie krzyk, tylko jakieś zardzewiałe skrzypienie.

Strzyknęło w głowie.

– Żyjesz? – szept matki był ciepły i wilgotny. – Ojca będziemy grzebać.

Przywieźli nieboszczyka ze szpitala.

– Żyję – snułem przez chwilę radosne nadzieje.

Oczy miałem otwarte, a matki nie widziałem. Ciemność czarna i bezdenna.

Skądś sączył się monotony i pluskliwy szmer. Baby odmawiały antyfonę „Zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z tobą, błogosławionaś...” Wydawało mi się, że cały świat zamarł w grobowym śnie. Zalatywało smrodem łożowych świec. Słodkawo cuchnęło padliną.

– To noc – wystękałem?

Długie milczenie. Czuję utkwiony w siebie wzrok matki.

– Jaśniutki dzień.

Zacisnąłem powieki do bólu i szybko rozwarłem. Raz, i drugi, żeby mogło się przetrzeć. Atrament. Mrok utkwił mi gdzieś głęboko w głowie i nijak go stamtąd wywabić.

Zawyłem. Koń-szatan zabrał mi wzrok. Zapaskudziłem łóżko. Smagnięty rozpaczą wyskoczyłem z wyra i noga uwięzła mi w pułapce. Wyciągnąłem przed siebie ręce. Uderzyłem w kłębowisko babskich ciał i w coś bardziej ohydnie miękkiego. Dłoń uwięzła w gorącym łożu, drugą, strzeliłem w czyjeś lodowate oblicze.

Izba wypełniła się dzikimi wrzaskami i przekleństwami. Bijąc i kopiąc, z

furią, ochryple mrużąc, wyrywałem się tym, którzy mnie trzymali, zataczałem się, padałem, biegłem gdzieś na czworakach i zanosilem się łkaniem. Uchwyciły mnie żelazne ręce i zadały zbawczy cios w tył głowy. Z błogim uczuciem senności, gdzieś się zapadłem.

Żyłem we śnie. Nie przerażałem się. Moje ciało. Właściwie go nie miałem i nie czułem.

Zdumiewałem się nieważkością. Unosiłem się nad rzeką miękko kierując rękami lot, nad piaszczystymi piargami, a na nich leżały opalające się dziewczyny. Czasem ich widok przysłaniały mi padające płatki śniegu. Nie wydawało mi się to dziwne. Nie wydawały mi się dziwne chmurki koloru fioletu i różowe pasemka mgły. Dziewczęta, śmiały się wesoło. Widziałem mego bracha Włodka, widać wcale żeśmy się nie pokłócili. Płynął pod wodą, jak czarny piżmowiec, a woda czyniła jego postać, jakby dłuższą. Płynąc falował, jak płaszczka, czasem ginął w złotych bąbelkowatych odmętach. Dziewczyny zoczyły go i piszcząc pokazywały sobie palcami.

Ukazywały mi się wysoko na niebie wieże kościelne. Czyściłem, stojące w szeregu kielichy i monstrancje, a wśród nich, również moje błyszczące panczeny.

Pod świętą figurą stała naga organiścicha, uśmiechała się do mnie, a mnie przez brzuch przeleciał znajomy dreszcz. Wypatrywałem jej potężnych piersi, ale ich nie miała. Wyciągnęła rękę i spostrzegłem, że jestem nagusieńki. Ktoś mnie szarpał za rękę i krzychał mocnym głosem. „Ja ci karzę, na pana naszego, Chrystusa, Zbawiciela.” Tak mogła się drzeć tylko Jewdokia, znachorka. Uwolniłem rękę z jej uchwytu i usłyszałem: „Wrócił do nas biedaczek.”

Niestety, wróciłem.

Wróciłem i moim marzeniem na jawie, była śmierć.

Znachorka wyrwała mnie ze snu, w którym pachniało konwaliami i maciejką. Drzewa, łąki i lasy miały kolory, a latanie dostarczało nieznanym wzruszeń. Wpędziła w ten mój czarny sen na jawie. Powieki miałem jakby z ołowiu. Odczułem wstrząs, a potem niejasne pragnienie samounicestwienia. Zrodziła się we mnie ogromna żądza śmierci. Po chwili mrużalem do miódookiego, który dowiódł boleśnie, że potrafi najwięcej. Poprosiłem go o pomoc w znalezieniu śmierci. Pomału

chwytła mnie maligna.

– Detko, ja chcę umrzeć...

Czasem mi się jawił. Miał wtedy twarz organiścichy, jej męża, mego ojca lub konia. Pomykał, jak cień wilka.

Rozpacz zżerała moje serce. W życiu najważniejsza jest przyszłość, a moja wydawała mi się równie czarna, jak czarno miałem przed oczyma. Bezradność wobec życia doprowadzała mnie do szaleństwa, któremu z wolna ulegałem.

Żebra się zrosły, szczęki też. Z wyciągniętymi rękami odnajdywałem nieliczne domowe meble i sprzęty. Pięć kroków na wprost, cztery w prawo, dalej drzwi do sieni, próg, sień, wyciągnięte ręce, drabina na strych. Osiem szczebli, właz.

Stąpałem na strychu, po ułożonych na obce pióro deskach. Podniesienie rąk. Udana próba odnalezienia trzeciej, poprzecznej krokwi. Dalej, aż do przecięcia się z inną, pionową belką. To właśnie tu, hak, na którym matka wiesza zimowe piernaty latem. Wolny, bo to dopiero wczesna wiosna. Ale go nie ma. Pewno o krokiew dalej. Jednak coś mi się poprzestawiało w głowie.

Przeraczkowałem poddasze. Była stara wysłużona maślenica przysypana w kąciku kawałkami ostrej blachy. Będzie zamiast stołka.

Ręce lepily się od krwi. Zawlokłem beczułkę. Wdrapałem się i natychmiast runąłem na strop strychu. Przez moment odechciało mi się umierać. Wyobraziłem sobie ze zbrunatniałą twarzą, sinym językiem wywieszonym w kierunku tego, co mnie znajdzie, zapewne matki, spoglądającego zbielełymi, jak cebule oczyma. Ale znowu stanąłem na chybotliwym szafocie, Wyciągnąłem rękę i nadziałem się dłonią na hak.

Teraz tylko sznur. Szorstki, nie gruby sznur. Tego i wódki w naszym domu nigdy nie brakło. Jestem panem swego losu. Uspokoilem się. Szło na Wielkanoc. Pomyślałem z nagłą o matce i zamiar odłożyłem na po świętach.

W święta matka otworzyła okno, żebym łyknął świeżego powietrza.

Słońce lizało mi twarz. Wytrzeszczałem oczy. Jaśniej od tego nie było.

Siedząc w krześle usnąłem. W miękkim, jak owcza wełna śnie, unosiłem się ponad wszystkim. Tak wyobraziłem sobie swoją śmierć.

Lot trwałby bez końca i wciąż oglądałbym coś niezwykłego. Szybowałem wyżej, i gdy miałem pewność, że zaczyna się mój lot w nieznanie, usłyszałem głos: „Nie martw się Adaś. Bierz ptaka. To szczygieł. Śpiewa. Lecę.” Dzieciak wsadził mi w ręce małą drewnianą klatkę i już go nie było.

Centymetr po centymetrze, jak drogocenną szkatułkę, obmacywałem palcami darowiznę. Drzwiczki, zawleczone z drutu, kawałeczek marchewki między drewnianymi szczelkami. We wnętrzu miotał się przestraszony ptak. Widziałem go oczyma wyobraźni, był kasztanowy. Objąłem i przycisnąłem klatkę do piersi. Odmierzyłem kroki. Sięgnąłem po wypukłą okładkę książki, nagrodę szkolną, „Bajki Braci Grimm”, resztę wywaliłem na podłogę zrywając z przeszłością. Na półce postawiłem klatkę.

Czekałem na dzieciaka, dam mu w nagrodę bajki. Ze dworu powiało chłodem, chłopca nie było. Za mną brzęknęło, jakby gitara. Zaszleścił trzepot maleńkich skrzydełek i nieśmiałe kwilenie. Zaświergotał. Ptak zatrzepotał skrzydełkami nabierając śmiałości i wypełnił izbę kaskadą wibrujących treli.

Padłem na kolana i się mu kłaniałem. Detko przestał mnie napastować myślą o strychu, a hak porwali jego kamraci. Za oknem chaty łomotały koła wozów, huczał silnik traktora. Kto żyw ruszał w pole.

– Co będzie z nami?– chlapała matka. – Będę za wyrobnicę. Trzeba oddać gospodarzę warendę.

Nie mogłem nic pomóc. Wieczorem cichcem zaskoczył do chaty młynarz. Poznałem po cienkim, skrzekliwym głosie i po zapachu zboża. Przyszedł z gościńcem. Matka usadziła go za stołem i zasłoniła okna. Młynarz przeszedł się po izbie, jak po swoich włościach. Stęknęło łóżko rodziców. Spróbował jego przydatność.

– Stare – powiedziała jakimś matowym głosem matka. Na mnie młynarz nie zwrócił uwagi. Na wsi gadano, że niby jego żona Joanna i ja. Raz mnie przydybała za stodołą.

– A cóż ty stoisz, jak chuj na weselu? – powiedziała. Kazała oglądać piersi. Miała je pod bluzką bez stanika. Od razu trysnąłem w portki. Było tego tylko na tyle.

– Wezmę od Damazowej ziemię warendę. Dam ziarno, świnie i zapłacę podatki. Ziemię trza obrobić.

Na płycie zagwizdał czajnik. Dźwięczały talerze. Poczulem zapach rozlewanej gorzałki.

– Adaś mi nie pomoże – usłyszałem zrezygnowany głos matki.

– Sam sobie nieszczęścia napytał – powiedział obojętnie młynarz. – Trzeba by go, do jakiego domu dla kalek. Niechby coś nauczył się robić. Miotły pleść, albo, co.

– Wasze zdrowie Damazowa – młynarz wypił. – Ja tutaj nie po próżnicy. Teraz jesteście wdową, a w starym piecu diabeł pali – roześmiał się piskliwie. Szurnał krzesłem.

– Adaś słyszy – powiedziała płacząco matka.

– Fiu! Ale nie widzi. Obrabiać trzeba nie tylko ziemię Damazowa. Syn musi to wiedzieć. Chce jeść?

– Darujcie mi dzisiaj, Kazimierzu – poprosiła zdyszany głosem matka. – Następnym razem.

– Jak chcecie, jak chcecie. Może wy, komu innemu dacie tę ziemię warendę? – zagroził.

Wcisnąłem twarz w twardą poduszkę. Przed oczami miałem czerwien. Gryzłem z nerwów rękę. Udawałem, że śpię.

– Niczemu ja nie winna – powiedziała matka tonem usprawiedliwienia.

– Ty mi chęci nie odbieraj – upomniał ją młynarz. Głośno sapał.

– Wypij, Damazowa!

Matka gwałtownie wrywała się młynarzowi. Coś upadło na ziemię.

Sięgnąłem po łyżkę od kolacji.

– Uderzę go trzonkiem, jak ostrzem – pomyślałem

– Nie będzie ci źle ze mną Damazowa. Musiałem cię trochę przemóc, bo byś przecie nie dała. Widzę, że cię już wzięło.

Matka dyszała gwałtownie.

– Myślałem, że już po naszej umowie – usłyszałem głos młynarza. – Ale masz rozum. Zgasiłaś światło, to mnie musisz do łóżka zaprowadzić.

Wypuściłem z bezsilnych rąk łyżkę. Widać nie matka, lecz ja musiałem się bronić przed wariacją.

Jęknęło łóżko. Szeleściła zrzucana odzież.

– Zostaw koszulę – prosiła, ale już mniej stanowczo.

– Chowasz coś przede mną? Rzyć masz jak cegły. Potrzyj to Damazowa.

– Och! – jęknęła krótko. – Masz ty. Nie zrób mi krzywdy! Nie macaj, wstyd.

Rany Boskie!

Zaczęli się ruszać bardzo szybko.

– Wyskakuj, Kazimierz! – powiedziała nagle twardo matka. Długo gwałtownie dyszała. – I zostaw trochę pieniędzy na lekarstwo dla Adama – dodała.

Przestali zwracać zupełnie na mnie uwagę. Jakbym nie istniał.

– Och! – krzyknęła znowu matka. Nigdy nie słyszałem jej równie podnieconego okrzyku. Pod ojcem zawsze żałośnie kwiliła i budziła we mnie współczucie.

– Och, przyjemnie! – powtórzyła. Odkrywała w sobie uczucie rozkoszy. Sapiąc i dysząc rozmawiali ze sobą urywanymi zdaniem.

– Dotrzyj słowa, Kazimierz.

– Jak rzekłem.

– Dasz nam świniaka i jałówkę?

– Dam, dam – wybelkotał zapewne szczytując.

– Wyskakuj! W gałgan Kazimierzu! Mocz szmatkę!

Zamiast czerni miałem przed oczyma żółć.

Całe łóżko skrzypiało i drżało. Słyszałem szepty, stęki, westchnienia i pomruki. I to, co słyszałem, wystarczyło raz na zawsze bym stracił resztki chłopięcej wstydlivosti i zapłonął bezwstydną ciekawością.

W plamę żółci, gdzieś głęboko z mózgu cienką strużką napływał coraz jaśniejszy fiolet. Przez moment jakbym widziałem zarysy złączonych ciał. Ileż bym za to dal! Ale to była moja imaginacja. Rozległy się głośnie plaśnięcia, jakby ktoś uderzał rozwartą dłonią o wodę. Znowu zacisnąłem dłoń wokół łyżki przysposobionej na nóż. Więc i on, jak ojciec bił matkę po piersiach. Ale ona wcale

tym razem nie skowyczała. Wzywała na przemian imienia Boga i leżącego na niej mężczyzny, który ją gwałtownie wgniatał w stary materac.

Głośno aczkolwiek niezrozumiale zabrzmiał okrzyk młynarza:

– Hajda!

A zaraz po nim kobiety:

– O matko!

Przez chwilę po łóżku gibał się młynarz.

– Czy wiesz, kto chodzi po ziemi, a korzeń ma w ziemi? – usłyszałem jego zadowolony głos.

– Wdowa – odpowiedział niepytany i śmiał się.

Gwałtownie się poruszyłem, dając znak, że mogliby to już skończyć.

Młynarz podniósł się z wyra i szurając naciągał spodnie.

– Jeszcze nie idź! – powiedziała chrapliwie z pożądaniem matka. – I bądź ostrożny.

– Niech będzie! – odpowiedział na szept kobiety.

Znowu zaskrzypiało łoże, jak niesmarowane osie u wozu. Słuchałem tego ze zdumieniem i lękiem. Nie mogłem uwierzyć w to, co stało się z moją matką.

– Ja muszę już! Muszę! – wyjęczała.

Nagle wszelki ruch ustał, jakby łóżko opustoszało.

Nie było mi już matki żal. Zglupiałem do reszty. „Widocznie musiała ojca nienawidzić, skoro tak bezwstydnie bezcześciła jeszcze ciepłe po nim łóżko” – wytłumaczyłem sobie. Mimo podniecenia i strachu zmęczony zapadłem w drzemkę.

Rano matka wetknęła mi w rękę kubek z gorącą herbatą i dała chleb z pyszną kiełbasą. Była dla mnie bardzo dobra i troszczyła się o wszystko.

– Nie będziesz jadł byle, czego – powiedziała i klepnęła mnie po kolanie. – Jak spałeś? – W jej głosie zabrzmiała nuta dociekliwości.

–Dobrze. A ty?

Westchnęła, dając znać, że wie, iż w naszym domu nie da się ukryć potajemnych uczynków rozkoszy.

– Teraz on będzie naszym opiekunem – wyjaśniła.

Kobieta

W żniwa walnęły drzwi naszej chaty, wiedziałem, że stanął w nich mój chrzestny. Ten ci był moim przyjacielem.

– Podziękuj pani doktorce. Pozwoliła się przywieźć aż z powiatu. Jest na inspekcji z Warszawy – huknął tubalnie, sądził najwidoczniej, że prócz wzroku, postradałem słuch. – Zbada cię i zdecyduje, co robić dalej. Ty, chłopie, masz szczęście. Ja za pozwoleniem, będę tu...

– O niech się pan nie spieszy. Nim przejrzę wszystkie papierki ze szpitala, zbadam, przeprowadzę wywiad. Najmarniej zejdzie z godzinkę – usłyszałem ciepły, młody, kobiecy głos.

– Będę więc za godzinkę – tak uprzejmego chrzestnego nigdy nie słyszałem. – Rób Adasiu, co ci pani doktorka powie. W niej twoja nadzieja.

Serce mi łomotało, jak koła towarowego pociągu. Nie ja odleciałem stąd, lecz ona przyfrunęła do mnie wśród tych skrzydlatych postaci, które widziałem pnać się coraz wyżej w swym locie. Czy zwiastowała mi radosną nowinę? Serce podeszło mi pod ściśnięte gardło. Nigdy jeszcze nie doznałem tak rozbieżnych uczuć na raz – nadziei i niewiary.

– Co to za śliczny ptak? – głos był jedwabisty, anielski.

– Szczygieł – wykrztusiłem i cicho gwizdnąłem. A ptak odpowiedział mi wysokimi, przyjaznymi trelami.

– Niesłychane – zachwyciła się. – Przepięknie śpiewa i zupełnie się nie boi. Czy on nie tęskni za wolnością?

– Gdybym go wypuścił, zginąłby. Zdziobano by go – powiedziałem.

– Więc on nie potrafi żyć bez pomocy ludzi? – zdziwiła się.

– Zupełnie jak ja – powiedziało mi się.

Oczami wyobraźni widziałem śliczną kobiecą twarz pochyloną nad niepozornym śpiewakiem. Taka młoda i taka mądra. Doktorka przysunęła zydelek do łóżka i wionął na mnie rozkoszny, zniewalający zapach. Od kiedy straciłem wzrok wyostrzyło mi się powonienie. Dostawałem mdłości, kiedy w domu grasowała i

brudziła mysz.

– Leżałeś, Adamie, w szpitalu przez dziesięć dni w śpiączce – czytała lekarka z jakichś kartek. – Wstrząśnienie mózgu, uszkodzenie nerwów ocznych....

Z przerażenia otworzyłem usta.

– Czy masz bóle głowy?

– Nie, już nie. Ale nie widzę – powiedziałem ze zgrozą.

– Wiem. Postaram się pomóc. Opowiedz wszystko o sobie.

– Wszystko? – szepnąłem speszony i wystraszony? Niby żadnego łotrstwa nie popełniłem. Czy miałem jej jednak powiedzieć o przyczynach nieszczęścia? O tym, co mnie spotkało u księdza? Czy może o tym, że chciałem umrzeć.

Zapewne się uśmiechnęła, bo pogładziła mnie lekko po wierzchu dłoni.

– Czy miewasz halucynacje? O tym, co cię boli, jak śpisz? Czy masz zachwiania równowagi? Czy widzisz czasem jakieś jaśniejsze plamki? Zapiszę, zbadam i trafisz do Kliniki Akademii Medycznej. Czy jesteś kulturystą?

– Halucynacje? Ciągle latam. Wszystko, co widzę ma niesamowite kolory. Najwięcej fioletu i żółci. Jak się boję, to czerwieni.

– To dobre znaki. Mogą świadczyć o pewnej ograniczonej aktywności nerwów wzrokowych. Teraz zakropimy oczy. Muszę rozszerzyć źrenice.

Wybałuszyłem oczy i zrobiłbym dla niej wszystko, co by mi kazała robić, bo uwierzyłem jej bezgranicznie i nieodwołalnie. Była dla mnie panienką świętą od dzieciątka Jezus z obrazu w naszym kościele.

– A teraz stwierdzę ogólny stan zdrowia – poinformowała.

Usiadłem, zadarła koszulę i długo wsłuchiwała się w mój oddech. Miała ciepłe, aksamitne dłonie. Obmacała mi ramiona i szyję.

– Czy jesteś kulturystą? – powtórzyła pytanie

Wstydzilem się przyznać, że nie wiem, o jaką jej jeszcze ułomność chodzi. Kulturysta?

Położyła mnie na plecy lekko przyciskając i wsłuchiwała się w serce. Odwinęła kołdrę odkrywając nagi brzuch, bo byłem bez kalesonów. Przytrzymałem jej rękę. Delikatnie, ale stanowczo odsunęła moją dłoń. Spociłem się nagle z

przerażenia.

– Tam jest wszystko w porządku – zapewniłem.

Chciałem krzyczeć i błagać. Zapaść się pod ziemię, a jedynie zrobiłem się mokry. Przez głowę przeleciały mi myśli ponure i przerażające, odbierające zdolność mówienia. Tej delikatnej kobiecie gotowe pęknać serce. Musi to być podług niewiast, ohydnie, wielki wielgachny. Organiścicha, choć miała chęć, to się go wystraszyła i nie śmiała. Doktorka obrazi się. Omdleje. Uzna, że spotkał ją gorszący, nieuprzedzony przypadek, niezasłużona zniewaga. Zostawi mnie swemu losowi. Komu by jednak przyszło na myśl, że wielgachny, może mieć coś wspólnego z oczami?

Nagle się groźnie uniósł i spęczniał do niebywalej twardości. Wiedziałem, że sterczy, jak wielka maczuga, że jest fioletowy, i jak stary porcelitowy talerzyk, pokryty drobną siateczką żyłek. Kpił sobie ze mnie podnosząc się i opadając. Mój los zależał od niej. W odruchu rozpaczony, chwyciłem się za głowę, a później wyciągnąłem w jej kierunku przeproszające ręce.

Spotkał mnie namiętny, ciepły, odwzajemniony uścisk. Usłyszałem. Westchnęła lub szlochała. Zapach perfum stał się ostry. Dalszy bieg spraw był poza mną. Czyny wyprzedzały myśli, jak błyskawica wyprzedza grzmot.

Łóżko zgrzytnęło pod ciężarem dwóch ciał. Spletliśmy palce. W przysiadzie, namiętnie dysząc i poruszając biodrami, zgarnęła wielgachnego do swojego, bardzo wilgotnego wnętrza. Wsuwałem się w coś bardzo miękkiego, rozkosznie ciepłego i głębokiego. Lecz wielgachny wszedł tylko do połowy swojej długości. Utknął na półmetku.

To przekraczało całą moją dotychczasową wiedzę, co robi mężczyzna z kobietą. Widziało się to i owo w lesie. Dziewuchy jęczały przygniecione przez jurnych kochanków. Rozkładały białe uda, pozwalały wnikać fioletowym grzybom i leżały spokojnie. Czasem dolatywały do nas, skrytych w krzakach, ich żalodne wzdychania i jęki. Żeby jednak to one ugniatały? Tegom nie wiedział. Do ostatniego razu z matka byłem w ogóle przeświadczony, że dla kobiety, to jedynie smutny i bolesny obowiązek.

Mozolnie torowałem drogę, bojąc się, że ją skrzywdzę, że rozsadzę gorące trofeum. Mój fiolet wnikał w jej czerwień. Z jej ust wydarło się głośne westchnienie. Syczała, pokrzykiwała, jęczała. Wyłamywała mi palce ze stawów u ręki.

Doświadczała tortur, a jednak się pchała. Unosiła się i opadała, jakby bezwarunkowo chciała, bym dotarł do jej dna. Nie zniechęcało ją nic, aż osiadła, jak statek na mieliźnie. Zsunęła się do nasady wielgachnego. Rozparł się w niej, wypełnił po brzegi pulsujący sak. Sięgnął też czegoś twardego i gorącego. To było chyba właśnie to dno? A może fiolet sięgnął szkarłatu? Goniąc nieznane, rozchyliłem palcami tajemniczą, gęstą i moką gęstwinę. Szturchałem płatki okalające wielgachnego. Podskakiwała i skwierczała, jak jajecznicą. Przestraszony, przestałem.

– Rób mi to! Rób ze mną, co chcesz! Och, jak ja tego chcę!

Zgubiłem gdzieś przerażenie. Mój fiolet był pożądanym kolorem w jej gładkim brzuchu. Pojękiwała i pokrzykiwała cichutko podobnie, jak moja matka przywalona ciałem młynarza.

Więc one wcale nie muszą. Same tego chcą. Chcą pałki drażącej wilgotne wnętrze i wtedy dopiero konają z rozkoszy. Najchętniej zostawiłyby ją w sobie na stałe. Kochają być wypełniane, od wielkiego brzucha, aż po nabrzmiałe cycki – rozjaśniło mi się w głowie.

Znęcała się zaciskając wokół wielgachnego krocze. – Potrafią zadawać ból – dorzuciłem cegielkę do nikłych doświadczeń.

Zakręciłem biodrami, by poluzować wielgachnego, tkwiącego w niej, jak serce dzwonu. Trudno wprost pojąć, co się ze mną działo. Zmieszały mi się wszystkie kolory. Zrozumiałem, że mogę dziewczynie uczynić coś cudownego, czego ona w tej chwili najbardziej pragnie. Odgięła się krzykiem uzewnętrzniając, co czuje. Lizła i miętosiła w ustach moje sutki. Pogubiłem się w swoich doznaniach dokumentnie. Zdumiewało mnie to wszystko. Z rozkoszą gładziłem jej piersi podejrzewając, że są białe jak ser. Dziwiłem się, że mogą być tak niewielkie. Przy organiścichy, były jak śliwki przy dyni. Chyba jednak wolałem te duże, niemieszczące się w moich rękach, trochę większe, niż mojej matki, mleczne. Wpiła wolno we mnie paznokcie, a potem je cofała. Zupełnie jak kotka, gdy ucapie ją kocur.

Znieczulony rozkoszą, nie czułem bólu. Drżała. Dla jakiej przyczyny tak dygotała? Napierała na mnie budząc lęk, że się przebije. Tańczyła, jak ogier na zadzie klaczy, krótko i szorstko. Wprost obdzierała mi wielgachnego ze skóry.

Przyspieszała.

– Dobij! Rozrywasz! Boli! Oszaleję!

Przeraził mnie ten krzyk bólu, któremu przecież sama była winna. Ale uczucie narastającej rozkoszy zmusiło i mnie do coraz gwałtowniejszych ruchów. Szybko pojąłem nieznaną mi mechanizm kolejności postępowania. Przyciągałem ją i podnosiłem nad siebie, a ona spadała na mnie, jak młot kowalski na rozżarzone żelazo.

Mnie jednak też bolało. Brałem na niej odwet kołysząc mocno biodrami. W pachwiny spływały mi gorące, zapewne czerwone krople. Nie uwolniła ze stalowego uścisku wielgachnego. Tryskał niestrudzenie ze zwielokrotnioną przez ucisk siłą. Dotknąłem u niej tego miejsca ze wzruszeniem i wdzięcznością. Miałem całe ręce skąpane lepką ciągnącą się pianą.

Powiedziałem:

– Jest jasno.

Zerwała się, jak podbita piłka.

– Nie wszystko stracone – znowu była lekarzem. – Więc jednak są prześwity.

Oddaliła się i naląła sobie do miski wody.

Wyciągnąłem w jej kierunku dłonie. Przytuliła je do swoich rozpalonych policzków.

– Dzieciak. Jestem odrażająca.

– Nie! Jesteś pani różowa.

Pozwoliła mi dotknąć swojej twarzy, była mokra od łez.

– Rozewrzyj powieki – powiedziała. – Na świecie są czarodziejskie moce – wyszeptała. – Za parę dni będziesz w klinice – głos miała stłumiony i zawstydzony. – Jeśli potrafisz, zapomnij i wybacz!

Zapadłem w błogi sen. Znowu byłem aeronautą. Zieleń wydała mi się bardziej soczysta, a błękit bardziej przyjazny. Nawet słońce nie miało koloru czerwieni. Tym

razem ziemi nie zamierzałem opuścić. Wchłaniałem zapach, który pozostawiła po sobie. Poznałbym go, między stu tysiącami innych zapachów.

Powrót do życia

Dobre wieści ludzi przyciągają. Miałem jechać do Warszawy, więc jestem kimś. Szpital powiatowym przydawał powagi, a dopiero stolica.

– Wyleczą, to i w mieście zostanie. Łepskiego mam chłopaka – prawil chrzestny.

Zajechał ambulans. Naschodziło się wielu.

– A ptak, zabierasz, Adam? – to był głos mego wybawcy.

– Nie! – wzruszyłem się. – Przetrzymasz go dla mnie? Prowadź do chaty.

Dałem mu panczeny, pióro i książkę.

– Coś ty? Dajesz mi?

– Chcesz być moim brachem?

– Niech będzie!

Musiało być coś w tym na rzeczy, bo w klinice leczenia nie zaniechali.

Zostawili mi nadzieję i przebąkiwali o zabiegach i operacjach, najlepiej w Moskwie, albo w Szwajcarii. Gadka, jak o spacerze w kosmosie. Nie mogłem na nic liczyć.

Zmienić bieg spraw mógł tylko cud. Zwiastowała go doktor Elżbieta.

– Skończ kurs masażu leczniczego. Zapłaci klinika. Dostaniesz służbową kawalerkę i będziesz się leczył. Nie zdołam opisać radości. Matka zaliczyła ze mną marszrutę do miejsca nauczania. Wzrok zastąpiłem kserograficzną mapą pamięciową. Na kursie poznałem masaż holistyczny, chiński, shiatsu, reiki, aromaterapeutyczny.

Występowałem raz w roli podmiotu, innym razem, jako czeladnik.

– Na plecki – powiedziała starsza instruktorka. Zrobię ci holistyczny brzucha i ud.

Matka ucięła gacie i zrobiła takie pumpy do kolan. Masażowi zawsze kibicowało parę instruktorek i uczennic. Przeżywałem gehennę. Wielgachnego bandażowałem do uda. Nie uszedł uwadze moich prześladowczyń. Łapałem uchem podniecone szeptu, opinie, westchnienia.

– Rozluźnij się – mruknęła masażystka. – Nie bądź, jak deska. Łatwo

powiedzieć. Wielgachny wyrywał się z okowów.

– Ooo! – nie wytrzymała któraś z kursantek.

– Koleżanka trafiła na nie właściwy kurs – odezwała się szorstko moja instruktorka. – To nie jest burdel.

Byłem jej wdzięczny. Nagle i mnie opuściły niezdrowe emocje.

– Będiesz perłą w koronie – stwierdziła później na boku wykładowczymi, pani Joasia, biorąc mnie pod rękę i lekko ściskając. – Nauczę cię tantryckiego masażu seksualnego. Zrobimy to w wolnej chwili, najlepiej po zajęciach, wieczorem. To jest szczególnie rodzaj usługi, mało jeszcze u nas rozpowszechniony. Wolałabym zachować sprawę w tajemnicy. Bardzo ci się przyda.

Joanna, była mężatką, z trojgiem dzieci. Była jedną z tych mamusiek, którym wiecznie mało. Rozebrałem się do spodni.

– Zdejmij je. I tak widzę i wiem o twoim skarbie. Musisz oswoić się z nagim ciałem. Ten masaż służy aktowi miłosnemu. Nie ma w nim miejsca na pruderię.

Rozsiewała silny zapach. Nie sądziłem, że ujrawszy wielgachnego spoci się. Usłuchałem i ściągnąłem spodnie wraz ze skróconymi gaciami. Wielgachny wystrzelił mi pod brzuch.

– Piękny – powiedziała, siląc się na profesjonalną obojętność. – Postawiłeś na nogi cały kurs. Wszystkie szepczą o tobie.

Ton jej głosu przywrócił mi spokój.

Leżałem na brzuchu. Masowała powierzchnię nad kością krzyżową powodując przenikliwe mrowienie w kroczu. Dłonią, zsunęła mrowiącą rozkosz, wzdłuż kręgosłupa, do barków. Dotknęła tył głowy, tylną stronę nóg i stopy. Lniana tkanina stołu masażowego tarła rozognioną żołądz. Odwróciła mnie na plecy. Masowała płynnymi ruchami przednią stronę nóg i stóp, zbliżała się do pachwin. Chyba czas chłopięcego zawstydzienia miałem już za sobą. Odczuwałem coś, jak dumę. Podniecił mnie jej udawany dystans.

– Za chwilę, jak zechcę, będzie moją – pomyślałem.

Przeżywałem uniesienie. Dotyk kobiecych palców wdierał się nie tylko w mięśnie podbrzusza. W mózgu kłębił mi się coraz wyraźniejszy warkocz fioletu.

Wielgachny sterczał w oczekiwaniu na jej rękę. Błądziła dłonią wokół pępka. Palce biegły drobnym truchtem środkiem klatki piersiowej, pozostawiając gęsią skórę. Zgarnęła nagromadzoną rozkosz i przemieściła mi ją na szyję. Tam położyła rękę, a drugą, lekko, na brzuchu. Jej ręce frunęły i zsunęły się po wielgachnym na genitalia. Czerń poprzecinał pasmami fiolet. Musiałem ją mieć.

– Teraz twój Ligam – rwał się jej głos. Kołysała jądrami w dłoniach. –

Pamiętaj, Lingam, męskość, „kolumna światła.”

Rozsunęła zgromadzoną rozkosz gorącymi dłońmi, głaszcząc nogi do dołu, tułów ku górze. Dotknęła moich oczu i podniosła ręce do góry.

– Uklęknij, wykonamy znak wdzięczności – Namaste.

Nagle zerwała z konwenansami. Chwyciła mnie za szyję. Wciągnęła na rozgorączkowane ciało. Objęła udami. Jak samiec, zdybała wielgachnego dziurką. Gwałtownie zmieszała ze sobą kolory. Doprowadziła do gwałtownej ekstazy, wybuchu, skowytu, płaczu i hysterii.

Raz jeszcze, raz jeszcze, raz jeszcze! Prężyłem się, tryskając rozkoszą.

– Spływam potokiem twojej lawy, więc nie popsulałam ci nastroju. Twój buławiały fiolet, uczynił ze mnie zwierzątko. Na ten widok nie jedna wpadnie w amok. Jestem tobą wprost nafaszerowana. Może i jestem zbyt żywiołowa. Rokuję ci wielką przyszłość i tabuny szalejących za tobą klientek.

Na kursie odkryłem w sobie dar powonienia. Ślepotą czyniła ze mnie coraz bardziej zagadkowy zlepek zmysłów. Dzięki nosowi, potrafiłem bezbłędnie rozróżnić każdego, kto zbliżył się do mnie po raz drugi, głównie po zapachu perfum, ale też skóry, włosów. W konkursie, który mi zorganizowano, miałem swoje pięć minut. Poznałem wszystkie panie. Zapach kojarzył mi się również z kolorem.

– Dzisiaj – szepnęła pani Joasia. – Zgódź się! Błagam! Dokończymy nauki masażu tantryckiego. Będę za klientkę. Mam klucze. Wspomnienie przyprawiło mnie o dreszcz. Ta opięta wokół Lingam Yoni. Chłonna i trawiąca wielgachnego wewnątrz. Ostry zapach roznamiętnionego ciała. Wilgotne, jak po udoju cycki. Znowu miałem w nozdrzach zapach podnieconej kobiety, tym razem zaprawiony lekkim, gorzkim, ziołowym zapachem perfum o kolorze zielonym.

– Masuj mi brzuch, wokół pępka, a potem połóż ręce na wzgórku łonowym, byś czuł mój zarost. Masz cudowne ręce. Masuj piersi. Zepchnij ciepło do ramion i dłoni. Przenieś dotyk na szyję, głowę i uszy. Skup się na czole i punkcie między brwiami. Miętko pieść twarz ku górze, do linii włosów powtarzając ruch, co kilka minut, aby otworzyć „czakrę trzeciego oka”. Potem masuj mnie wokół Yoni. To „święte miejsce” kobiety. Pieść moje Yoni i włosy łonowe. Użyj czułego dotyku u wrót Yoni, przy łechtaczce. Przesuń dłońmi wyzwoloną rozkosz, na resztę ciała, głaszcząc nogi w dół, a biodra, brzuch i piersi ku górze. „Święte miejsce” otworzy się w oczekiwaniu „kolumny światła”. Wolno podnieś dłonie i trzymaj je nade mną. Siedź ze skrzyżowanymi nogami. Czekaj. Nasunę się tak, że wypełnisz mnie całą. Będziesz miał mój wrzący brzuch, przy swoim, moje nabrzmiałe piersi, przy swoich. Moje pożądliwe usta i język będą wkradały się w twoje. Twój Lingam oplecie w miłosnym uścisku moją Yoni. Będzie się poił jej rozkosznymi sokami. Gdy się napoi, pozwoli wychylić Yoni, eliksir życiodajnego wytrysku. Koniec, nie będę płoszyć skradającej się rozkoszy.

Jeśli mówiła wyuczonymi słowami, to też jej tego za złe nie miałem.

Brzmiały ekscytująco.

Na skróty, osiągnąłem lekko rozchyloną, pachnącą i zapewne szkarłatną Yoni. Na dłużej moje ręce zatrzymały się na wciąż roszących po ostatnim dziecku, jej sutkach. Musiały mieć kolor czekolady, roztopionej, lepkiej. Mamląłem je, aż zaczęła drżeć konwulsyjnie, jak doktorka. Dopiero wtedy siadłem po turecku. Pozwoliłem przenikać fioletovi poprzez różne odcienie czerwieni. Wrzała, jak czajnik. Spleceni rękami, stawialiśmy zacięty opór paroksyzmowi, który górą odginał nasze ciała, dołem, dygocące, właczał je w siebie. Miałem nieposkromione ambicje. Gdyby nie przypomniła sobie o obowiązkach matki i żony, egzamin zaliczylibym parokrotnie.

Kawalerka była nad stacją pogotowia, w obrębie szpitala. Wszystko w niej było na wyciągnięcie ręki. Dla mnie, więc w sam raz. Sprzęt w pokoju zabiegowym, o sto dwadzieścia kroków dalej, nie był szczytem techniki. Ręcznie regulowany stół

do masażu, lekko się zacinał, szafki mocno sfatygowane, kozetka wysłużona.

Poznałem najdrobniejszy szczegół wnętrza, w którym miałem pracować. Poruszałem się po nim bez najmniejszego wahania. Rwałem się do roboty, bo się bałem rozmyślań w samotności. Do pracy stanąłem następnego dnia po kursie. Masowałem tylko dłońmi. Nie używałem żadnych wałków, języków ani rolek. Leżał mi masaż holistyczny, docierający w głąb skóry, do mięśni i kości.

Masaż to relaks, tonizacja mięśni, ożywienie krążenia krwi, rozciągnięcie różowej tkanki łącznej stawów. W praktyce jest to wygaszanie ognisk bólu. Specjalizowałem się w rehabilitacji kręgosłupa i skurczów mięśni. W ciągu jednego roku wyrobiłem sobie chyba niezłą markę, bo pacjentów miałem, co niemiara. Byłem pracownikiem bez godzin. Nie miałem, do czego i do kogo się spieszyć. Później zmęczenie pozwalało mi szybko zasnąć. Skończyłem właśnie masaż młodej kobiety. Miała ciało jędrne i ślicznie pachniała. Nie spieszyła się z opuszczeniem stołu.

– Co to za zapach, proszę pani? – spytałem. – Jakich używa pani perfum?

– Czy się panu podobają? – miała zaborczy głos. – Powiem, jeśli usłyszę, co mi pan zrobił?

Musiałem mieć głupią minę.

– Z pana niezły świętoszek – powiedziała. – Poruszył pan we mnie niebezpieczną strunę. Teraz będzie pan musiał to dokończyć.

– Niby, co? – Byłem wciąż nieokrzesanym chłopcem z nad Sanu.

Zrzuciła z siebie ręcznik, ściągnęła majteczki, wzięła moją rękę i naprowadziła ją na łono.

– Właśnie to!

Zbaraniałem. Nie na tyle, by nie mieć chęci na wślizgnięcie się pod wskazany kożuszek.

– Nie bądź pruderyjny – przerwała moje skrupuły nieznajoma. – Masz sporo okazji, by być napalonym.

– Jakiego jest koloru? – spytałem nie odrywając dłoni od puchatego trójkąta.

Zaśmiała się.

– Czarna, zupełnie czarna, mój chłopcze.

Czerwień okryta czernią. Sama tego chciała.

– Więc, proszę, zamknij drzwi – zdecydowałem.

Poczułem jej palce na rozporoku.

– Słuchaj. Coś przeczuwałam Ruszyło mnie nie bez kozery. To kół na wampira. – Subtelna nie była. Wyzwolila mnie ze spodni.

– Nie! Nie na stole! – wzięła mnie delikatnie za rękę. – Wiesz, jestem tak dziwnie sklecona... – Położymy koc – już przynaglałem. – Nie, nie! Jestem tak dziwnie... – powtórzyła.– Weź mnie z tyłu – powiedziała ciepło i miękko. – Tylko tak mogę i chcę.

Speszyłem się.

– Z tyłu? Jak wilki, albo owce? – pomyślałem.

– Spróbuj! – pociągnęła mnie znowu za rękę. Teraz pachniała ostro, bardzo ostro i podniecająco. Mój nos stawał się coraz czulszy. Naprowadziła moje ręce na biodra i pośladki. Mogłem oczywiście zrobić to bez jej pomocy, bo w tym już byłem biegły po ćmoku. Wydało mi się to jednak przyjemne i podniecając. Trochę tak, jakby rozebrała się sama na moich oczach. Oparła się o brzeg stołu. W tej pozycji suwaczek jawił mi się w wyobraźni, jak różowy winniczek z wystającymi rogami. Odmienność pociągająca. Przynosiłem wielgachnego do nowej figury. Miał wnikać między pośladki z tyłu, nieco od spodu. „Jak też ona teraz wyglądała?” – próbowałem sobie wyobrazić. Czy rozhuśtane piersi nawisłe nad stołem masażowymi lekko ocierały się brodawkami o włókninę? A pupa? Wypięta na widok, nie kryła przecież fascynującej wklęsłości między pośladkami i obłej wydatności poniżej? Jak u jałówki prowadzonej do byka.

Napawałem się nowością. Nie byłem już li tylko napalonym narwańcem. Głaskałem napiętą, śliską skórę na plecach i na siodełkowatych lędźwiach. Dłoń wcisnąłem z tyłu między uda. Przesuwałem ją do kobiecego siedliska. Ukląkłem i językiem sięgnąłem sakiewki. W ustach trzymałem pulsujące skrawki ciała. Były pachnące, śliskie i wilgotne. Degustowałem. Zapach i drzenie jej pośladków syciło moją wyobraźnię. Odgiąłem się do pozycji wskakującego na klacz ogiera. Chwyciłem cycki i trafiałem w nią bez pomocy ręki. Szukała wielgachnego kręcąc

tyłeczkiem. Pchnąłem. Wyjąłem. Pchnąłem. Przyciągnąłem ją mocno do siebie. Siłowaliśmy się. Przywierała brzuchem i piersiami do łóżka. Głośno stękała i na coś się żaliła.

Kochałem powolutku, jeżdżąc w niej do granic możliwości, do bólu. Nadśluchiwałem cichego, namiętnego skowytu i narastała w mnie fala pożądliwości. Potężnie bolało mnie podbrzusze. Mościła się pode mną tyłeczkiem, chybotając się, jak parzona ptasia samiczka. Dotykałem to jej wlotu, to gruntu. Oboje krzyknęliśmy. Ona parę razy.

– Więc jakich używasz perfum? – nie odpuściłem.

– Przedziwnych. „Zen”. Drzewo karaya, bambus, mech. Japonia. Moja nieuwaga. Nie zaciągnąłem firanki w oknie wychodzącym na szpitalny park.

– Wszystko widziałam. Niesłychane. Proszę się nie wypierać. Tego wam na terenie szpitala robić było nie wolno – usłyszałem na korytarzu kobiecy podniesiony głos.

Zrobiło mi się czerwono. Tego mi brakowało.

– Tss! Po co nerwy siostrzo przełożona. Alboż my to nie kobiety? To złoty chłopak – odpowiedziała moja klientka. Widocznie się znały. Nadśluchiwałem. Byłem pewny awantury i nieobliczalnych następstw. Ucichło. Rozległy się ostrożne stąpnięcia i od drzwi gabinetu zabiegowego wionęło jodyną i spirytusem.

– Czy to na dzisiaj koniec? – spytała, siląc się na obojętność nowa klientka. – Czy może dla służby medycznej będzie jakieś odstępstwo?

– Proszę? – spytałem nie wierząc własnym uszom. W czym mogę siostrze pomóc? – zgubiłem się. Byłem beznadziejny.

– Skąd wie pan, że siostrze?

– Czarne, niebieskie, czerwone? Jodyna, spirytus, nadmanganian.

– A w jakim kolorze była moja poprzedniczka? Czy mam panu powiedzieć? Zebrałem się do kupy.

– Proszę zasłonić okno.

– Lepiej później, niż wcale.

Położyła się z podgiętymi kolanami. Gotowa. Piersi, jak u młynarzowej, co ją

każdy był rad dotknąć. Zacząłem masować. Ciało sprężyste, jak piłka. I kto odgadnie, czego taka szuka u ślepego masażysty? Ot, fantazja popróbować bez wstydu z takim, co nie widzi. Jej widać mało chętnych lekarzy na nocnych dyżurach. Widzieć nie mogłem, ale słyszeć, tak. To nie myszy spędzały mi często w szpitalu sen z oczu.

– Świetnie. Pozwól mi go dotknąć. Zobaczmy, co ty tu masz? Wypycha nogawkę. Zwabił mnie – głos miała beznamiętny.

„Pewnie cewnikuje na urologii?” – pomyślałem.

Zsunęła się ze stołu. Rozpięła mi z wprawą spodnie. Smagnął mnie dreszcz. Zsuwała napletek i uciskała jądra. Wydobywała go z fałd skóry w całej okazałości. Nie dała się niczemu z jego strony zaskoczyć. Chłodziła go dotykiem piersi, gdy nadmiernie i niepokojąco pulsował, karciała, nagłym, mocnym uciskiem.

– Moja kolej – chwyciła mnie za ręce i pociągnęła na siebie.

– Nie – sprzeciwiłem się. – Zdążysz.

Bez słowa objęła mnie pod kolana.

– Podglądałaś?

– Przypadek. Coś mnie pogięło, żeby patrzeć, a potem tu przyjść.

– Stawaj jak ona. Inaczej nie.

– Nie musisz krzyczeć.

Podniosła się i oparła piersiami o stół masażowy. Rękami rozchyliła pośladki.

– Tak dobrze, byczku?

– Najpierw, siostrzyczko, odsłoń okno. Podglądać potrafiłaś? – zmieniłem zdanie, chcąc ją upokorzyć.

– Coś ty? Jestem mężatką. Na ławce już pewno czeka mąż.

– I to ci nie przeszkadza?

– Przeciwnie. Nadaje wszystkiemu sens.

Wrzepiłem buławę w nadzwyczaj wąski sak. Mierzwiła sobie włosy i darła paznokciami materac. Święciłem w duszy prawdziwy tryumf. Dawałem jej popalić. Już nie była wyniosłą pielęgniarką dyplomowaną, a ja przyłapanym na nieobyczajnym zachowaniu żigolakiem. Była rżniętą, jęczącą rurą, babskiem ogarniętym amokiem.

– Mam cię pod pępkiem! – krzyknęła tarmosząc się za piersi. – Oj, ty piekielny diable! Uderzyłem kilkakrotnie w jej dno kładąc kres krzykom na rzecz niezrozumiałego gulgotania. Ta jazda mi się nawet spodobała. Położyłam wielgachnego na pośladkach. Nie zmiękł.

– Mam ją bardzo ponętą, nieprawdaż?

– Co?

– Pośladki i pupę – odparła przymilnie.

Sięgnęła po jakiś kosmetyk. Posmarowała nim wielgachnego.

– Twój pan już się znowu przebudził. Popróbuj, spodoba ci się mój negatyw.

– Negatyw?

– Pozytyw zaliczyłeś. Zalicz i pupę. Chirurg, z którym pracuję, szaleje za moim negatywem.

– Chcesz, żebym?

„Cholera, znowu mnie zaskoczyła i odzyskała chwilowo utraconą przewagę.”

– Czyżby był to dla ciebie nowy temat?

Faktycznie. Tematu nie zaliczyłem. Nie znaczy, że musiałem się zaraz przyznać. Głowa mała.

– Boisz się, że zbyt miękki? – wyczułem zaczepkę.

– Nie, boję się, że go nie przełkniesz – odpowiedziałem równie zaczepnie.

Sięgnąłem po ten negatyw. Tyłeczek był gładki, jak aksamit. W głębi musiało być czarno, jak w bezksiężycową noc. Czarna dziura. A Wielgachny po prostu nie wchodził, mimo, że był przecież twardy, jak szpunt. Mnie to nie irytowało, ją pewno tak i musiało boleć. Co znaczy nie wchodzi? Wsadziłem przy akompaniamencie dźwięków wypychanego powietrza i krzyku. Przesadziła ze swymi możliwościami. Widocznie ten chirurg nie miał się, czym pochwalić. Ścisk był tak wielki, że na efekt nie musiałem czekać. Wszystko w niej dygotało. Wiedziałem, co to u kobiety oznacza. Parokrotnie się poruszyłem. Wystarczyło.

Gdy wyszła, uchyliłem nieco okno.

– Wpadłam do masażysty. Nie widzi biedak. Wspaniale relaksuje – powiedziała do kogoś.

Pod nogami chrupał żwir. Oddalili się.

Pierwsze kroki

Poborów wystarczyło na opłatę wyżywienia, czynsz. Parę papierków wysyłałem matce. Odkładać nie było, z czego. Tak było do przyjścia pani H.H.

– Jestem Halina H. Chcę panu zająć chwilę.

– True Star, Boucheron, kardanom, bergamotka, róża, jaśmin, pieprz, cynamon, ambra... – wyrecytowałem, ciesząc się, że tak łatwo mi przychodzi rozkładać zapach raz już poznanych u kogoś perfum na czynniki pierwsze.

– To doprawdy bardzo niezwykle. – Skąd pan to wie?

– Takie hobby.

– Niech mnie pan nie zbywa. Jestem zaintrygowana. Czy ten właśnie zapach pan zna i dlatego...

– Ten też. Znam wiele zapachów.

– To ciekawe. To się da wykorzystać. Jestem gotowa...

– Czy pani mnie zna?

– W pewnym sensie. Niezwykle pana tu cenią.

– Dzięki. Jakiego rodzaju ma być masaż? Co pani dolega?

– Skuteczny, podniecający, kolorowy.

– Lubi pani żartować.

– To nie są żarty, panie Adamie. Wiem, że musi pan zarobić sporo pieniędzy. Ja je mam. W zamian potrzebuje pańskich rąk. Na pokrzywionych kręgosłupach i starczych przykurczach kasy pan nie zarobi. Wiem. Brzmi to okropnie. Ale takie jest życie. Czy nie chciałby pan popracować u mnie?

– U pani? W jakim charakterze?

– Masażysty.

– Leczniczo?

– To kwestia interpretacji.

– Gdyby mi nawet taka myśl zaświtała. Co na to klinika, doktor Elżbieta? – Ostrożnie dryfowałem w jej kierunku. Kusila pieniędzmi. Były mi niezbędne na operacje za granicą i ona najwidoczniej o tym wiedziała.

– Proszę nie być sentymentalnym. Trzeba zadbać o siebie. Elżbieta pomysłowi przykłaśnie. Klinice już się pan wypłacił. Panie najwidoczniej się znały.

– Czy będę w tym dobry? Dla mnie to nowość. Nieobyczajna nowość. Nie mam miejskiego obycia. Te damy mogą mnie nie zaakceptować?

– Niech pan odrzuci konwenanse i pozostawi troski mnie. Będę dosłowna. Wiem, co mówię. Na wspomnienie pana, niektórym wykładowczyniom do dziś płoną oczy. Znam wiele dam, które dałyby majątek, żeby mieć pana w łóżku. Słyszałam od osoby dla pana przyjaznej same pochlebstwa. Rozumiem, że z wyrzutami sumienia przyszło się już panu z dobrym rezultatem parokrotnie uporać. Ma pan żelazne referencje. Pana praca u mnie uchroni pana od wszelkiej upokarzającej zależności. Odda kobiety w pańskie ręce. Pan będzie grał pierwsze skrzypce.

Z wierzchu wyglądało mi to na lukrową, wielkanocną babkę. Co było wewnątrz mogłem się jedynie dowiedzieć próbując. Czemu nie? Jakiemu chłopu niemiła w rękach goła babka? Nareszcie przyda się na coś masaż tantryncki – zaświtała mi myśl. Może i będę miał okazje i na coś więcej? W mojej sytuacji sprawa nie do pogardzenia. Gdzie ja inaczej, kogo sobie do łóżka przygrucham? Zresztą, jakie znaczenie miały resztki pokutującej we mnie zaściankowej moralności, że jak „cicho i kryto”, to złego nie ma. Sprawą najważniejszą było odzyskanie wzroku. To mi obiecywała doktor Elżbieta, a jeśli ona tak twierdziła, to i o czym tu było mówić.

– Więc jak? Spróbuje pan?

– Spróbuję.

Pani H.H. chciała mieć mnie natychmiast u siebie. W sąsiedztwie słynnego kabaretu „Primera” oraz restauracji i klubu o tej samej nazwie, znajdowały się schludne, niewielkie kawalerki i mieszkanca, które moja, obecnie już szefowa i właścicielka tego całego kompleksu, za godziwą opłatą wynajmowała, głównie swoim „Aniołkom Charlego”, czyli kabaretowym szansonistkom.

Dostała mi się kawalerka na parterze. Doceniłem ten miły gest. Otworzyłem drzwi i wiedziałem, że we wnętrzu mieszkania jest jakiś intruz. Kierowca pani H.H. o niczym mi nie wspomniał. Moją rękę polizał nagle gorący, szorstki ozór. Kierowca rozsznurował usta.

– Szefowa sprowadziła ją ze Śląska. To policyjny pies. Był szkolony do wyszukiwania narkotyków. Ale czymś się tam naraził i stracił w policji etat. Odnalazł się jako przewodnik. Był u mnie przez kilka dni. To filozof, nie pies. Ma więcej dyplomów niż nie jeden renomowany petetekowiec. Ma dyplom ratownika wodnego, wie jak przechodzić na światłach, przyniesie panu gazetę, poda buty. A ile kosztowała!

– Tego wiedzieć nie muszę, nie lubię myśleć o długach, nawet, gdy ich nie mam. Jak się wabi, jakiej jest rasy?

– Owczarek niemiecki. Nazywa się głupio, jak moja córka, Sonia.

– Kto daje w Polsce córce takie imię? – pomyślałem.

Kierowca oprowadził mnie po mieszkanku. Byliśmy już pod harmonogramem czasowym. W klubie ktoś na mnie czekał i miał mnie zapoznać z gabinetem.

Wyciągnąłem rękę do kierowcy. Podał skórzaną rączkę, przytroczoną do szelek Soni.

– Przejmie obowiązki przewodnika. Trasy nauczyła się w ciągu dwu spacerów.

Liczenie weszło mi w krew. Tysiąc trzysta kroków. Sonia zatrzymała się, wspięła się na tylne łapy i zadzwoniła do drzwi. Pamięciowa mapa traciła sens. Za wszystko wystarczała Sonia. Już za drzwiami nałożyłem drewniane saboty, wybite jakąś miękką gąbką. Dotknąłem ciepłej podłogi, ale nie okazałem zdumienia. Soni założyłem bawełniane papucie. Przez klub fitness prowadziła mnie administratorka. Słyszałem dyskretny szelest świetnie serwisowanego sprzętu rekreacyjnego. Wyławiałem egzotyczny zapach perfum i zmysłowy, kobiecego potu. W wyobraźni malowały mi się zgrabne, zaokrąglone sylwetki.

Salon miał pięć na pięć metrów. Centralnie stał zautomatyzowany, elektroniczny stół masażowy z ciepłym, bezszelestnym nawiewem. Miękki pokrowiec zmieniało się po każdym pacjencie. Ręce dotykały lakieru, chromu, szlachetnych odmian drewna, gładzi luster. Nogi grzęzły w wysokim runie dywanu. W szafeczkach, przeważał zapach mirry, tamaryndy, ylang ylang, kardamonu i eukaliptusa. Był aneks dla pacjenta z wieszakiem i skórzaną kozetką. Pod oknem zaciągniętym roletą, stał sekretarzyk z telefonem oraz skórzany, przepaścisty fotel. W

oparciach fotela, tkwiły przyciski sterujące drzwiami wejściowymi i regulujące głośność muzyki płynącej gdzieś z pod sufitu. Z saloniku wchodziło się do łazienki. Według zapewnień administratorki, wyłożonej włoskim alabastrem, z mnóstwem akcesoriów. Była tu kabina natryskowa o zmiennej geometrii. Salonik łączył się z jeszcze jednym pomieszczeniem. To przypadło mi szczególnie do gustu. Była tu dwuosobowa skórzana sofa, stoliczek i znowu skórzany fotel. W szafeczkach wisiały pachnące świeżością kitle. W obudowanej w drewno lodówce, stały soki, niżej, owoce i ciasteczka zawinięte w celofan. Nad chłodziarką znalazłem kawę i herbatę. W głębokiej wnęce za lodówką, wyłożonej jakąś miękką materią, było legowisko dla Soni. Sonia legowisko obwąchała i zasiedliła bez najmniejszych sprzeciwów. Podziękowałem administratorce. Zapadłem w fotel. W sekretarzyku były akcesoria znane mi dzięki jeszcze innej niż pani Joanna wykładowczymi. Miała poglądy zbliżone do mojej obecnej chlebodawczyni. Jak ona, moich sukcesów upatrywała w ekstremalnym wariacie masażowym. Nie wspomniałem o tym uczniowskim doświadczeniu, bo wydawało mi się aż do chwili obecnej, pewnym wynaturzeniem i sądziłem, że na to nie zasługuje. Takie sobie świderki, majsterki. Domyślałem się, że to zapewne jej zawdzięczałem „żelazne referencje”, o których wspomniała w rozmowie pani H.H.

Wykładowczymi była puszystą czterdziestolatką, wdową. Pachniała zmysłową wodą „Cristal Nor Versace”. Spotkała mnie wychodzącego z wykładów.

– Zapraszam pana na obiad do siebie – powiedziała. – Pogadamy o przygotowaniu do egzaminu. Dam panu parę dobrych rad. Potem pana odprowadzę. Do ośrodka kultury, w którym odbywa pan kurs stąd niedaleko.

Co mi tam. Kupiłem butelkę wina i poszliśmy.

– Nie minie rok i przeczuci się pan na masaż erotyczny – zapowiedziała wieszco moja gospodyni. – Jest parę przyczyn, dla których tak się stanie. Będę szczerą. Pieniądze, teżyzna, której panu nie przepuszczą kobiety, pańskie na nie zapotrzebowanie. Byliśmy przy deserze. Ponieważ nie zaprzeczyłem ciągnęła dalej:

– Klientkami będą zazwyczaj kobiety w moim wieku i nieco starsze. Najciekawsze, bo doświadczone, które rozumieją się na tej robocie i znają

niezliczone sztuczki. Niesłusznie uważane za wyuzdane. Mają naprawdę wiele do zaproponowania. Są, jakże często, wręcz pasją młodych ludzi. Koneserzy docenią, ciężkie, trochę obwisłe, jak dojrzały owoc, piersi i dorodne grzebienie w kroczu. Proponuję, abyśmy dziś, rozpatrzyli jeden, o wielkim znaczeniu, aspekt sprawy. Ma pan klientkę w wieku czterdziestu lat. Przyszła, by pan pomógł się jej dowartościować i spełnić. Nie wystarcza jej neking i petting. Jeden stosunek, to też dla niej za mało. Pan jednak... Zresztą nie leży to w zakresie pańskiego obowiązku, panie Adamie. Jakie znajdziemy wyjście?

Zbulwersowała mnie tak postawionym pytaniem. Wprowadzała mnie w tajniki życia, którymi dotąd nie zaprzątałem sobie głowy.

– Czy chce być pan moim uczniem?

Moja gospodyni wyjęła coś z szuflady i dała mi to coś, do ręki.

– Mankamentem naszego szkolenia jest obłuda. Tego się na kursach nie pokazuje, o tym się nie mówi. Połowa przyszłych pańskich klientek ma to u siebie w domu w zamkniętej szufladzie. Obmaciałem rzecz, siląc się na domysł. Nagle, to coś, zaczęło mi w rękach warczeć i dygotać. Nie byłem kiep, ale do niczego mi to nie pasowało. Może coś do masażu?

Moja gospodyni przyrząd wyłączyła.

– Proszę, panie Adamie, o masaż ćwiczebny pod moim nadzorem. Elementy erotyki zaledwie liznęliśmy. Od czego jednak fantazja i wyobraźnia? Wyjaśnię, czemu ten przyrząd służy, praktycznie. Idę pod prysznic.

Nadal obmacywałem tajemniczy przyrząd.

Do masażu, bo i do czegoż innego by to być mogło? Ale jak? Moja gospodyni była goła, co po moich wprawdzie niezbyt licznych, ale dość pamiętliwych doświadczeniach, nie napawało już mnie paraliżującym strachem, lecz ciekawością i natychmiastową gotowością. Nie uszło to uwadze mojej chwilowej instruktorki.

– Świetnie. Nie boisz się babskiego ciała. Proszę o petting. O tym teoretycznie była już mowa.

Przystąpiłem do zajęć praktycznych. Rozeznałem cycki i pokaźne brodawki. Dotykałem tych wzniesień, potknąłem się palcami o nierówność pępka. Szperałem

między bułkami tyłka. To prawdziwa radocha dla jurnego jebaki mieć na raz tyle ciała dorodnej babki w garści i robić z nim, co przyjdzie na myśl. Czerpałem je pełnymi garściami, a ona gorąca jak dymarka stękała: „Jeszcze! Jeszcze! Jeszcze!”

Przypomniałem zajęcia z Joasią. Egzotyczne nazwy Yoni i Ligam. Z delikatnością zatrzymałem się w przedsionku Yoni. Ułatwiła mi dostęp szerokim szpagatem. Schyliłem się i językiem rozwarłem dużą, soczystą bramkę. Po chwili miałem uczucie jakbym palce trzymał w pulchnym cieście. Była miękka, gładka, lgnąca do rąk. Ugniatałem fałdy brzucha. Zręcznie odkrywała przede mną miejsca gorące i zimne. Siorbnałem ogromne, szkliste płatki. Pęczniały, wypełniły mi usta. Smoktałem zapowiedziany grzebień, zdobiący tylko dojrzałe mamuśki. Byłem głupi, bojąc się lekko obwisłych piersi organiścichy i jej wielkiej szkarłatnej bruzdy między nogami.

– Trochę się na mnie wyżyj! Puszyste to lubią. – Instruktorce walczyła ze sobą, by zachować pozory pouczeń. – Przypomnij, co z cyckami robią niemowlęta. Poniewierają je! Jednak nie przedobrzyj, mój chłopcze! Proszę, och, nie przedobrzyj! Z ogromną ochotą spełniałem jej i własne sugestie. Kolejno: usta, cycki, grzebień. Nie czarujmy się, po prostu babę szykowałem do rżnięcia i żadne inne „ale” nie wchodziło w rachubę. Pieściła mi kark z matczyną delikatnością. Palce zginała i rozprostowywała rytmicznie, coraz szybciej. Zmogła ją, gdy po raz kolejny wypełniłem sobie usta jej grzebieniem. Rozczapierzyła palce, zastygła. Jęknęła. Podrzuciła brzuch, jakby się miało coś z niego wydobyć. Wielgachny wwiercał mi się w rozporek. Smak ciała, jej płasy. Przegięło mnie w krzyżu. Ledwo zdążyłem wsunąć kindżał w pochwę i lunąć gdzieś przed siebie.

Za moment znowu dotarłem do pulsującej, wilgotnej depresji między udami i wsunąłem tam czubki czterech palców. Wyjąłem ociekającą dłoń z jej gorącego schowka. Pochwyciła ją w obie ręce i zaczęła lizać.

– Proszę, zrób mi raz jeszcze.

Stłamsiłem rozczarowanie.

– Było świetnie. Zrób mi to raz jeszcze. Robisz to dla mnie, nie dla siebie. Nie musisz mylić tych dwu rzeczy. Wytarła sobie krocze zwilżonym ręcznikiem.

Ha! Więc w tym tkwi zagwozdka. Nieźle to sobie ustawiła. Odwróciłem ją na brzuch. Stała na kolanach i łokciach. Mocno ugniatałem zwisające piersi. Moja ręka powędrowała w dół brzucha i osiągnęła wrota, z których wciąż jeszcze wypływał śluz. Wstrząsały nią niepokoje. Znowu miałem ją w ustach. Wciąż na coś czekała. Sięgnęła po zagadkowy przyrząd. Wcisnęła mi go w dłoń i uruchomiła. Naprowadziła moja ręka na loszek. Rozgarnęła sobie włosy i zagłębiła przyrząd. Wibrował. Jasno pojąłem jego cel i przeznaczenie. Miał dać mi chwilę wytchnienia, a może i coś więcej, zastąpić. Z zaciekawieniem dziecka odkrywałem tajemnice zabawki. Wibrator grzął z łatwością. Zagłębiał się między jej uda, drżała jej miednica. Wyrzucała nogi przed siebie i padała na płask. Klękała. Manipulowałem aparatem z coraz większym zapalem, jak hydraulik przetykający rurę.

– Nie bój się. Wepchaj mi go głęboko razem z palcami. Będę krzyczała.

Z krzykiem też się musiałem oswoić. Zrozumieć, że wcale nie musiał być wyrazem bólu, czy rozpacz. Nie byłem jednak przygotowany na finał. Nagle odebrała mi prowadzenie wibratora. Wolną dłonią silnie objęła mi wielgachnego. Masturbowała go.

– Dlaczego się go wstydzisz? – spytała. – Spostrzegłam to na ćwiczeniach. Myślisz, że możesz tym którejs z nas zrobić krzywdę? Wszak wiesz, że rodzimy dzieci, że tędy wydostają się na świat. Jesteśmy bardzo elastyczne. Masz skarb budzący pożądanie u rozbudzonych kobiet. Wibrator zamilkł.

Klęczała przede mną. Poczulem gorąco jej ust. Targałem ją bezwiednie za włosy i z przerażeniem i nieznaną rozkoszą, dałem nura wielgachnym między mięsiste wargi, w czeluść sprężystego ozora. W chwilę po tym drapieżnym stosunku, byłem gotów do następnego i miałem ją pod sobą na czworakach. Jednak ona ręką naprowadziła sobie wibrator na odbyt i gwałtownym rzutem utopiła go w sobie. Ja miałem się zająć dołem. Nie fantazjowała mówiąc, że dojrzałe kobiety znajdują się na robocie.

Z rozmowy z panią H.H. wyłonił się obraz nowej pracy. Dlaczegoż miałbym się izolować od świata? Kołatały wprawdzie we mnie reminiscencje detki i anioła. Ale nie miały decydującego znaczenia. Żadne wyrzuty sumienia mnie nie

prześladowały. Czułem się skrzywdzony przez los i nie zamierzałem siedzieć z założonymi rękami. Musiałem zdobyć pieniądze na leczenie. Wymarzyłem to sobie. Dotychczasowe doświadczenia z kobietami nie zniechęcały, a wręcz rozpałały moją wyobraźnię. To nie był czas na opamiętanie się. Jak kto inny w alkoholu, ja swoje troski postanowiłem topić w seksie. Zresztą, czy miałem w życiu jakiś rozsądniejszy wybór? Czy mogłem nim samodzielnie pokierować? Godziłem się na to, co stwarzało nadzieje. Za późno było na wycofanie się z gry. Asymilowałem się do nowej rzeczywistości. Po rozpoznaniu saloniku, zmęczony nadmiarem wrażeń, zapadłem w pół sen.

Wróciłem do chaty, by spotykać się z doktor Elżbietą. Słyszałem, a nawet zobaczyłem szczygła. Zaleciały mnie zapachy wsi. Oto jadę sobie na furze siana, wysoko, ponad przydrożnymi jabłonkami. Czuję swojski zapach czesanej zgrzeblę naszej kobyłki. Pachnie koperkiem, amarantową marchewką, rozgrzanym, czarnym słonecznikiem w matczynym ogródku. Zwęszyłem marynowane korniszony i ciemnoczerwone konfitury z poziomek.

Do rzeczywistości przywołał mnie telefon. W słuchawce odezwał się znajomy, energiczny głos.

– Jak samopoczucie? Chcę wpaść do pana – powiedziała pani H.H.

Natychmiast postawiłem się w stan najwyższej gotowości. Z właściwą mi przedziwną zdolnością przeistoczyłem się w żołnierza gotowego wykonać każdy rozkaz.

– Witam – powiedziałem do przybywającej pani H.H., nie używając ani imienia, ani nazwiska, by uniknąć podejrzenia o próbę poufałości.

– Dziękuję za Sonię i chciałbym ją spłacić.

– Co to, to nie. Od prezentu się pan już nie wywinie nawet po wyzdrowieniu.

Nie jestem z natury sentymentalna. Przy panu można się tego chyba nabawić? – powiedziała bardzo przyjaznym tonem pani H.H. – Czy coś pan zauważył?

Ukloniłem się.

– Eliksir owocowy, miód, paczuli, wanilia, kumaryna, czekolada, karmel.

Nazwy nie znam.

– Zachwycające. Tak. Perfumy Angel, Thierry Mugler, Francja. Czy pan kocha

kobiece ciało?

Potwierdziłem z zapalem.

– Spytałam nie z racji wątpliwości. Tej nie miałam, lecz po to, by podkreślić wagę pańskiej deklaracji wobec zadań, które postawią przed panem moje, a właściwie pana, klientki.

Jej słowom przytaknałem ze zrozumieniem głową.

– Przekażę panu parę spostrzeżeń i obiecuję nigdy do nich nie wracać, by nie wyręczać artysty w malowaniu. A mam przekonanie, że zatrudniłam artystę. Proszę, niech pan nie pyta klientek, choćby w najlepszej wierze, o wiek i o dolegliwości. To, tutaj, nie ma najmniejszego znaczenia. Ich przypadłości mają źródło psychologiczny. O tym wiedzą i dlatego tu przychodzą. Oczekują relaksu, który odmieni ich życie, choćby na krótko. – Pani H.H. zawiesiła głos. – Kobieta z zasady nie obwinia się o nic, do chwili, gdy się nie odda. Nie narzucaj się, więc ze swoją męskością. Jeśli kochasz ciało kobiety, jeśli je wypieścisz, wyjdą stąd szczęśliwe i dumne. Wolno ci wszystko, no prawie. Wszystko, na co przyzwolą, lub, o co poproszą. Nie wolno ci nic, co mogłoby je zabołec, urazić, lub, co najgorsze, upokorzyć. Odmówić możesz – znowu zawiesiła głos – zawsze siebie. Tego nie ma zapisanego w kontrakcie między nami, ani w umowie z klientkami. Aczkolwiek... Sam podejmiesz decyzję, sam inkasujesz dodatkowych pięćdziesiąt procent od ceny wizyty. Pani H.H. zaczęła mi mówić na „ty”, a mnie to wcale nie przeszkadzało. Dzielila nas zarówno różnica wieku, jak i pozycja społeczna.

– Proponuję ci trzydzieści procent od wpływu oficjalnego. Firma zapłaci ubezpieczenie – dodała.

Skinieniem głowy potwierdziłem, że zgłoszone uwagi rozumiem, a warunki akceptuję.

Na chwilę zapadła cisza. Czulem, że moja chlebodawczyni oczekuje czegoś więcej ode mnie. Byłem zbyt nieobyty, aby się samodzielnie domyśleć. Do głowy by mi nie przyszło, że ma chęć się przed chłopcem ze wsi obnażyć, pozwolić się dotknąć, a nawet pieścić. Jej eleganckie perfumy Angiel, Thierry Mugler, wydawały się mówić, że dla takich jak ja, jest niedostępna. Z czasem przekonałem się, że sto

razy trzeba przemyśleć odpowiedź, nim się wyciąganie wniosków wobec kobiet, na podstawie używanych przez nie perfum. Na razie pomyślałem, że mógłbym dotknąć jej pewnie pięknego ciała, stanowczo wydał mi się szalony i nedorzeczny.

– Czy mogę otworzyć listę twoich pacjentek? – spytała pani H.H., nie mogąc się doczekać z mojej strony najmniejszego przejawu inicjatywy.

Skłamałbym, twierdząc, że nie ugięły się pode mną nogi.

– Wszystko przygotuj. Skoczę pod prysznic – powiedziała pani H.H.

Bezszelestnie położyła się na stole i od tego momentu zaufałem instynktowi. Zapach jej ciała kojarzył mi się z błękitem, był chłodny i rześki. Zasadami i regułami masażu się nie katowałem. Ale narzuciłem sobie działanie wolne i z rozmysłem. „Nie masz prawa jej niczym zrazić!” Dotknąłem chłodnego aksamitu. Nagość mnie nie speszyła – odprężyłem się. Kantem dłoni rozluźniałem i rozgrzewałem mięśnie pleców pani H.H. Wlewałem w nią czerwone iskierki podniety i przychodziło mi to z łatwością. Ożywcze następstwa klasycznego masażu stały się później osią mego repertuaru erotycznego. Uciskałem ciało poduszkami kciuków, wzdłuż kręgosłupa, do kości krzyżowej, przyciskając krótko. Głęboko zataczałem kciukiem niewielkie kółeczka, a gdy dotarłem do nieco zbyt wypiętych pośladków, nie przerywając masażu, marszczyłem całe płaty elastycznych, dużych mięśni. Ugniatając, jakbym miesił ciasto, chwytalem raz jedne, raz drugie fragmenty wyraźnie jędrniejszego i coraz gorętszego ciała. Ruchem fal, zalewających nadbrzeżne skały, przesuwalem obie dłonie wzdłuż tułowia, od nóg aż do ramion i karku, po nasadę włosów.

Wślizgnąłem się na karku palcami pod włosy. Zadrzała. Penetrowałem uparcie tył głowy. Drugą ręką naszczypywałem biodra i niżej pośladki. Początkowo beznamiętna, stawała się gra palców agresywniejsza, mniej zawoalowana, erotyczna. Ruchy miałem powolne i rytmiczne. Przenosiłem gromadzące się ciepło na alabastrowe łydki, sprężyste podudzia, uskoki, wgłębienia, prowadzące do miejsc jeszcze głębszych, już bezwiednie rozwieranych i zwieranych, ale wciąż jeszcze świadomie nieudostępnianych moim palcom. Ta biznesmenka dała się kierować jak pacynka. Podskakiwała. Przeginała się w pasie. Chwytała się za głowę i za piersi. Lekko unosiła się na kolana. Tworzyła figurę, kiedyś oglądanego przeze mnie

sfinksa.

Wolno traciłem dla niej bezrozumny szacunek, na rzecz zaciekawienia jej kobiecością, powabami, których mi nie szczędziła. Wykonałem kilka pasaży palcami wzdłuż kręgosłupa, w górę i na dół, naruszając kruchą granicę między relaksem, a seksem. Zbliżyłem się do łona i udając nieświadomego, bezwstydnie, nie bez lęku, gładziłem rozwarty, napęczniały, więc lekko wywinięty kołnierzyk. Nie skarciła mnie najmniejszym odruchem niezadowolenia. Użyłem czułego dotyku u wrót Yoni. Druga czakra, całe kobiece wnętrze, rozszerzało się i czekało na Lingam. Yoni było bez cienia zarostu. Jedwabiście, dziko podniecająca.

Nie byłem neutralnym masażystą. Często nim nie byłem i później. Właściwie w wielu wypadkach nim nigdy nie byłem. Erekcja była wyraźna i niewątpliwa, zdradzało ją uwypuklenie dresów. Górę wzięła niewyżyta i nieokiełznana młodość. Napalony, zachęcony straciłem nagle nieśmiałość, miałem chęć natychmiast jej wsadzić. Gnało mnie tam. Wypływała ze mnie i moczyła mi udo strużka śluzu. Nie czas był na analizę, źle to, czy dobrze. Mój wielgachny wyrwał się z pęt spodni. Nie znałem skutecznego zaklęcia, by odmienić ten stan rzeczy. Wytryskowi w spodnie nadałem możliwie kontrolowany przebieg. Nie obeszło się jednak bez jęku. Sięgnąłem drżącymi z emocji rękami pod brzuch i złowiłem rozhuśtane piersi. Zjeżyły się i zeszywniały. Jak pękające owoce kasztana, puściły lepkie mleczko. Życ mojej szefowej była jędrna. Wiem. Wciąż jeszcze zbyt często posługiwałem się słownictwem mojej młodości. Sporo minęło czasu, nim zastąpiłem go w myślach i mowie słownictwem godnym salonu.

Pachniała mi świeżą, ciepłą śmietanką i świeżym ogórkiem. Soczystość wymykała się z ust. Wszystko w niej drobniutko i szybko drżało. Pani H.H. poruszyła gwałtownie pośladkami. Nie był to odruch niezadowolenia, czy upomnienia. Zaczęła rytmicznie cofać i na przemian wypinać swój tyłek, tak, jak to robią rozognione samice wielu gatunków zwierząt, nie mogąc zaspokoić swojej naturalnej potrzeby rozrodczej.

Przerzucałem w myśli wszystkie zasłyszane pomysły, aby wpaść na ten właściwy i wygodzić mojej dobrodziejce. Pozycja sfinksa nasuwała wniosek

jednoznaczny. Natarcie należało przeprowadzić od tyłu. Czy miałem jednak jej przyzwolenie, abyśmy odbyli stosunek? Coś mnie przed tym ostrzegło.

Poszedłem po rozum do głowy. Wyjąłem z szufladki wibrator. Zaczął szumieć. Pani H.H. palcami lewej ręki rozsunęła szczelinę. Byłem więc na właściwym tropie. Z całą delikatnością, utopiłem wibrator w mokrym, jakże ścisłym przesmyku. Zgraliśmy się. Jej ciało podchwyciło rytm mojej ręki. Gdy wibratorem szpuntowałem, ona po chwili go wypychała. Nurkowanie stawało się szybsze, gwałtowniejsze. Wnikałem w rozognione wnętrze. Drugą ręką pieściłem kobiece gniazdo. W moją szefową wstąpiły nieczyste siły. To one skręcały i kurczyły ciało pani H.H. Kazały jej klaskać, jak nieznanemu ptakowi. Widocznie utrafiłem. O, moja ty niezastąpiona, puszysta instruktorko z ośrodka kultury śródmieście! – krzyknęło coś we mnie z wdzięczności.

Leżała na płask na brzuchu z rozłożonymi rękami i nogami. Dochodziła do siebie po silnej fali wzruszeń. Podniosła pupę do góry i ocierała się o mnie.

A gdyby? Przypomniał mi się casus mamuśki z kursu. Czyny wyprzedziły myśli. Pograżyłem wibrator w szczelinę wyższą, pomarszczona, niedoceniana. Pani H.H. znieruchomiała na tę zuchwałość. Zastygła. Spięła się, jak koń dźgnięty ostrogą. Zarżała. Zwaliała się na brzuch. Biła się o stół masażowy, jak ryba o lód.

– Byłeś, chłopcze cudowny, niesamowity! – krzyczała.– Skąd ty to wszystko wiedziałeś? – spytała z nieukrywanym zachwytem. – Skąd u ciebie taka perwersja?

Nie mogłem uwierzyć we własne szczęście. Po chwili rozległ się szum prysznic.

– Cześć! – powiedziała. Rozstaliśmy się, jak para przyjaciół.

Znaczenia słowa perwersja, dowiedziałem się znacznie później. Wtedy sądziłem, że pochwaliła mnie za zawodowe działanie.

Dwa bieguny

– Panie Adamie, panie Adamie – usłyszałem ciche wołanie. Za drzwiami saloniku stała administratorka. – Zaraz przyjdzie żona któregoś z wicemarszałków Sejmu, czy Senatu, coś takiego. Nie pod swoim oczywiście nazwiskiem. Dużo młodsza od męża. Kobieta arogancka i pewna siebie. Firmie bardzo na niej zależy. Przyjdzie bez wiedzy męża, więc może będzie mniej ekspansywna. Mówię to panu sama od siebie. Dla pańskiego dobra. – Administratorka znikła, zostałem z własnymi domysłami.

– Sterylny gabinet rozpusty – usłyszałem głos rozleniwionej i kapryśnej dziewczyny. W saloniku powiało zapachem ekskluzywnych perfum Trauble, znanych mi u jedynej klientki, śpiewaczki opery.

– Czuję się, jestem zaniedbana. Zmyliłam pogonie, potrzebuję relaksu. Lubie być traktowana jak kurwa.

Przełknąłem z wrażenia ślinę. Mocno powiedziane. Z usług tych istot nie miałem okazji korzystać. Od czego jednak wyobraźnia. Od kurew wymaga się działań pokrewnych do moich. Tyle, że bez rękawiczek. To zapewne miała na myśli pani dygnitarzowa. Zezwalała mi na coś w rodzaju teatru, jednoaktówki, w której ona wciela się w kurwę, a ja w zawianego klienta. Zależało na niej firmie, więc i mnie na niej, tym bardziej. Podkusił mnie detko. Zaryzykowałem całą swoją dalszą karierę. Walnąłem z najgrubszej rury:

– Więc, na co czekasz, suczko? – zadedykowałem słowa, podsłuchane gdzieś w parku. Chłopak i dziewczyna na sąsiedniej ławce nie tylko nie krepowali się niewidomego z psem, lecz wykorzystali jako podsłuchiacza. – Czy mam cię dmuchnąć na stojąco, w przyodziewku? – dorzuciłem, też zasłyszane. – Nie daj czekać! – Bardziej wymyślnego grubiaństwa nie znałem.

– Och! – stęknęła z aprobatą. – Jakiś ty cham. – Rozbierała się rzucając ciuszki pod nogi.

Wiedziałem, czego się trzymać. Nie spuściłem z tonu.

– Co my tu mamy? – obmacałem ją, jak ojciec na piątkowym targu diabelną

klacz, źródło jego i mego nieszczęścia. – Cychy rzepy, jest się, na czym pohuścić. Biodra – skromnie. Można się poobijać. Te wynurzenia zaczerpnąłem już z rodzimego słownictwa.

– Tego cwaniaczku za wiele. Grzało mnie wielu i nikt się nie poobijał. Nie muszę być dla byle chuja za hamak.

Po raz pierwszy dotarło do mnie, jak obrzydliwa jest wulgarność. Słownictwa tej pani pozazdrościłaby pijaczka i prostytutka z ostatniej zachowanej w okolicy mego mieszkania czynszówki.

– Ich sprawa, Twierdzą, że biodra męskie. Można się poobijać. No i przyciasnawo.

– Zgrywasz się na Rasputina?

Tym Rasputinem mnie zagięła. Słyszałem o Miczurinie.

Usiadłem na brzegu stołu i zrobiłem znudzoną minę.

– Chcesz mnie zamrozić? – Pani X spokorniała. – Wierz mi, nie jestem nadętą cipą. Gdybyś trafił na sponsora o czterdzieści lat starszego. Czy to by cię kręciło?

Nie zamierzałem prostować jej życiowych dróg, ani udawać zatroskania. Pozostawała jednak wciąż cenną klientką.

– Czy trwasz przy pomysle dziwki? – spytałem. – Może masaż zrobimy jednak w innym wcieleniu?

– Jestem dziwką. Wcielam się jedynie w bogobojną małżonkę impotentą.

Milczałem. Kto wie, czy w rzuconych na podłogę ciuchach nie ma podsłuchu? Słyszysz się o tym. Może to podpucha? A może zgrywa? Potem, w domu, będą się podniecali nagraniem rozmowy. Wciąż byłem podejrzliwym wieśniakiem.

– Czy jestem, jako dziwka odpychająca? Na skinienie tego upierścienionego w rubiny paluszka przeleci mnie każdy, do ministra włącznie? Czy mam ci powiedzieć o tobie?

– Jest pani jednak nadęta – nie oddałem jej inicjatywy.

– Ty zaś hipokrytą. Uważasz nas wszystkie za dziwki, tylko mnie odmawiasz tego prawa. Uparłeś się?

– Kładź się! – znowu się wczułem w rolę knajaka. – Chcesz, to będziesz

miała.

Położyłem ją na brzuchu. Ta pozycja mnie mocno kręciła. Dlaczego więc miałem sobie odmówić? Do dzisiaj lubię. Lubię przewycięzać tworzące się w pozycji od tyłu, wąskie, jak w karafce gardło, i wyskakiwać w mięką, jak rękawiczka przestrzeń.

– Unieś się na łokciach – zadysponowałem. – Loszek wyżej. – Sięgnąłem pod brzuch po twarde bufory. To było coś dla mnie. Piersi, zwłaszcza takie nawisłe, właśnie tak. Wielgachny dotykał mi niemal pępka.

– Loszek? Mam, co najwyżej norkę. Też mi coś. Pozwól mi go popieścić – poprosiła przymilnie pani X. Rozpaliłem jej wyobraźnię prowokacyjnym stwierdzeniem o ciasnocie jej wnętrza.

– Nie! – odparłem krótko.

Zgrabnie naprowadziłem wielgachnego na nieodmknęty futerał pani X. Uniosła się z kolan na palce stóp. Chciała spojrzeć. Ujrzeć choćby przez chwilę, uwierającego ją w brzuch drąga. Zwinęła się w pałąk, gdy wielgachny zaklinował i wyciskając powietrze z jej wąskiego wlotu parł, jak tęgi kołek do środka. Nie mogła dobyć głosu. Uderzała rękami o stół, jak wielki, przygwożdżony ptak próbujący zerwać się do lotu. Prułem jej sztolnię. Kilkakrotnie padała. Zwycięsko się podnosiła. Nie ustawałem. Doczekałem się finałowej odsłony, granej przez nią roli dziwki. Byłem naprawdę jej usatysfakcjonowanym klientem.

– To, co zarabiasz i drugie tyle. Chce cię mieć tylko dla siebie. Co ty na to?

Znałem nieprzekraczalne granice ustępstw wobec nawet tak ważnych klientek.

Chwyciłem się silnie za głowę. Z krzykiem pobiegłem do pokoju odpoczynkowego. Wiłem się, jak w epilepsji. Pani X nie wezwała pomocy. Z zadziwiającym spokojem odczekała mój udawany atak, a ja, wyostrzonym słuchem wyłowiłem dźwięki świadczące, że zainteresowała ją stojąca w saloniku sekretera.

– Nie bądź dzieckiem – powiedziała. – Żartowałam. Wiem, że taka propozycja jest dla ciebie nie do przyjęcia. Będę tu jedynie często wpadała z zachowaniem pełnej ostrożności i dubeltowa zapłata. Tego mi nie odmawiaj.

Tuż po jej wyjściu przejrzałem sekretkę. Byłem pewny, że zainteresowały ją

zgrupowane tam akcesoria z sex shopu. Wszystko leżało na miejscu. Dolna, pusta szuflada, była leciutko niedomknięta. Schyliłem się i natychmiast uderzył w moje nozdrza nieznany, mdły zapach. Nie był to żaden ze znanych mi dotychczas zapachów kwiatowych, owocowych, zielonych lub drzewnych. Kojarzył mi się bardzo luźno z zapachami ambrowymi, słodko-korzennymi, ciepłymi, trwałymi. Pomacałem ręką. Coś tu się rozsypało. Na opuszkach palców pozostał osad, jak kreda albo mąka. Liznąłem. Smaku tego nie miało. W szufladzie była też niewielka karteczka papieru. Nigdy do tej najniższej szuflady nie zaglądałem. Poprosiłem pod jakimś błahym pozorem sprzątaczkę do siebie. Gdy już wychodziła z saloniku powiedziałem:

– Klientka zgubiła jakąś karteczkę, może coś ważnego?

– „Migdały w Morskim Oku w piątek” – przeczytała treść kartki. – Idiotyczne!

Wyrzucić?

– Nie, może to jakiś motyw piosenki. Była dziś w saloniku śpiewaczka.

Po jej wyjściu położyłem kartkę na miejsce. Byłem zaintrygowany. O co tu mogło biegać? Co zabrała ze sobą w nieszczęlnym opakowaniu pani X? Może to były narkotyki? Nie znałem ich zapachu. Czy to ona zostawiła niezrozumiałą informację? A może tą informację pozostawił ktoś inny? Może nie była przeznaczona dla niej? Kto i kiedy zostawił w szufladzie nieznaną przesyłkę? Postanowiłem szufladę wziąć pod nadzór specjalny.

Kto jednak mógłby mi pomóc w rozwiązaniu zagadki? Nie miałem przecież jak przeczytać ewentualnych informacji, ani stwierdzić, czym jest zawartość przesyłki?

A Sonia? Przecież to pies policyjny, tyle, że niezbyt, jak na gust mundurowych, posłuszna. Była szkolona między innymi do wykrywania narkotyków. Cicho gwizdnąłem pozostawiając otwartą szufladę. Odszedłem od sekretery. Wilczyca otarła się pyskiem o moją rękę sygnalizując swoją obecność.

– Szukaj narkotyków! – powiedziałem głosem mundurowego.

Zakręciła się i usiadła. – Szukaj trawki! – wrzasnąłem. Zrozumiała. Ruszyła w stronę sekretery. Po chwili krótko szczeękła. Byłem niemal pewny. Potwierdziła mój

domysł.

Pani Z.K. mówiła cichutko, głosem śpiewnym i zalęknionym. Czy na pewno trafiła pod właściwy adres? Wzbraniała się przed rozbieralnią. Siadła na brzegu kozetki i milczała. Milczałem sądząc, że sprawa się sama wyjaśni. Moja klientka powiedziała:

– Jestem tu za namowa przyjaciółek, niemal wbrew sobie. Czy jest pan to w stanie zrozumieć? – spytała. Mówiła tak cicho, że musiałem się nad nią schylić.

– Oczywiście – zełgałem, bo przecież niczego nie rozumiałem.

– Trochę posiedzę i pójdę. Niech przyjaciółki wiedzą, że nie stchórzyłam, ale że nic z tego nie wynikło.

Ha! Coś jednak zrozumiałem.

– Do czego chce pani je przekonać?

– Że nic nie jest mi w stanie pomóc. Jestem niewydarzona.

– Proszę mi podać rękę.

Pani Z.J. wahała się, bo trwało to dość długo.

Ująłem smukłe, zimne dłonie i leciutko je uścisnąłem. Odpowiedział mi daleki, prawie nie wyczuwalny uścisk. Ogrzewałem jej dłoń ruchem pełzającym, zewnętrzną powierzchnią kciuka. Zsunąłem pierścionek z palca i położyłem na stoliku obok. Odpiąłem bransoletkę zegarka. Nie protestowała, aczkolwiek to był początek negliżu. Delikatność, perwersja i gra, ujęły ją, zaciekały. Wciąż kciukiem, ucisnąłem parokrotnie, mocno jej jeden, a za chwilę drugi kciuk. Niepostrzeżenie dla samej siebie rozluźniła się. Budziła się z jakiegoś chłodnego odrętwienia. Ucisk krawędzi nadgarstka, potem skraju dłoni poniżej małego palca, pobudził witalność, radość, pożądanie.

Odgiąłem długie wypielęgnowane paznokcie. Bezwiednie wbiła mi je ostrożnie w dłoń. Bez żadnych oporów, zdjąłem z prawej nogi pantofel. Ująłem jej stopę prawą ręką, a palcem wskazującym lewej, masowałem od czubka pięty do zewnętrznej kostki. W odruchu lekko rozwarła nogi. Złożyłem ręce na jej barki pocierałem szyję i górną część pleców, ugniatałem ku górze boki szyi, aż stały się

miękkie i ciepłe.

Przeczesałem głowę, nawijając jedwabiste włosy na palec. Drżała. Tuliła policzek do mojej ręki. Pocierała się uchem. Znowu ująłem ją za rękę i uciskałem każdy palec po kolei. Powoli przesunąłem dłoń w górę do jej ramienia, wokół barków. Zatrzymała i położyła ją sobie na falującym biuście.

– Rozbiorę się – szepnęła.

Paraliżującemu wstydowni na zmianę przyszła wzmożona ruchliwość i wyczuwalna nadpobudliwość. Ciało pani Z.J., jak trawa o poranku, pokryło się drobnymi kropelkami rosy. Pachniała świeżo i podniecająco. Położyłem dłoń na pagórkach stromych z czapeczkami, jak szypułki żołądka. Drugą, sięgnąłem do granicy twardych, wijących się włosów. Wylewały się, jak fala na gładki, pozbawiony grama tłuszczu brzuch. Piersi były alabastrowe i chłodne. Drażniłem je w nadziei, że są nie tylko piękne. Pod pępkiem było gorące źródło i stąd wypęły obudzone żądze.

Pieściłem te jej kamienne obłości, brzuch i uda. Marszczyły się, jak lustro wody pod podmuchami wiatru. Gdy zbliżyłem się do pomarańczy z brakującą cząsteczką owocu, pani Z.J gwałtownie zatrzepotała rękami. Zmierzwiała sobie włosy.

– Nie! Nie! Nie! Po stokroć nie! Nikt mi cipki nie całował. Nie! Wstyd mi. Nie!

Pozornie odstąpiłem od zamiaru. Wiedziałem, że tam właśnie, w pomarańczowej skórce soczystego owocu znalazły u pani Z.J. siedlisko piorunujące moce. Musiałem tę szkatułkę otworzyć kluczem „Czakra korzenia”. To sposób przywracającym wolę, płodność, prokreację. Masowałem, wklęsłość. Nie rozwierałem jej. W pachwinach i wyżej, delikatnie, paznokciami zaczepiałem i drażniłem cebulki włosów. Rozchylała uda. Wilgotniała. Nagarniałem do brzegów pęczniejącej bruzdy ciepło. Rozstępowała się przed najlżejszym muśnięciem. Prowokowała, była już w stanie wessać. Pod kobiercem włosów pulsował elastyczna zasadzka.

Bez ładu i składu, podnosiła się, siadała. Kładła i znowu się podnosiła. Tężała i wiotczała, całowała moją głowę i szyję. Dotykała nieśmiało ręką wielgachnego i

cofała rękę w popłochu. Objęła mnie ramieniem za szyję, a wolną ręką rozpięła fartuch i koszulę. Potarła się o mój tors. Pocałowała przez twarde włosy pierś. Szukała ustami języka. Płochliwie sięgnęła do błyskawicznego zamka u spodni. Gotowała się do miłosnych godów.

Nie odrywałem dłoni od rozwartej, szklistej rysy. Przyciskałem ją dość silnie. Spodem drażniłem, twardą, wielkości małego palca, łechtaczkę. Wiła się.

– Jestem wstrętna! Czyż nie? – Głos miała chrapliwy, przerażony. Opuściłem stół. Schyliłem się. Położyła mi nogi na barki i zeszywniała z emocji.

Wypełniłem otwarty przesmyk językiem. Rozmywałem, znane mi z własnego doświadczenia, narodzone z odmienności kompleksy. Lizałem dorodne pnące. Krzyknęła. Upadła do tyłu. Znieruchomiała. Krzyknęła przeraźliwie. Wyplątała ręce z mych rąk i chwyciła się pod pośladki. Tarła dłońmi brzuch i łono. Dotknąłem łechtaczkę wielgachnym. Palcami udostępniała wlot i stękała. Mocowała się. Nie przerywając jazdy, pieściłem. Wziąłem udział w amoku. Szukała mnie rękami, udami, piersiami. Podrzucała biodra i uderzała silnie pośladkami o stół masażowy. Drażyłem bezlitośnie. Dała upust nagromadzonym siłom trzeciej czakry i zaległa w cichości.

– Jestem wdzięczna, wdzięczna, wdzięczna! Przyjaciółce, panu, światu. Odnalazłam się. Rozwiode się. Nie jestem winna, że nie dojrzał we mnie kobiety. Położyłem dłoń na jej łono, drugą na piersi. Zdumiałem się. Piersi też były lepkie.

Szeherezada

Tego dnia klientki trafiały mi się, jak kapryśne dni wiosną.

– Chcę, abys mi pieścił piersi. Nie robił cyrku, że ich prawie nie mam.

Na castingach macają, pytając, czy nie jestem trans. Narzeczony też nagle dostrzegł ich brak. Szarpie, jakby miał pretensję. A przecież temu, zawdzięczam, że jestem modelką z pierwszej półki. Paradoks? Większość projektantów to homoseksualiści. Zmęczyłam się tą wieczną sztuczną euforią i zalotnością na wybiegach, rolą marionetki. Chcę się poczuć kobietą spod Rzeszowa. Mam piersi małe, kiedyś dotknięcie wprost mnie elektryzowało, a dziś są mi niemal obojętne. Czy to się z czasem tak w ogóle zmienia, czy tylko u mnie? Nowa klientka pachniała perfumami z tak zwanego układu serca. Takie perfumy są bardzo trwałe i delikatne, ale zapadają w pamięć.

Stosowałem zasadę, że jeśli mnie klientka na wstępie tyka, i jeśli jest młoda, ja również przechodzę na ty.

– Jak sobie życzysz – zgodziłem się.

– Czy przychodzą do ciebie modelki? – spytała, zrzucając ciuszki.

– Mało kto zwierza się mi ze swego zawodu. Ja zaś nie pytam.

– Mamy coś ze sobą wspólnego. Jestem towarem na sprzedaż, podobnie jak ty.

– Jeśli tak sądzisz.

– Nie chciałam cię urazić. Oboje jesteśmy chodliwym, ale tylko towarem. Nie mam nawet prawa do oceny, czy ciuch jest piękny, czy nie. Nie mogę powiedzieć, jaki beznadziejny ciuch. Ja go mam najlepiej zaprezentować. Nie do ciebie, należy ocena kobiecości. Nie powiesz mi: „taka zabiedzona, bez cycek, bez bioder, co z niej za kobieta?” Masz mi jedynie dogodzić. Nosisz koszulkę sportową „Dżilas”. Czy wiesz, że ja je wprowadziłam na rynek? Tym brakiem solidnych piersi, który w trykotach wydaje się u kobiet szczególnie seksualnie niepokojący. Jeśli nosisz również majtki tej firmy, to je zawdzięczasz moim chudym biodrom i udom.

– Mój wybór ciuchów jest machinalny – odparłem, nawilżając dłonie olejkim. – Czy nie prościej powiedzieć, że na świecie wszystko jest po trosze

potrzebne, i wszystko, jest po trosze na sprzedaż? Lubisz mówić o małych rzeczach, wielkimi słowami.

– Jakiś ty elokwentny. Proszę, nie zdziw się – poprosiła z ujmującą bezradnością.

Temat piersi można omawiać na wiele sposobów. Jednak w jej wypadku... Trzeba by mieć bujną wyobraźnię, a tego mi nie brakowało. Na kursie, zaliczono by ją do typu anorektycznego. Natura wynagrodziła ją długością nóg. Położyłem dłonie na wypukłościach, jak u początkującego kulturysty. Pulsowały. Delikatnie masowane, napinały skórę. Wypiętrzały się, nabierały kształtu kasztanów. Kolejno zassane mieściły się w ustach. Brodawki wielkości piegów sterczały, jak ostre dziobki piskląt. I wcale to nie było głupie. Muskała palcami mój kark. Z jej ust nie wydobyło się najcichszy westchnienie czy jęk. Czy to możliwe, żeby człowiek aż tak chłodno odnosił się do wrażeń emitowanych przez własne ciało? Przemiennie masowałem opuszkami palców piersi i brzuch. „Może dałaby tu jakiś rezultat działająca bardziej na wyobraźnię figura?” – pomyślałem.

Poprosiłem, by przewróciła się na brzuch i oparła na kolanach i łokciach. Dotyk brzucha i piersi od dołu. To niby nic, a jednak pewna sztuka. Podłożyłem prawe przedramię pod oba wzgórki, a lewą rękę wsunąłem od tyłu, między uda pod brzuch. Rytmicznie poruszałem całymi płatami ciała na brzuchu i piersiach. Nasadziła mi się mocno kroczem na nagi mięsień naramienny i, jak Sonia gorącym ozorem, tak ona pocierała go wilgotnym rozwarciem. Byłem wprost nieprzyzwoicie podniecony zapachem lepkiej wydzieliny, toczącej mi się cienką stróżką, wgłębieniem mostka z ramienia. Przygniotła moje obie ręce brzuchem do stołu, wzmogła uścisk ramienia i w zupełnej ciszy, masturbując się na moim ramieniu, przeżyła swoje uniesienie. Odwróciła się na plecy. Musnęła mi wargami usta. Gładziła mi dłońią głowę.

Nachyliłem się i ustami dotknąłem jej wygolonych dołków pachowych. Drażniłem ustami wewnętrzną, podnieconą, jakby spierzchniętą powierzchnię ud. Wróciłem do dzióbków na wzgórkach. Ssałem. Wyrzuciła z siebie kłębuszek jęków. Drząc stygła.

– Gorąca terapia – szepnęła.

– No i proszę. Co jest właściwie grane? Na co narzekasz?

Powiedziała:

– Tak dobrze robił mi w dzieciństwie brat.

– Lubisz zmyślać? Chcesz szokować? Jeśli ci to jednak do czegoś potrzebne...

– Pieściliśmy się tylko. Potem jeden taki mnie... Po tym przestało mnie brać. Taki jest los niemal wszystkich modelek. W moim świecie biznesu uważają, że jeżeli na zdjęciu nogi, tyłek i twarz wypadają dobrze, to modelka jest git. Dobrze się jej płaci. Jest do reprezentacji. W życiu nie musi być seksy. Nie powinna być seksy. A już nie daj Boże ciąża. To, jak grzech śmiertelny, na który nie ma rozgrzeszenia. Kosztowny wieszak. Narzeczonemu imponowałam na ulicy. Do łóżka ciągnął te z biustem i dupą. Leciał na moją forszę, więc go pognałam. Milczałem. Samotność nie ma widocznie jednego oblicza, i ta moja, wcale nie jest czymś szczególnym.

– Będę normalna. Przypomniałeś mi, że mam macicę. Zamierzam z tego przypomnienia skorzystać – dodała. – I przepraszam za cyrk z uszczypliwościami. Nie jesteś żadnym towarem. Jesteś niezrównany. Dokonałeś ze mną czegoś, o czym długo nie zapomnę. Nie przypisywałem sobie w ogóle żadnych wyjątkowych zdolności, w tym także psychoterapeutycznych. Słyszając jej słowa, uszczypnąłem się, czy aby nie śnię. Dały mi do myślenia. Akcentowała „normalność” Możliwe, że właśnie normalność jej była potrzebna, jak postne ziemniaki głodnemu królowi z bajki zabłąkanemu w lesie, by zrozumieć, że najwspanialszą strawą jest ta, którą podają, gdy człowiek jest głodny.

Pani Ina zastrzegła, że zależy jej wyłącznie na relaksie. Postny piątek, czy co? I dobrze. Należał mi się też relaks. Jej zaborcze perfumy, orientalne, o przewadze wanilii, cynamonu, rodzynek, kazały mi się mieć na baczności i niedowierzać jej zapewnieniom.

Położyła się z wdziękiem księżniczki. Relaksowałem. Pedantycznie docierałem do najgłębszych warstw mięśni. Chwytałem pełnymi garściami jędrne,

niepozbowione tłuszczu, ciało. Zapewne bolało. Po chwili ból zmieni się w kojący balsam. W nozdrza bił mi egzotyczny zapach perfum. Mieszał się z przyjemnym zapachem jej podnieconego ciała. Kobieta tak pachnąca wzbudza samcze pożądanie. Czy wytrwa w roli królowny z drewna? Poprosi o petting, o wibrator, coś o tym wiemy.

Obróciła się twarzą do mnie. W ręce dostała mi się góra jędrnego ciała. Piętrzyły się, jak świeże pieczywo, gorące piersi. Brzuch kusił miękkością. Palce utonęły w gęstwinie zarostu. Wpełzłem w baranicę i muskałem cieniutkie, ukryte w futrze, pęknięcie. Widać przedpiekle też zaliczała do czystego relaksu.

– Że też po ohydnej awanturze pozwalam sobie na paluszkowanie? I mam coraz większą chęć?. Jak ty to robisz? – spytała niepewnie pani Ina.

Mówiąc szczerze wyrwała mnie z rozmyślań o tym, że idę dzisiaj na basen i jeszcze nie bardzo wiem, co zrobię tam z Sonią.

– Nie zrażam się nastrojem. Moja praca – odparłem.

Skoncentrowałem się na piersiach.

– Można mieć rozkosz za pieniądze i można dać rozkosz za pieniądze. Co o tym sądzisz? – spytała.

– Dokładnie tak samo.

„Jaki prowadzi biznes?” – pomyślałem. Jednak takich pytań nie przewidywała moja umowa o pracę. Były wręcz zakazane. Poza tym, jakie to może mieć dla mnie znaczenie? Sonię zostawię pod opieką portiera. Tylko, ile mu za to dać? Powinni przewidzieć możliwość korzystania z pływalni dla osób niepełnosprawnych, w tym niewidomych. Ale u nas wiadomo, czekaj babko latka! Trzeba sobie radzić samemu.

– Nie daję się całować w usta. Czy ty też? – Znowu wyrwała mnie z rozmyślań.

Zdaje się, że się czegoś dokapowałem.

– Nie depiluję się. Sądzę, że naturalne jest bardziej podniecające. Mam tylko paru klientów. Mam dziecko i muszę żyć. Teraz już wiesz, kim jestem. Widzę, że przez cały czas intensywnie nad tym myślałeś. Ale proszę, nie bój się mnie, jestem czysta i zdrowa. Nigdy nie miałem do czynienia z prostytutką, o czym zdążyłem

napomknąć. Nigdy takiej nie widziałem na oczy. Tam nad Sanem, przekleństwo „kurwa”, znaczyło „a niech to!”, i nikt je z żadną profesją nie łączył. Czasem miało za zadanie piętnować czyjś wredny charakter. Co można było zarzucić tej miłej, delikatnej kobiecie? Powszechnemu pojęciu „kurwy”, moim zdaniem, całkowicie odpowiadała postać tej panienki sejmowej. Tamta to była prawdziwą dziwką!

Już słyszę, jak natrząsacie się nade mną. „Ten by pewno i dziurkę od klucza przeleciał, gdyby miała choćby włos dla orientacji.” Cieszcie się, cieszcie! Jesteście obłudni. Nie wierzę, byście woleli od wspomnień erotycznych, poradnik z zakresu rehabilitacji. Gdybym was zapewnił, że w tym momencie poczułem do mojej klientki sympatię, jakieś pokrewieństwo dusz, to byście stwierdzili, że znowu na poczekaniu zmyślam wykręt, by mieć pretekst do kopulowania. A jednak właśnie tak było. Zapragnąłem nagle byśmy choćby przez chwilę byli ze sobą, jak para kochanków. Była wrażliwa i wyczuła mój zamysł.

Nigdy później nie spotkałem kobiety, tak perfekcyjnie posługującej się sztuką kochania.

Wtulilem twarz w wymodelowany na wąski trawniczek pagórek porośnięty miękkim włosiem. Było mi z tym dobrze. Stała się czuła i taka jakaś radosna. Siadła na skraju łóżka masażowego i głaskała delikatnie moją głowę, tak, jak mi tego nikt jeszcze nie zrobił. Nie była lubieżna. Nie rwała się do wielgachnego, jak małpa do banana. Była przeuroczą gospodynią swego ciała, które dzięki sobie tylko znanym zabiegom, stawało się jeszcze bardziej cielesne. Czyniła zeń królestwo przyjazne, tajemnicze, rozkoszne.

Moszcząc twarz w przystrzyżonym trawniczku, czubkiem języka dotarłem i wniknąłem w zrolowane koronki. Rozwinęły się, jak wstążeczka. Ułatwiała i wskazywała drogę w głąb ruchami bioder i brzucha. Pocałunkami sygnalizowała, że kołaczę do właściwych wrót. A tam już przez gorącą słuzę sączył się strumyczek zapachu kobiety. Wzdychała i jakby cicho śpiewała. Miętko, kobieco, błagalnie. Ona, która mogła mieć tego dobrego po dziurki w nosie!

Nie spieszyłem się i ja.

Wstążeczkę pęczniała. Drżała i falowała. Wykielkowała też z napletka fasolka.

Szklili się pod językiem prześwit. Tam zdążyłem. Położyła się wygodnie na wznak, jak widomy znak posłuszeństwa i oddania. Z jej ust wydostał się szept kobiecego podziwu, gdy wielgachny zakradł się do jej wnętrza, początkowo płytko, pocierając żołądkiem o aksamitne wargi. Ścisnęła zwieraczami potężny zagon męskiego pożądania. Z przejmującym westchnieniem odbierała uderzenia, głębokie, głębsze i dogłębne.

– Och! – jęczała równie prawdziwie, jak jedna z miliona kobiet na całym bożym świecie. – Kochany – szepnęła delikatnie bez cienia wulgarności. Współdziałała ze mną skurczami pochwy. Stękała, podniecająco się pociła, więziła i chłoneła. Wypatrywała zapewne na mojej twarzy tego szczególnego grymasu, który każdej kobiecie dostarcza niepowtarzalnego uczucia satysfakcji. Uderzałem z rozmysłem coraz silniej w wyczuwalny, elastyczny matecznik. To wcale nie jest przywilej tylko tych z wielgachnymi. To głównie zasługa kochającej kobiety, która rozchyliła się świadomie, jak kielich kwiatu przed pszczołą.

Oboje straciliśmy poczucie rzeczywistości. Każde z nas krzychało coś niezrozumiałego.

Zdyszany leżałem wciąż w oplotach jej długich, gorących nóg. Pocałowała mnie w usta, w pierś i brzuch. Spłynęła, wrzątkiem do pachwin i uderzyła, jak elektryczność. Oszłomiła ilością doznań. To był czas fioletu. Dygotałem trzymając ją za głowę. Po chwili rozwarłem ją po raz drugi. Niestrudzony żigolak i prostytutka. Przejęła inicjatywę. Nie wypuszczając z rozkosznego uchwytu wielgachnego, sprytnie wy dostała się na wierzch. Mając mnie pod sobą, używając swojej wypróbowanej, ekscytującej broni, skurczami i rozkurczami, jak miarowymi uderzeniami serca, rozkosznie dopingowała w sobie moją nieustępliwą męskość. Nachylała się nade mną i sutkami pieściła mi usta i twarz. Wypięty w łuk, trzymałem się kurczowo skórzanych uchwytów za głowę. Przejawy szczytowania były tak silne, że dosłownie miotało mną, jak wielką rybą wyciągniętą na piasek. Nie dała się zrzucić. Ulewając z pełnej czary gorącą spermę przesunęła się od moich lędźwi do ramion. Całowała mnie i lizała. Potem objęła mi głowę udami i pocierała się rozwartym krocem o moje usta i nos. Wyciągnąłem do góry ręce i ścisnąłem

rytmicznie sterczące sutki.

Dała mi do wiwatu!

Terapeuta

Czekałem przy stole masażowym na zapowiedzianą klientkę.

– Kim pan jest? – Zapach nie pozostawiał wątpliwości, że miałem do czynienia z mężczyzną.

– Mężem pańskiej klientki. Bidulka czeka za drzwiami – powiedział przyjaźnie nieznajomy.

– To sprawy nie wyjaśnia? Czego pan chce ode mnie?

– Bo też nie da się tego wyjaśnić w dwóch słowach. Żona przestała mnie akceptować. Katastrofa.

– Czy mam jakiś związek z tym smutnym wydarzeniem?

– Pan jest ostatnią nadzieją.

– Nie jestem lekarzem.

– Tych zaliczyliśmy bez liku. Hm, hm. Seksuologów, psychicznych też – szepnął. – I nic. Do łóżka ani podejść. W głowie się nie mieści, co się porobiło. Przywiozłem ci ja kobietę z Azerbejdżanu, z samego Baku. Wystarczyło ją dotknąć. Czasem musiałem uciekać. Teraz ona ucieka.

– Nie lecę – powtórzyłem uprzejmie.

– Jestem bardzo zamożnym człowiekiem. Moja żona też – zdeklarował się bez wyraźnego związku z czymkolwiek. – Proszę nie mieć mi za złe, ale to przecież prawie pański zawód. Nie chciało mi się dociekać, co miał na myśli, wspominając mój zawód. Zapewne nic pochlebnego. Od pewnego czasu nie dopuszczałem do siebie rozważań, które by mnie dołowały, lub zniechęcały do pracy. Książki mi pieniędzy na wzrok nie da. Zadowolone kobiety sypały groszem hojnie. Potrzebowałem dużo, bardzo dużo pieniędzy. Będę dymał, jak leci, czy to się, komu podoba, czy nie. Będę dymał póki starcza sił, bo wszystkie są piękne, do póki nie widzę.

– Ale czego chciał ten mężczyzna? – Nic mi nie przychodziło do głowy. – Pan się pewno pomylił – powtórzyłem raz jeszcze zabójczo uprzejmie. Zabrzmiało to, jak „spływaj!”

– Zmarnotrawiłeś czas, Kaziczku? – usłyszałem ochryply, ale ciepły, kobiecy głos.

– Wszystko na nic, Ajszo. Pan nie chce o niczym słyszeć.

– Bo niby, co? Jak mąż się zgadza i przy nim. Tego nie zabrania nawet moja wiara. Mąż ma prawo wiedzieć, po czyjej stronie wina. Czy choć powiedziałaś, o co chcesz prosić?

– Nie – przyznał.

– Kobiecie nijak – stwierdziła pani Ajsza. – Ale kiedy trzeba. My w Baku przywykliśmy się radzić ludzi bywałych, korzystać z ich usług. Nic nie ma w tym złego. Ktoś musi rozsądzić. Boję się męża w łóżku, boli mnie po nim. Przecie kocham mego Kaziczka.

Pokiwałem ze współczuciem głową.

– Pan mnie przy mężu wymasuje, jak inne klientki. Wiem od przyjaciółek i tak dalej – powiedziała ciszej pani Ajsza. – Mogę z panem, to wina leży po jego stronie. Wtedy nawet Koran nie pozwala się mężowi rozwieść. Przeprowadzi pan dowód. I cóż w tym złego. Teraz kobiety nawet przy mężach rodzą.

– To nie tak, gołabeczko. A w czymże pan mógłby być lepszy ode mnie? Przyczyna tkwi poza nami.

– Oto i cały ty. Wracamy do domu?

– O tym i mowy być nie może – wystraszył się małżonek. Bawiła mnie ta ich niecodzienna, prowadzona dziwnym językiem rozmowa. Zaświtała mi pewna myśl.

– Regulamin nie zabrania masażu w obecności męża. Zawsze musi być pierwszy raz – stwierdziłem ku ich radości.

Pani Ajsza się rozebrała. Mąż nie szczędził jej komplementów.

– Twoje cycuszki już się bujają i stroszą. Ach ta dupcia, ta dupcia! – zatarł ręce.

Obniżyłem stół, który ugiął się pod ciężarem puszystej klientki.

– A cóżeś się tak, moja cudna, przed panem rozłożyła? – powiedział pan Kazik w przystępie zazdrości.

Jego „cudna” pachniała jak maciejka z wieczora. Perfum nie żałowała.

– Proszę się odwrócić na brzuch – uśmierzyłem niepokój małżonka. Byłem przekonany, że po latach, ich problemem stało się lenistwo w łóżku.

– Jest śliczna z obu stron – trajkotał pan Kazimierz zagłuszając w sobie nagle zrodzony niepokój.

Dotknąłem szyi i uszu pani Ajszy, zagłębiłem palce w gęstwinę kędzierzawych, sztywnych włosów. Zadrżała, jak narowista klacz. Prężyła gładki zadek. Szukała moich spodni.

„Jesteś szybka” – pomyślałem. Nabierałem coraz większej odporności na wszelkiego rodzaju karesy ze strony niewiast. Na szczęście.

Nareszcie panowałem nad emocjami, dzięki czemu zyskiwałem u nich na wartości. Większość szukała we mnie typa władczeo. Musiałem, więc robić najczęściej za twardziela, mało się odzywać i nie patyczkować się.

Werblowałem mięśnie wzdłuż kręgosłupa, aż stały się luźne i ciepłe. Wdzięczący się zadek uciskałem wierzchem kciuków, ruchami krągłymi i coraz szybszymi, drażniąc unerwienie miednicy i kości krzyżowej.

Prowadząc rutynowy masaż, kciukami ześlizgiwałem się w szczelinę między pośladki. Było się w czym zagrzebać. Dotykałem zgrabnie uformowanego odbytu. Wtedy pani Ajsza wyczyniała cuda. Unosiła się na kolanach i wyginała w krzyżu. Jej mąż nie potrafił pozostać obojętny na widok, którego mogłem się jednie domyślić.

– Łyska ci się we włosach. Jakie różowe, jakie wilgotne i coś z niego szklatego wypływa. Nigdy tak wspaniale nie widziałem tej bruzdy z tymi koralikami jarzębiny.

Nie podejrzewał pana Kazimierza o tak wyrafinowane i drobiazgowo wyczucie piękna.

– Moja ty piękna. Niech ja cię też dotknę, włożę choćby paluszek. Dwa, a nawet trzy. – Pani Ajsza zadygotała.

– Kaziu – gasiła jego zapał. – Daj panu pracować!

Odwróciłem ją na plecy

– Twoje ręce – szepnęła do mnie. – Odarłeś mnie z tajemnicy. Wiedziałyśmy o tym tylko z matką. Nie śmiałam mówić. U nas, mężczyźni szaleją również za pupą.

Nie rozdrażaj! Nie roznamiętniaj!

– Co pan jej zrobił? – zdumiał się tymczasem mąż. – Zgoła niesłychane. Po rosyjsku woła, kiedy już tego chce.

Nie odpowiedziałem. Był koneserem czerwonych koralików, a nie rozumiał najprostszej przyczyny podniecenia swojej kobiety? Co tu niby było do rozumienia? Ja, obcy gościu, golizna na stole, piersi, tyłek, czyjeś na nich ręce, bruzda, pośladki, nieobojętne zapachy, ruszyłyby to nie tylko niewidomego, a co dopiero kobietę ze wschodnim temperamentem. Na razie z bliżej nie sprecyzowanego powodu tajemnicę jej pupy pozostawiłem dla siebie. Wykielkowała we mnie perwersja. Klientka kłuła mnie w dłonie strzelistymi piersiami. Takie piersi, z racji ciężaru, mają się ku dołowi, kształtują lekko opadającą linię. Nie piersi pani Ajszy. Wspomagane tajemną sprężyną bodły i umykały rękom. Brodawki, osadzone w chropowatym naskórku, zaczepiały o gładź pieszczących dłoni. Takie upchane cycki, lubią delikatne, pełzające i smokczące pieszczoty. Nie znoszą ugniatań, z których zapewne powstały. Nachyliłem się i delektowałem, zapominając o panu Kaziku. Ogromne brodawki mełłem w ustach aż puściły śmietankę. Jak świąteczny indyk ciało pani Ajszy oczekiwało na nadzienie.

– To moja żona – przypomniał mi rozżalonym głosem pan Kazio. – Ach, oj, oj! Ajeczko! Słodka! Nie dokazuj! Duszko! – wyrzucił nagle z siebie porwane słowa.

Bez trudu domyśliłem się, że pani Ajsza nadrabiała zaległości i poszukała nie moich, a mężowskich spodni. I o to wszak chodziło. Bliskość męża pani Ajszy zaczęła rozpalać moją wyobraźnię. Z trudem grałem rolę beznamiętnego katalizatora. Z masażysty przekształciłem się w trzeciego. Podniecała mnie ta góra mocno rozgrzanego ciała. Maskując zdrożną chęć, penetrowałem potężne pagórki. Jak u wielu antracytowo czarnych, co wywnioskowałem z opowieści pana Kazimierz o żonie, pani Ajsza poniżej pępka zarośnięta była szorstkimi, krótkimi włosami. Ciągnął się ten twardy zarost pod moją dłonią dalej i zlewał się z włosami łona, ginął między sprężystymi, foremnymi, udami. To, co u niej dla jednych mogło być „be”, innych zapewne podniecało.

Nie była lojalnym uczestnikiem eksperymentów. Wciąż sięgała ukradkiem

wielgachnego. Polowała na moją rękę. Gdy ją dopadła, wzięła między wilgotnymi udami. Najżałośniejszą figurą w tej grze wydał mi się pan Kazio. Na przemian, dawał upust zazdrości, albo uwielbienia dla ciała żony. Nagle słowa zaczęły mu więznąć w gardle. Pani Ajsza musztrowała mężowskiego członka. Ograniczyłem się do chwilowego biernego świadka jej erotycznej fantazji.

– Czeka – stwierdziłem po chwili, przewidując po wydawanych przez pana Kazika dźwiękach zbliżające się niepotrzebne marnotrawstwo jego życiodajnych wytrysków. Wskazałem mężowi uległe, emanujące ciepło, ciało małżonki, tam było właściwe miejsce dla pozostawienia gorącego białka.

– Tak, młody człowieku – drżał z podniecenia.

Sprawa była więc prostsza, niżby się to mogło wydawać. Miałem rację posądzając ich o lenistwo w łóżku. Z pola widzenia uciekła im gra miłosna. Na jak długo, bowiem, za wszelkie podniety może służysz widok nagiego ciała?

Wyciągnąłem rękę do pana Kazimierza wskazując mu jego miejsce. Znalazł się w nogach żony. Powędrowałem na wysokość jej piersi. Nadzorowałem postępy edukacyjne. Poczynał śmiało, bo obsypała go gradem zachęt, nieznanymi, podniecającymi cmokaniami i posykiwaniami.

Umożliwiając mu to, co chciałby zrobić, opuściłem panią Ajszę na wysokość jego bioder. Szamotali się przez chwilę, moment. Dla mnie wizyta małżeństwa dobiegła końca. I trochę tego żałowałem. Jak już rzekłem, obudził się we mnie zły duch. Mógłbym ją dosięść, usłyszeć jej dziki skowyt i lament zazdrosnego męża. Byłoby w tym ataku na jej tyłek, coś z ceremonii rozprawiczenia i gwałtu. Jej pośladki były jakby stworzone do przyjmowania między siebie takich dużych, opastych buław. Zapewne czułbym się między nimi, jak wtedy, gdy wślizgnąłem się w podobny sposób między cycki organiścichy i utaplałem je w lepiącej mazi. Tak robaczywych myśli jeszcze nigdy nie doświadczyłem. Byłem pewny, że okazja umknęła. Trudno było o bardziej mylny wniosek.

Odkrycie tajemnicy, tego drugiego, kontrowersyjnego ujścia dawało panu Kazimierzowi do ręki cudowną broń. Ale z niej nie skorzystał. A pani Ajsza nie zamierzała ze swego ustąpić. Wcale się nie wybierała do domu. Czekala na dalszą

kolej rzeczy.

Wiedziałem, że jej mąż pilnie śledził manewry moich palców na ciele małżonki. Przerwałem milczącego pata. Stałem między jej rozwartymi udami i zdradziłem mu po raz wtóry tajemnicę i dowiodłem piekielnych mocy wciśniętych w pupę jego małżonki. Przemierzając bardzo już mokre chaszczę, świadomie wniknąłem wilgotnym palcem głęboko w twardą kosodrzewinę okalającą spękane, okrągłe ujście. Czekąca. Dosłownie nadziała się. Siadła, i nie zważając na męża, objęła mnie za szyję.

– Włóż mi! – stękała chrapliwie.

– Zrobię ci to Ajeczko w domu. Jakże by inaczej. Wiem, co i jak – zapewniał ją mąż.

– Nie ty! On! – uparła się. – Ty się naucz. To musi zrobić po raz pierwszy on! Masz być pewny, że mnie w ten sposób nie skrzywdzisz.

„Perfidnie robi z niego durnia” – pomyślałem. I znowu się pomyliłem.

– Po co do tego wracasz? – Mąż był wyraźnie zakłopotany. – Przed chwilą byłaś szczęśliwa. Krzywdy ci żadnej nie zrobię.

– To nasza szansa – oświadczyła pani Ajsza w jakimś amoku. Nie przestała drzeć. – Nigdy mi więcej nie musisz na nic pozwolić. Błagam! Niech on mi to zrobi.

– Więcej mnie pan nie ujrzy, przysięgam na wszystko. Przysięgam panu i mężowi – zwróciła się do mnie. – Pan to odgadł, pan wie, czego mi brak. Przekonajcie mnie, jeśli się mylę, jeśli popełniam błąd. Błagam! Proszę mu rzec, że nie ma nic złego w tym, co odpowiada obojgu.

Zapanowała niemila cisza. Bolesne doświadczenie własne z wielgachnym olśniło mnie i pozwoliło mi nagle zrozumieć ich problem.

– Chyba wiem, o co chodzi – powiedziałem. – Boi się pani tego, co jest skarbem.

– Dzięki – powiedział z ulgą pan Kazimierz. – Niech będzie. Spróbujmy.

– Chodźmy pod prysznic – zaproponowałem.

– O! – zdziwił się pan Kazimierz. – Masz, czego chciałaś. Pan ma większego niż mój.

- Boże! Zostałam ukarana! – krzyknęła histerycznie.
- Nic bardziej mylącego i krzywdzącego – stwierdziłem z mocą. –

Wszystkiemu winien brak pieśczoć.

Rozłożyłem wersalkę w pokoju wypoczynkowym. Ułożyłem głowę pani Ajszy na swoich kolanach..

- A tamto? – szepnęła.
- Spokojnie – odparłem enigmatycznie.

Nauka nie poszła w las. Mąż, jak jubiler, pracował nad twardymi pagórkami małżonki. Zapłata były pomruki i to jej przedziwne cmokanie. Wtulała głowę między moje kolana. Rozkręcała spiralę bezwiednych, a po chwili celowych ruchów. Silnie falowały piersi, które gładziłem, gdy jej mąż zszedł i obrabiał w międzyczasie dolne partie puszystego ciała żony. Uciskałem drgający brzuch. Niespokojnie koczowały ręce pani Ajszy. Szeptala, pojękiwała zachryple, pokrzykiwała. Mąż napastował lubieżnie jej mroczną, ukrytą w bujnych zaroślach bruzdę i nie zawahał się, gieroj, pocałować kontrowersyjnego skrawka jej pofałdowanego, jak sztruks ciała. Chciała się zerwać, wstać, może i dokądś biec. Przytrzymałem jej głowę i ramiona, ustami pieściłem piersi.

„Co zrobi mąż? Czy zdecyduje się na przełom? Wejdzie jej w pupę? Czy przyzwoli to zrobić milcząco mnie, jak chce żona?” – zastanawiałem się i pęczniała mi niepokorna maczuga. Mąż zaś wszedł w swoją małżonkę po raz wtóry gruntownie, ale po bożemu, do końca, czego nie widziałem, ale czego namacalnie doświadczyłem, odbierając tąpnięcia towarzyszące głębokiemu, intensywnemu stosunkowi, przesuwającemu każdorazowo ciało kobiety wyżej, w kierunku zagłówka. Miałem pewność, że dotarł do rubieży. Wiła się i krztusiła z rozkoszy. Czy zapomniała, czego żądała?

- Teraz on, Kaziu! – wyprowadziła mnie z błędu.

Zaprzeczyłem ruchem ręki.

- Dla obydwu wystarczy – powiedziałem do pana Kazia.

Nie miała czasu na opór. Przystąpiłem do dzieła. Wtłoczone już w siebie ciała, przewróciłem, i teraz pani Ajsza leżała na mężu. Pojęła z przerażeniem zamysł.

– Rozwalicie mnie. O, ja biedna! – jęknęła.

– Bzdura – nie wdawałem się w dyskusje.

Usidliła męża i wypięła ku mnie potężne pośladki.

Zmoczyłem palec w oliwce i robiłem sobie miejsce w zwartych mięśniach pupy. Lekko je ugniatałem. Pani Ajsza wyczekiwała..

– Uuu! – stęknęła przeciągle. – Uuu! Uuu! Uuu! – wołała.

Rozkosznie więziony, wsunąłem wielgachnego do oporu. Skrzyżowaliśmy z jej mężem, w gorącym wnętrzu, swoje szpady. Wcześniej spazmowała. Była gotowa na znacznie więcej, w ogóle nie zamierzała tego kończyć.

Pode mną buchał gejzer jej męża. Dał się jej mile we znaki, bo dygotała, jak wiotka gałąź na wietrze. Ale ponieważ wszystko ma swój kres, więc spotkałem się i ja z nią w tym punkcie drogi, w którym nic już od nas dalej nie zależało. W zgodzie z nakreślonym przez przyrodę harmonogramem, naszymi ciałami wstrząsały skurcze i rozkurcze, biorących udział w tym procesie, niektórych organów naszego ciała. Odpoczywaliśmy.

Pan Kazimierz gładził pośladki żony. Całował jej piersi i ramiona. Mruczała i przeciągała się. Sięgnęła przez moje kolana do flaszeczki z oliwką i zaczęła smarować nią mężowskiego zbója.

– Nigdy mi tego nie robiłaś – syczał podniecony mąż.

– Będę robiła często, bo i ty mi będziesz musiał to często robić.

Dziękuj naszemu wybawcy.

Następnego dnia zadzwoniła pani H.H.

– Na twoje, Adamie, konto wpłynęła bardzo duża, pięciocyfrowa suma. Coś ty tej pani Ajszy zrobił?

– Pogodziłem ją z mężem – odparłem zgodnie z prawdą.

Opowieść pani Agaty - pierwsza

Znakiem rozpoznawczym pani Agaty był zapach pieska. Miała ich dwa: Mugiego i Brugię, oba yorki. Zostawiała je za sutym napiwkem pod opieką portiera. Pani Agata miała pod pięćdziesiątkę, zgrabną figurę, zadbane ciało, niewielkie piersi. Korzystała z bardzo wysokiej, z któregoś tam filaru, emerytury. Miała starszego od siebie, wyrozumiałego męża. Upatrzyła sobie mnie na powiernika swoich najskrytszych minionych i tych oczekiwanych przeżyć. Otaczała mnie czymś w rodzaju ulotnego nadzoru. Od niej uczyłem się oglądy, z czego zdawała sobie sprawę i choć nie okazując tego, przykładała ze swej strony dużo dyskretnych starań. Z pewną, rażąca dosadnością starzejącej się babki, relacjonowała mi intymne przeżycia nie tylko z małżeńskiego łóża. Myślę, że kryła się za tymi opowieściami potrzeba szczególnego rodzaju psychicznej podniety, czegoś takiego, co niektórym mężczyznom każe się nagle obnażać w parku na oczach bezbronnej kobiety. Płaciła za dwa kolejne seanse masażowe. Pierwszy przebiegał pod znakiem przyjacielskich zwierzeń. Drugi, toczył się ze zmiennym szczęściem, w zależności, jakie wrażenie zrobiła na mnie część pierwsza. Do rytuału należało, że pomagałem się jej rozebrać. Twierdziła, że we Francji rozbieranie kobiety jest elementarną powinnością masażysty erotycznego. Neglizowanie – jej zdaniem – przesądza o rozbudzeniu wyobraźni.

– Skrawek materiału na kobiecie jest niezastąpionym afrodyzjakiem.

Neglizowanie jest psychiczną formą oddawania się – wywodziła swoje twierdzenie, gdy jej rozpinałem staniczek od przodu i zsuwałem delikatnie spódniczkę, a później koronkowe, już wilgotne w kroczu, majteczki. Ułożyła się na brzuchu.

– Czy wie pan, panie Adamie – mówiliśmy sobie na pan – że nigdy tak na prawdę nie zna się drugiego człowieka. Nawet własnego męża. Powiedziałabym, szczególnie własnego męża.

Uciskałem mocno jej pośladki i biodra. Lubiła bym zaczynał od zadawania lekkiego bólu.

– Innego człowieka tak. Ale męża? – odparłem zdawkowo.

Wędrowałem palcami wzdłuż bruzdy kręgosłupa, bardzo głębokiej u pani Agaty. Równie, a być może i głębszy wąwóz, biegł jej krocem. Jego pokonanie przez męską mierność, w normalnej pozycji, wymagało od niej niewiarygodnie szerokiego rozwarcia ud. Wielgachny do tak uciążliwej gimnastyki jej nie zmuszałem. Robiła to czasem z własnej woli, gnana potrzebą przeżyć ekstremalnych. Jak zwykle, będąc zadowolona, syczała. Odezwała się dopiero przy masażu obojczyków.

– Każde małżeństwo przeżywa swój kryzys. U mnie też się coś właśnie zaczęło. Ja trzeciego z kolei małżeństwa postanowiłam bronić. Dostał mi się prawdziwy mężczyzna. Naiwny, jak młodziak i ogier. Gadałyśmy, jak to kobiety, między sobą. Ten mógł raz, ten dwa, a mój i trzy razy potrafił. To się liczy.

„I gdzie tu logika? – przeleciało mi przez myśl. – Trzy razy zameżna i nowy kryzys? A te „odświeżania” u mnie? Nie nadażam za takim sposobem myślenia. Ale w końcu nie za to mi płacą.”

Ugniatałem całe płaty mięśni, stawały się przekrwione i gorące. Pani Agata przechylała się na bok. Nawet dotyk piersi z boku kwitowała niezmiennie syczeniem. Kiedyś twierdziła, bezbronną czyniło ją dotknięcie piersi.

– Wtedy każdy mógł robić ze mną, co chciał. Wołałam jedynie, nie zrób mi dziecka!

Naciskałem nogę na całej długości nasadą obu dłoni. Zbliżyłem się do erogennej u niej, wewnętrznej strony kolana. Pod ręką czułem kaszkę manną.

– Gdy raz i drugi mój mąż zbył mnie w łóżku jakąś dziecinną wymówką, powiedziałam sobie, że zmożła go monotonia. Stawał się modny sex dwóch małżeńskich par. Miałam przyjaciółkę z podobnymi problemami. Dogadałam się z Aliną.

Opowiadanie zapowiadało się interesująco.

Położyłem dłonie na jej pośladki. Głęboko ugniatałem, biorąc ciało raz w jedną, raz w drugą dłoń. Chwycone między palec a kciuk, przy każdym ruchu wysuwało się łagodnie z ucisku. Lekko wypinała pośladki pozwalając koneserowi skryć między nimi całą dłoń i podniecać się tą anomalią fizyczną. Włożyłem dłoń w

tę głęboką kieszeń, a ona mi ją ścisnęła.

– Kolacja, alkohol – opowiadała pani Agata. – Zagramy w rozbieranego, zaproponowałam. Trochę mi do głowy już poszło. Panowie spojrzeli po sobie, a my z Aliną wymieniliśmy uśmiechy.

– Gramy? – spytał Sławek, mąż Aliny.

– Dobra – zgodził się mój mąż.

– Rozbieranego dokumentnie – zastrzegła Ala.

Siedliśmy na dywanie i za ruletkę posłużyła wypita butelka. Padło na mego męża. Poszukał wzrokiem mego przyzwolenia. Zdjął nonszalancko marynarkę. Padło na Alę. Zdjęła natychmiast bluzkę. Sławek zdjął spodnie i siedział w marynarce. Niektórym z nas, zauważyłam, się spieszyło. Padło na mnie. Zdjęłam bluzkę. Nie założyłam stanika specjalnie, miałam je gołe. Sławkowi zapalił się w oczach bursztynowy blask. Będę miała branie, pomyślałam.

Masowałem plecy i ramiona pani Agaty. By zakończyć tę sekwencje masażu, połączyłem ruchy dotyczące każdej części ciała z osobna, w jedną całość.

– Butelka się kręciła i zwalniała od konwenansów. Olbrzymie piersi Ali bez reszty pochłonęły uwagę mego męża. Poruszała ramionami, więc kołysały się jak dzwony nawołujące do pożaru. Mnie nie podniecił nagi tors Sławka, lekko jeszcze obwisły, spory, krótki, lecz gruby atrybut jego męskości zrobił wrażenie. U szczytu sinawy, aparat mego męża sterczał, jak hetmańska buława. Do serca zakradła się mi zawieść. Należało coś zrobić dalej. Nadać, tak dobrze rozpoczętej zabawie, jakiś sens. Na coś się zdecydować.

Nagie, zamieniłyśmy się partnerami przy stole. Dla kurażu wypiliśmy po głębszym. Czulałam gorącą rękę Sławka na moim udzie. Zmierzał palcami tam i spotkał się z moimi już wilgotnymi palcami. Mój mąż atakował Alę górą. Nie bawił się w ckliwe podchody. Macał ją, jak pastuch krowę. Uderzał maczugą w jej pępek.

– Jakie masz duże brodawki – zassał niekształtną, czekoladkę, jak śliską ostrygę. – Sutki – nie wiedzieć, czemu poprawiła go i zaśmiewała się sztucznie Ala.

Mój drogi mąż był denerwująco czynny. Wzburzył mnie. Chciałam całą zabawę obrócić w żart. Palce Sławka dotarły już tam i w biodrach zapłonęły mi

ognie.

– Nie daj się prosić – powiedziałam do męża całkiem niespodziewanie dla samej siebie.

Ala, jakby tego oczekiwała. Wtuliła głowę mego męża w swoje wielgachne piersi.

– Rozwarłam uda, dając pole popisu myszkującym palcom Sławka.

Sięgnęłam do jego kolan. Męskość wciąż tkwiła w smutnym pół zwisie. Przeleciał mnie dreszcz niepewności. Czy byłam dla niego mało pociągająca?

– Tymczasem mój mąż. Właśnie. Mój mąż. Poczynał sobie wodzowsko.

Uzewnętrznął przyrodzony sobie temperamentem i urok. Kiedyś sprawił, że mu się na „dzień dobry” oddałam na schodach domu przyjaciółki.

– Mój mąż uniósł Alę i usadził na stole wśród niedopitych kieliszków.

Wziął do ręki jeden z ich i oblał zawartością jej piersi i brzuch. Zlizywał ze skóry językiem krople alkoholu i ssał narychtowane już sutki. Schylił głowę i językiem sięgał pępka. Ala zwierzała i rozwierała uda, ukazując bez zahamowań nabrzmiewające błonki śluzowe. Dręczyciel, omijał smakowity befsztyk. Nosem i ustami bawił się jej jasno blond, mokrymi kosmyczkami włosów, opadających z łona, jak zaplecione warkoczyki.

– Znałam te fortele. Wiedziałam, że napina w niej wszystko. Chłaśnie językiem w struny, aż jęknie, jak potępiona. Sama tego chciałaś, idiotko – strofowałam się. Podczas jej opowiadania, utrwaliło się we mnie przeświadczenie, że orgietka ma kolor miodu.

– Sławek śledził tym swoim bursztynowym wzrokiem rozpalającą się u tych dwojga żądzę. Gmerał we mnie, jakby się wybierał, gdzieś na samo dno. Odwróciłam jego głowę od Ali i przyciągnęłam ją do swoich kolan. Wtedy też posadził mnie na stole i od razu wsadził mi w krocze gorący język. Straciłam z oczu Alę. Siedziałyśmy tyłem do siebie.

– Oj tak, tak właśnie! – słyszałam jej okrzyki. Mój mąż, stary łobuz, jak to wiedziałam, uderzył w napięte struny. Repertuar nie nowy, ale w wydaniu jego bezczelnego języka, kuriozalny. Po takiej grze miewałam dwa orgazmy: w trakcie i

na wspomnienie. Teraz też doświadczyłam wilgotnienia.

– Czy ci już dogodziłem? – przypisywał sobie cudzą zasługę Sławek.

– Aha! Zmieńmy miejsce. Chcę widzieć, jak robi to Ali. A ona niech zobaczy, co ty potrafisz.

Ta opowieść nie pozostała we mnie bez echa.

– Twoja łódź podniosła żagle. – Pani Agata z wdziękiem pogładziła wypchany materiał mojej nogawki. Darzyliśmy się z nią szczególnymi względami. Zabiegałem o jej wyrafinowane karesy. Miałem ją teraz twarzą ku sobie. Nie tknąłem piersi. Robiłem to dopiero na prośbę, lub niemą sugestię. Dotknięta, drżała, i miała pierwszą zaspokojoną chciwą. Coś, jak u młodych nadpobudliwych chłopców tryskających nasieniem już na sam widok, czy zapach tego, co i owszem.

Głaskałem kark przesuwając palce między włosami. Musnąłem opuszkami palców uszy, dotknąłem nozdrzy i warg. Napięcie rosło.

– Sławek ustawił naprzeciw siebie dwa fotele. – Mąż i Ala byli tak sobą zajęci, że do zmiany scenerii musieliśmy ich nakłaniać. Tkwił w niej bezwstydnie. Zdawała się nie dostrzegać, czego od niej chcemy.

– Aga chce was widzieć – wrzasnął Sławek do swojej palowanej żony.

– Ja też.

– Oparłam się łokciami o fotel i wypięłam tyłeczek do Sławka. Wygięłam się w krzyżu tak, by od razu dostrzegł smugę tnącą czarną gęstwinię. – To mu postawi na sztorc kosę – pomyślałam. – Klęczącą łatwiej mnie sięgnie.

Schylił się i wyręczał się językiem. Mój drogi mąż rozkosznie piłował. Widziałam dokładnie, jak wsuwał w futerał swój fioletowy organ. Stykał się z nią bezwłosym łonem i uderzał, jakby stemplował kopertę. Znowu wyciągał na światło dzienne i znowu stemplował. Wypukłe oczy Ali, wychodziły z orbit. Piersi, jak dwa pluszowe misie, zwieszały się przez poręcz fotela. Sutki pozostawiały wilgotny ślad na skórzanej tapicerce. Stemplowana jęczała, jak na torturach inkwizycji. Moim wnętrzem szarpnął dreszcz niezaspokojenia. Skończyłem masaż przedniej strony nóg i stóp i dotknąłem pachwiny pani Agi. Wyprężyła się. Pocałowałem piersi. Zrobiła mostek.

– Niezastąpiony. Wspaniale – powiedziała zdyszana. – Zajmę się tobą.

Miękkim ruchem uwolniła wielgachnego od uciskającego go materiału.

Leżałem na stole masażowym w jej władzy. Moje ręce teraz tylko leciutko tu i ówdzie, jak w niewinnych zalotach nastolatków, penetrowały zakamarki jej ciała. Dotykałem wierzchem dłoni skóry na brzuchu, z dłoni robiłem miseczki na piersi, palec „przypadkowo” zagłębiałem na krótko w górnej części futrzanego suwaczka. To również należało do naszego z panią Agą rytuału postępowania.

– Sławkiem widok żony wstrząsnął – opowiadała masując mi pępek.

– Drżała mu szczeka.

– Pierdol mnie w dupę! Pierdol! – bluzgała, jak dziwka Ala.

– Męskość Sławka nareszcie drgnęła. Usiłował mi ją wsunąć w szyjkę.

– Pani Aga rozchyliła mi pośladki.

– Złamał mu się w połowie i wypadł. Mój mąż zaczął nową jazdę. Tym razem trzymał Alinę w pół, na stojąco. Ala przyciągnęła jego biodra mocno do siebie. Spletli się w jedno drgające pożądaniem ciało. Oparł ją o ścianę i ostro na nią napierał, palował. Krew mnie nagła zalała. Dygotali, jak koniec uwolnionej z nacisku deski. Miotła się i straciła ze ściany kinkiet. Nic jej jednak nie powstrzymywało. Chciałam krzyknąć: „ona cię wchłonie, głupku, w swój tłusty brzuch!” Rwał się do tego.

Pani Agata przeniosła ręce na moje podbrzusze rozpoczynając etap ostrych karesów. Bawiła się. Ciepłymi palcami goniła uciekające kulki.

– Król – uczyniła dygresję, gładząc soczystego grzyba rozpierającego się między jej udami. – Kto z nas ma więcej podniet? Kobieta mając go w sobie? Czy mężczyzna sięgając w nieznane?

– Mężczyzna, bo sięga w głąb i jeździ na cyckach. Zabrzmiało to topornie. Wciąż jeszcze w moich ustach zbyt wiele określeń brzmiało topornie. Jednak nie dla wszystkich.

– Ślicznie. Cycki. Nawet mnie, kobietę, podniecają u innych kobiet.

– Jednak sięganie w głąb – próbowałem języka cywilizowanego.

Uznałem, że czas by mój palec powędrował w nią głębiej.

– Czasem myślę, że wam nie chodzi o stosunek, lecz o wnętrze – zareagowała przyzwalającym głosem. – Grzebanie się. Atawizm? Męża na przykład roznamiętnia miesięczka.

– Nie mam o tym pojęcia.

– Ja natomiast ginę, czując lub widząc wytrysk – dodała pani Aga. – Byłabym najszczęśliwsza, gdybym go mogła jednocześnie czuć w sobie i widzieć.

– Teraz panie zadowolą własnych mężów, rzuciłam zwodniczą propozycję – ciągnęła swoją przerwana opowieść o seksie par. – Ala nie chciała o tym słyszeć. Ona jak dzikie zwierze szczytowała dwukrotnie. Ja, jak uboga sierotka Marysia, doświadczyłam czegoś mizernego, tylko dzięki własnej inicjatywie. To była czarna niesprawiedliwość.

– Jest mój przez całą dzisiejszą noc! – wrzasnęła Ala. – Taka była umowa – wydała nasz kobiecy sekret.

Panowie niczego nie mieli za złe. Zrobiło mi się żal Sławka. Ala nie wyjawiała mi tej jego przypadłości. Nie byłam pewna, czy gdybym wiedziała, zgodziłaby się na całą noc.

– Idziemy do łóżka – powiedziałam z nadzieją, że coś się odmieni.

– Łóżko mieli szerokie i pewno się w nim rzadko odnajdowali, pomyślałam z satysfakcją. Położyłam obu panów obok. „Przypadkiem” musnęłam kotką usta męża.

– My miałyśmy panów dosiąść. Zamierzałam dać mężowi małą nauczkę. Siedziałyśmy z Alą ramię w ramię, twarzą w twarz z partnerami. Mogli nas obserwować osobno lub razem, podniecać się grymasem twarzy, ciałami. Moimi podrygującymi, a Aliny, dyndającymi się piersiami.

– Wzięłam w usta miękawy mechanizm Sławka, wskrzesiłam go. Nasadziłam się i wchłonęłam w siebie. Ścisnęłam u nasady krocem. Spęczniał i rozrósł się. Ręce założyłam na kark, wstawiając mu w całej krasie cycuszki przed oczy. Sławek poczerwieniał na nagiej piersi. Dotknął sutek i ścisnął mi bufory. Jego żyła wyczuwalnie rozparła mi krocze.

– Wyrzuciłam ramiona do góry i galopowałam ze zduszonym okrzykiem wysoko unosząc się w siodle. Wystawiłam na widok sterczącą męskość Sławka,

precyzyjnie wpadającą w mój mały przesmyk. Zaczął krzyczeć. Szarpał się, jakbym chciała mu urywać. Gryzł sobie ręce, i w ogóle wyczytniał. Spod przymrużonych rzęs spoglądałam na dwojącą mi się w oczach, zdumioną i jakby upokorzoną twarz mego męża i półotwarte usta Ali. Pani Agata położyła mi jedną rękę na szyi, drugą na gardle. Jej opowieść rozpałała moją wyobraźnię. Uznaliśmy, że wytworzył się między nami krąg dawania i otrzymywania, że dojrzelismy do chwili, w której uprawianie miłości wyzwoli w nas nadludzką rozkosz, Pozwoliła mi wejść do świątyni pożądanja. Przywarła. Bezlitośnie z jej pomocą uciskałem głęboko skryte, mięsiste wypiętrzenie. Adorowałem je uderzeniami fioletowego łebka. Potarła się prosząc o rozstrzygający ruch. Odpadła, jak odrąbana od pnia gałązka.

– Ala też się rzuciła do galopu, ale zabrakło ułańskiej fantazji – kończyła znużonym głosem opowieść. – Nie przeskoczyła po raz trzeci poprzeczki. Od tamtej pory nie widziałam ani Ali, ani Sławka. Nie wyszło to wszystko naszej przyjaźni na dobre, a tak się dobrze zapowiadało.

Pani Agata uklękła naprzeciw mnie i powiedziała: „nameste”, co znaczy, „kłaniam się tobie”.

Ech raz, jeszcze raz...

Serce zabiło mi mocniej. Zaśpiewny akcent. Zawstydzony, niezbyt pewny siebie głos. Rosjanka. Jakaś odmiana, powiew romantyki. Odezwało się wspomnienie rodzinnej wsi. Podchody, pogaduszki, macanki, chichoty, szlochy. Skrzątnie ukrywane pragnienie. Niezdrowe wypieki na twarzy. Ścisłe barchanowe staniki i równie obcisłe majtki, pod które i za zgodą nie sposób się było dobrać. Na wstępie pewnie wyłoży mi swój punkt widzenia na seks. Bez tego ani rusz. I tak też było.

Więc, że ciału potrzebna pieszczota płynąca z serca. A nie uchodzi kobiecie, ni z tego, ni z owego się rozebrać. Nawet, kiedy ona wie, dokąd i po co przyszła. I nawet wtedy, kiedy kobieta sama przychodzi, mężczyźni przynależy zabiegać kobiecie drogę, a jej obracać amory w żart, wzbraniać się. Kobieta musi się wzbraniać, a mężczyzna nalegać. Kobieta nie dawać, a mężczyzna brać. Kobieta oddaje ciało, ale nie duszę! To jest sól.

– Iryna. Wykładałam literaturę rosyjską w jednej z prywatnych uczelni. Polskiego zaczęłam się uczyć dawno. Nie jestem w Polsce sama. Mąż prowadzi Instytut Rosyjski. Głowa w obłokach, albo w kieliszku. Ile też mogła mieć lat? O dziesięć więcej ode mnie?

– Szukałam pana.

– Mnie?

– Tak. Byłam u pana na rehabilitacji w szpitalu.

– Słucham?

– Po wypadku samochodowym.

– Czy to pani straciła na pewien czas mowę?

– To byłam ja. Zapadł mi pan w pamięć. Byłeś taki skromny i zawstydzony, podczas gdy ja... Nie do wiary, ale ja cię prowokowałam już wtedy. Musiałam sobie to jednak wtedy, po operacji odpuścić. Nagle znikłeś. Szukałam. Darujmy sobie masaż. Potraktuj mnie jak zagorzałą fankę.

Mój wydumany, siermiężny, romantyczny wizerunek Rosjanki, został lekko nadszarpnięty. Może nie do końca, ale jednak. Dlaczego sobie ubzdurałem, że

kobiety stamtąd są tajemnicze, skryte i wstydliwe. Przecież z niczym takim nie spotkałem się w moich stronach, gdzie Rosjanek było tak wiele. Może to przykład matki tak na mnie podziałał, ale i ona dowiodła, że naprawdę jest nieobliczalna i namiętna. Wierście, przez chwilę Iryna wydała mi się do bólu pospolita. Chciałem z nią szybko skończyć. Poczułem się wystrychnięty na dudka z tym swoim wysublimowanym wyobrażeniem.

– Przyniosłam ze sobą „Biały Aist” i dwa kieliszeczki. Ten koniak pił Lermontow na Kaukazie. Czy wypijesz ze mną dla kurażu? – spytała. Zabrzmiało egzotycznie. Jest niepowtarzalna w tej swojej kresowej odrębności – przyszło mi do głowy. Jeśli już mnie szukała, to szkoda, że nie odlaźła pod adresem mego miejsca zamieszkania. O ile było by to bardziej nastrojowe, niż spotkanie za pieniądze. Ileż bym dał, żebyś zechciała odwiedzić mnie z „Białym Aistem” „tylko dla mnie”, w mieszkaniu. Gdyby tam pozwoliła zabiegać o swawolę.

Teraz powinienem był ja zabrać głos

– Przypomniała mi pani mój dom. Matka jest Rosjanką – powiedziałem.

Wyciągnąłem rękę po kieliszek.

– Tak, tak – pospiesznie naląła.

Wypiliśmy wbrew wszelkim pisany zakazom.

– Wzbraniane korci. Zakazane lepiej smakuje – poleciałem gładko teksem. –

Taka okazja. Ziemiaczka.

– Czy zbyt dosłownością swoich oczekiwań ośmieszyłam rosyjską kobiecą duszę? Straciła swój czar? – spytała czytając w moich myślach. – Rosyjska kobieta nie posiada własnej tożsamości – zadrwiła. Poczułem lekki powiew na twarzy. Gwałtownie się rozebrała.

Leżała na stole nago z rękami pod głową. A to nie jest sytuacja skłaniająca nawet niewidomego mężczyznę, choćby i masażystę, do bezsensownego paplania. Człowiek leży i czeka...

– Mam minę żalowaną. Szkoda, że tego nie widzisz. Tak mi na tobie zależało. Źle sprawę przeprowadziłam. Zrób, więc jak uważasz, potraktuj, jak chcesz. Jestem jedną z klientek z ulicy.

„Skąd u kobiet taka sprytna umiejętność rozszyfrowywania prawdziwych męskich zamierzeń i oczekiwań?” – niemal się przestraszyłem. Połechtala we mnie podstępnie miłość własną. Nakręcała na siebie bicz, czysto męskich ambicji. W pewnej mierze wciąż byłem tylko gówniarzem i od prawdziwej dorosłości dzielił mnie jeszcze szmat czasu. Dziś wiem, że nie mam się, czym chwalić, a wspominam to gwoli prawdzie, ale wtedy podnieciła mnie nawet myśl, jak też jęknę po swoim, gdy jej dogodzę. Objąłem jej nagie plecy. Opuściłem stół na wymaganą wysokość. Etap masażu przepuściłem.

– Batuszki! – krzyknęła w zderzeniu z wielgachnym. – Ty mój polski ułanie! Poniosę cię, jak wichur. Nie żałuj bata. Tnij!

Szybko żeśmy się na ten raz uwinęli.

Po raz drugi walnąłem nią o materac. Uniosłem się nad nią na kolanach i łokciach, twarzą w kierunku jej łezki. Rozgarnąłem rzadkie i miękkie włosy. Pachniała świeżym mlekiem. Leżała bez ruchu wystawiając wszystkie swe sekrety na pieszczoty rąk, ust i języka. Przebiegające falami drżenia zwiastowały wybuch. Cicho lamentowała. Wielgachny pograżył się we wrzątku śliny. Prześcigaliśmy się giętkością języków. Zmieniłem pozycję. Znowu się na niej kolebałem. Bodłem, a ona mi wtórowała coraz głośniejszymi pojękiwaniami, które się zmieniły w krzyk. Pobiegnęła pod prysznic. Wróciła pachnąca i zimna jak lód.

– Dlaczego lodowaty?

– Lubię, mój miły. Często kąpię się w przerębli.

Siadłem na brzegu stołu. Umościła mi się na udach obrócona twarzą do mnie.

– Jak dobrze.

Ta niespożyta młodość! Znowu wiecie gdzie tkwiłem. Były te zbytki piekielnie występne. Całując mnie w usta i trzymając wielgachnego w palcach, grzebała nim gdzieś w sobie. Odślaniała palcami wrażliwe nabłonki na mechaniczny impet mego pożądania. Dotykałem, uderzałem, pocierałem się o jej giętkie wnętrze. Miałem chęć przeniknąć ją swoją męskością, przebić. Najchętniej unurzałbym się w niej cały, albo przynajmniej włożył rękę do łokcia.

– Nafaszerowałaś mnie – wystękała zduszonym głosem. – To są pieszczoty

niezapomniane, warto, by odnaleźć cię na końcu świata.

Nie pozostawię tej opinii bez komentarza. Nie żebym chciał sobie w ten sposób przysporzyć chwały „ogiera”. Widzący nie musi rozumieć niewidomego, dla którego każda forma uznania przez długi czas stanowi treść życia.

Niepokalana i inne

Jak człowiek ma taką profesję, że masuje niewiasty, ba, daje im to, czego nikomu poza przyjaciółkami nie wyjawia, to musi się liczyć, że trafią do niego i te hycnięte. Dla nich odwiedziny masażysty są możliwością nie tylko wyżycia się seksualnego. Często dają wyraz swoim dewiacjom. Nie spędzały mi snu z oczu, choć często doskwierały. Przypadki skrajne rugowałem. Co jednak mogłem mieć za złe takiej na przykład pani Tatianie.

– Pan niezbyt tu dawno. Proszę o necking. Mam bardzo powabne piersi i brzuch. Męski dotyk doprowadza je do szału i wtedy miewam ekstazy i widzenia.

Nic szczególnego. Trochę nieszkodliwej autoreklamy poprawiającej samopoczucia damy. Nie przypuszczałem, że w swych seksualnych praktykach sięgała nie tylko po masaż i męskiego członka. Zaprosiłem do rozbieralni. Uwagę moją zwróciło kajdaniarskie pobrzękiwanie oraz zapach ambrowy, słodko korzenny, ciepły, trwały. Przedziwny, senny zapach.

Piersi niczego sobie. Nie mnie o to pytać. Wielokrotnie już się zdradziłem. Wymagania w tym względzie zaniżał mój bezkrytyczny, bałwochwalczy stosunek do tej wspaniałej, kobiecej ozdoby. Mam do nich słabość, jak łakomczuch do ciastek. Zjadłbym małe, duże, a nawet takie, a może nawet takie najbardziej, jak u organiścichy. Cóż, tkwił we mnie ten kompleks Edypa. Przystając na samoocenę pani Tatiany, zagłębiłem opuszki kciuków w aureolę otaczającą sutki. Wywołałem dreszcze wydające metaliczny odgłos. Nie, nie myliłem się. Na słuch nie narzekałem. Pobrzękiwała.

Nie mam w zakresie obowiązków dociekania przyczyn metalicznych rezonansów u moich podnieconych pacjentek. Jednak. Względy ostrożności nakazywały unikania masażu pacjentów z elementami metalowymi w ciele. Rozrusznik serca eliminował wszelkie masáže. Necking, to pieszczoty wplecione w masaż górnej części ciała, do pasa. Pani Tatiana dźwięczała poniżej pola mego zainteresowania, w strefie pettingu, czyli łona i innych atrakcji. Byłem zaintrygowany. W końcu nie każdy trzyma między nogami dzwonek. Naruszyłem umowną granicę

pettingu i natknąłem się na majteczki, zrobione z metalowych cekinów, na modłę rycerskiej kolczugi. Najwygodniejsze zapewne nie były. Znowu nie moja sprawa.

Uformowane w grzybki piersi pani Tatiany, wyczekiwały moich ust i języka. Ciało drżało potęgując chrzęst spowitych w kolczugę bioder. Uchwyciłem w usta jej małą brodawkę. Drugą trzymałem między palcem wskazującym, a kciukiem prawej ręki. Usta, język, palce poruszające się we wspólnym rytmie potęgują i przyspieszają doznania erotyczne.

Na moment przed krzyknęła:

– Kluczyki, proszę o moje kluczyki. Dziś zrobię odstępstwo i pozwolę się dotknąć. Otworzę puszkę Pandory. Z razu nie wiedziałem, w czym rzecz. Ot, babskie fanaberie.

Do dżentelmeneri nie byłem skłonny. Napalona, musiała zleźć ze stołu i sama te kluczki znaleźć. Uczulony tym jej słodko – korzennym zapachem wsłuchiwałem się podejrzliwie w to, co robi. Byłem pewny, że otworzyła i zamknęła cekinowe majtki, i że coś majstrowała przy sekreterze. W końcu przypadł mi zaszczyt otwarcia misternej kłódeczki. Uchyliła rąbka tajemnicy opuszczając kolczugę do połowy ud.

– Rzadko sobie na to pozwalam. Niesforne palce gotowe są zniszczyć sanktuarium mego niepokalanego miejsca – czyje świętokradcze palce miała na myśli nie była łaskawa wyjaśnić, a ja nie byłem ciekaw.

– Czeka (chodziło zapewne o jej łysawą świątynię kobiecości) na dostojne otwarcie. Naprowadziła mi dłonie na biodra i sama sobie rozchyliła suchy przesmyk.

Więc petting. Przyznam się, że wydał mi się wstrętny. Ta jej słodko – pierdząca obłuda. Wycofać się było za późno. Służba nie drużba. Sięgnąłem rękami sutek, językiem dotknąłem zupełnie płaskiej jamki z dziewiczym, płytkim odpływem. Wąski suwak krył niewykształcone, zaprzeczenie kobiecych powabów. Nie obcyndałem się długo, bo mi klientka zwisiała i powiewała. Odsłuchałem bez emocji głośne krzyki i pożądliwe chrapania, którymi się przynaglała do orgazmu, jak staruszek do wypróżnienia. Nawoływała „Kaziu!” Fikała nogami. Ryknęła, jak obdzierana ze skóry. Dosłownie eksplodowała. Element uzbrojenia klientki rąbnął o

podłogę. Skowyczała.

Po jej wyjściu przyciszyłem muzykę, aby odetchnąć trochę od całego tego niemilego harmideru i ruszyłem w stronę sekretery. Szuflada była szczelnie domknięta, ja ją zostawiłem lekko uchyloną, znak, że ją ruszała. We wnętrzu była pusta. Stałem bezradnie. Gwizdnąłem na Sonię. Pies obwąchał szufladę i szczeknął. Łapą w niej grzebał próbując się do czegoś dostać. Postukałem. Odskoczyła deszczułka. W skrytce była niewielka, ważąca może dwadzieścia deko, paczuszka z doczepioną karteczką. Stanowczo nie doceniałem się, jako detektyw. Dałem paczuszkę powąchać Soni. Szczeknęła i cofnęła się. Obniżyłem stół masażowy. Sunia powąchała nakrycie i znowu dała głos.

– Przez majtki cnoty przechodzi kontrabanda – wydedukowałem. – Baba roznosi narkotyki i polecenia.

Kartę zabrałem. Wyszedłem na chwilę z pracy i poprosiłem znajomego sklepikarza o odczytanie treści karteczki.

– Migdały potrzebne do bankuchena w Kołbaskowie – przeczytał sklepikarz i czułem na sobie jego kpiące spojrzenie.

– Migdałki może pan kupić u mnie. Po co gnać aż do Kołbaskowa.

Kartkę natychmiast odniosłem z powrotem. Nie mogłem przecież wykluczyć, że po towar i informację ktoś się lada chwila zgłosi. Przyszło mi również na myśl, że narkotyk może odebrać ktoś podczas mojej nieobecności. W takim wypadku brak kartki groziłaby dekonspiracją.

Po, co mi to śledztwo? Przygotowałem sobie kawę i zastanawiałem się nad dalszym postępowaniem. Powinienem zawiadomić policję. A jeśli w proceder zamieszana jest moja chlebodawczyni? A może bierze narkotyk jedynie dla własnych potrzeb? Gdybym ją wydał, kompromitacja gotowa. Pięknie bym się jej odpłacił. Żadnej wersji nie mogłem być pewny. Najpierw ja i mój interes, potem obywatelska powinność. Gdzie pójdę tracąc pracę? Będę, więc piekielnie ostrożny i nieuchwytny – postanowiłem. Nie ujawnię się nigdy. Podniósł mi się poziom adrenaliny. Będę tajemniczym agentem i z odległości śledził będę dalsze losy ujawnionej przez siebie afery.

Paczuszki pojawiały się i znikaly, najczęściej po bytności tej od majtek „niecnoty”, sporadycznie, po wizytach paru innych pań. Niewielkie paczuszki raz miesięcznie zabierała pani X. Teraz dopiero zrozumiałem właściwy sens jej kuriozalnego zachowania się, miało odwrócić moją uwagę od właściwego celu wizyty. Karteczki z informacjami trafiały do sekretrety częściej niż paczuszki. Ich pojawianie się nie zawsze pokrywało się z odwiedzinami podejrzanych niewiast. Czasem karteczki, ktoś wtykał w inne szuflady. Niektóre znikaly po nocy, inne, oczekiwały na czyjś odbiór po parę dni. W proceder, moim zdaniem, był zaangażowany ktoś z pracowników siłowni. Mógł to być instruktor, albo i sprzątaczką, zresztą praktycznie każdy. Mieli dostęp do mego gabinetu. Musiałem być podwójnie ostrożny. Treść karteczek, odczytywali mi różni ludzie, zawsze spoza firmy, sądzili, że jestem nieszkodliwym grafomanem. O sprawie informowałem telefonicznie policję. Przekazywałem krótkie, parosekundowe informacje z różnych telefonów na mieście, by nie mogli mnie namierzyć i złapać. Wyliczałem na podstawie kartek miejscowości najczęściej graniczne i sugerowałem, że chodzi o narkotyki. Podawałem nazwiska zamieszanych w proceder klientek, nie mając pewności, że są one prawdziwe. Nazwiska klientek odczytywał mi portier. Był przekonany, że robię to z wrodzonego sobie zamiłowania do skrupulatności i porządku. Ujawnię się najwcześniej, gdy się wyleczę – zmodyfikowałem wcześniejsze postanowienie.

Pod koniec dnia zapukała do mnie administratorka, pani Hanka.

– Czy wszystko jest w należytym porządku? – spytała.

Wyczułem, że szuka pretekstu do rozmowy. Pomyślałem, że może uda mi się sposobem wydobyć od niej jakąś wiadomość związana z szufladą, poczynić jakieś spostrzeżenie, trafić na ślad niepokoju, na coś, co wskazywałoby, dałoby mi do myślenia, w jakim zakresie, z kim mam do czynienia. Zwyczajowo, my personel, trzymaliśmy się od siebie w pewnym oddaleniu. Czasem zjawiały się u mnie „od zaplecza” szansonistki. Okazywały mi wiele szczerzej sympatii. Z wdzięczności pozwalałem, niektórym odwiedzać się w prywatnym mieszkaniu, gdzie naprawdę ograniczałem się jedynie do piętnastu minutowych masaży, głównie mięśni

pośladków i łydek. Administratorka trzymała się zazwyczaj na uboczu i znałem ją z zapachu Apparition, perfum z silnym akcentem likieru malinowego. Ten zapach podpowiadał mi, że jest niewiastą przedsiębiorczą, elegancką, ale omijaną przez mężczyzn.

– Można by zmienić zapach odświeżacza – rzekłem wychodząc jej na przeciw.

– Może zrobię kawę? – zaofiarowała się.

– Oczywiście – przystałem.

– Czy ma być rozpuszczalna ze śmietanką, czy z ekspresu po kolumbijsku? – spytała sygnalizując, że dziś się jej nigdzie nie spieszy.

– Przyniosę również ciasteczko.

Zapadłem w skórzany fotel i snułem domysły, co ją naprawdę do mnie sprowadza. Niewidomy musi wszystkiego dotknąć, aby wyrobić sobie o czymś zdanie. Zupełnie nie mogłem sobie wyobrazić jej wyglądu. Czy była pulchną blondynką czy raczej szczupłą, delikatną szatynką? Codzienny uścisk dłoni niczego mi nie wyjaśnił.

Siedzieliśmy długą chwilę popijając w milczeniu smakowity napój.

Próbowała coś w sobie przełamać. O coś mnie spytać, czy poprosić.

– Dziwne jest to życie – wygłosiłem banał, który mógł być początkiem rozmowy na każdy temat.

– Właśnie. Dlaczego one u pana często tak krzyczą? – wydusiła z siebie pytanie.

Prędzej bym się spodziewał w gabinecie pioruna, niż tego, o co mnie spytała. Nie raz się przekonałem, że nieprzewidywalność niewieścia, jest, jak źródło bez dna. Z trudem pohamowałem się przed okazaniem swego prawdziwego zdumienia.

– Jeśli im to pomaga – wybrnąłem zdawkowo dochodząc do wniosku, że nie o jakieś ciemne sprawy mnie podejrzewa.

– Czy wtedy doznają ekstazy? Są szczęśliwe? – spytała z chorobliwą ciekawością. – Często jestem w pobliżu twego gabinetu – wyjaśniła w tonie usprawiedliwienia, a ja wiedziałem, że mnie specjalnie podsłuchuje, bo gabinet był

dźwiękoszczelny.

– Jasne – oświadczyłem, chociaż w tej sprawie jeszcze niczego jasnego nie było.

– Więc gdybym krzyczała?

Znowu ze sprawy nie robiłem sensacji. Tak jakbym rozmawiał o fontannie na spacerze w parku. Zdaje się, że odgadłem, w jaką stronę kieruje kroki. „No i proszę, jaką to mamy seksualnie pobudzoną administrację!” – uśmiechnąłem się do własnej myśli.

– To w wielu wypadkach wzmacnia siłę orgazmu – zabawiłem się w seksuologa.

– O orgazmie tylko czytałam. Mnie się nie trafił – była żenująco szczerą.

Wiedziałem, że czeka na jakiś sygnał ode mnie. Daremnie. Musiała się sama zdeklarować. Zdobyć się na jakiś ruch.

Kluczyła.

– To jednak byłaby z mojej strony zdrada męża – stwierdziła. – One z tobą zdradzają partnerów?

– Zapewne.

– Jeśli jednak raz się coś takiego przeżyje, to czy można się tego nauczyć?

Czy z każdym się to uda? – snuła nieco odważniej rozważania.

– Słuchaj – powiedziałem ostrzegawczo, a ona dotknęła nieśmiało mojej ręki.

– Uważasz mnie za idiotkę?

Pokręciłem głową.

– Naucz – szepnęła.

– Nie powiesz?

– Kamień w wodę.

– Pozamykajmy się. Czy nie spodziewasz się pani H.H.?

Więc ją też podsłuchiwała?

Rozpięła mi fartuch i przytuliła policzek do piersi.

– Narzucam ci się?

– Jestem już myślą w tobie!

– Łał! Trafiasz w dziesiątkę. Dobierz się do mnie! Chcę, byś się do mnie dobrał.

– Więc się dobiorę. Rozłożę na części pierwsze.

Było, co na te części rozkładać. Nareszcie mogliśmy się poznać nie tylko z głosu, spotkań przy kasie i przelotnych rozmów. Było z niej kawał świetnej pod względem wypukłości i zaokrąglenia kobiety. Czego jej było brak? Niejasne. Zapewne wyobraźni. Rozpiąłem bluzkę i wsadziłem pod miseczki stanika palce. Wydobyłem piersi i smoktałem. Czasem pośpiech dodaje koniecznego wigoru. Niewymyślny sposób pieśczości bywa niezastąpiony.

– Och!

Zsunąłem spódniczkę i majteczki. Posadziłem ją na kolana i całowałem wydobyte na wierzch obłości. Dołem bez pomocy rąk stałem u jej bramki. Zaskoczyłem i oszołomiłem. Nie byłem jednak pewny czy rozgrzałem. Machinalnie rozchyliła uda. Pogładziłem dość obojętnie jej ramiona.

– Dlaczego nagle przestałeś? – szepnęła zawiedziona.

– Bo musimy chcieć tego oboje. Pokaż się teraz ty! Nie jesteś nadmuchiwana lalką.

Oczekiwałem pieśczości.

Dotarło.

Objęła udami moją nogę i pocierała się jakoś niemrawo kłującym językiem. A ja dalej nic. Rozmyślnie komplikowałem sytuację. Położyłem się na stole na wznak. Wyobraziłem ją sobie. Oglądała mój zarośnięty tors, szczeciniasty brzuch i chyboczącego się wielgachnego.

To nie estetyczne?

Kłamstwo. Dla większości pań widok wyśniony, wyczekiwany. Czy również dla niej?

Zapewne ją zaskoczyłem. Może to było zbyt śmiało, nie pod kołderką i nie w ciemnej sypialni. Kawa na ławę. Nie macani cacanki, tylko wóz, albo przewóz. Dług kusił, ale, i co tu gadać, straszyl. Wciąż wszystko trwało w zawieszeniu. Dotknęła policzkiem mego brzucha i się zaczęło.

Położyła się na mnie. Rozpostarła mi mięciutkie, rozłożyste biodra nad twarzą. Pochwyciłem ustami rytm jej ust, zabawiających się wielgachnym. Wiem, nie zawsze wychodzi mi opis przeżyć, tak jakbym sobie tego życzył, elegancko i wyraziście. Ale też język nasz w dziedzinie erotycznej nie rozpieszcza lawiną wysublimowanych nazw. Dygotała. Dygotałem. Głośno, bardzo głośno krzyknąłem. Powtórzyła uwielokrotniając mój krzyk, jak echo. Tarzaliśmy się spleceni na waleta.

– Cały pachniesz mną, a ja tobą – powiedziała.

Nie po raz pierwszy przekonałem się o sile perwersyjnych stwierdzeń. Raz jeszcze zwarliśmy się, jak dwie połówki magnesu. Tylko czasem się od niej odrywałem, jak wiatr w porywach, by uderzyć, przylgnąć jeszcze mocniej, ściślej.

Straciłem dojrzały owoc w jej głębi, bo krzyknęła. Tym razem, ja byłem echem.

Zabrakło mi zręczności i przewrotności, aby naprowadzić rozmowę z nią, jak się to dzieje w romansach szpiegowskich, na interesujący mnie temat szuflady. Czytelnicy śledzący tę zagadkową ścieżkę mego pamiętnika, na pewno mi to wybaczą. Zgodzą się ze mną, że trudno zamartwiać się różami, gdy lasy płoną. Po tym, czym żeśmy się wzajemnie z panią administratorką obdarowali, jakoś mi ona do gangu narkotykowego nie pasowała.

Ekscentryczka

Pracowała w radiu i tam podobno siała grozę. Podobno, bo nigdy nie trafiłem na falach eteru na relacje z jej ekstremalnych przeżyć. Straciłem zapewne wiele nie wysłuchawszy, co miała do powiedzenia skacząc na linie z mostu, lądując lotnią na dachu i skręcając sobie kark na długie miesiące, w czasie randki tete a tete, bez broni krótkiej, z tatrzańskim niedźwiadkiem o dwustu kilowej wadze. Najbardziej doskwierała mi jednak świadomość, że nie nabyłem płyty z nagraniem dokonanego na niej, czy też przez nią gwałtu w izbie zatrzymań dla alkoholików. Ktoś spowodował, że płyta stała się podobno niedostępna. Zresztą może jak wielu padłem ofiara kaczki dziennikarskiej. No i teraz trafiała mi się szczególna okazja powetować sobie tę stratę. Lulu, nieokiełznana feministka, pojawiła się w saloniku z niecodziennym zamiarem.

Rozsiewała zapach kwiatowy „Eternity” Calvina Kleina, klementynka gruszka, chińska czerwona porzeczka, cyklamen, konwalia, paczuli, który w moim przekonaniu, na przekór opinii o jej zuchwalstwie, zdradzał kobietę zakompleksioną. Lulu szykowała erotyczną bajeczkę dla kobiet bojaźliwych, mającą je ośmielić. Gdyby z jakichś racji nie mogły ją usłyszeć w radio, nagranie miało być dostępne, jak arie ze światowych oper, na płytach. Wykupiła całodzienny pobyt w saloniku. Tak to sobie założyła, o czym mnie poinformowała. Płaciła stawkę potrójną, więc...

Grała rolę niezwykle pewnej siebie klientki idącej na ekstremalny wariant masażu erotycznego. Mógł w ten wizerunek uwierzyć każdy, kto wierzy bezgranicznie własnym uszom. Zapewne bym, więc i ja uwierzył jej słowom, gdyby mi w tym radiowym spektaklu zamiast słuchacza, nie przypadła druga, co do wielkości aktorska rola.

Pół dnia zajęły przygotowania techniczne. Przez cały ten czas byłem bezużyteczny. Zaparzyłem kawę. Ugościłem ciasteczkami. Była sobie technikiem i dźwiękowcem i rzecz prosta odtwórczynią roli głównej. Wzbudziła mój niekłamany podziw. Zaczęliśmy od dźwięku. Z rozsianych pluskiew elektronicznych, do słuchawek na uszach dochodził dźwięk rozdzieranego prześcieradła. Podobno tak

miało być.

– Wspaniałe? – spytała.

Płacąc dodatkowo, wymogła na mnie zgodę, bym odpowiadał jej w trakcie masażu na pytania. Wydało mi się to zabawne. Zastrzegłem jednak anonimowość. Czy wiele trzeba, żeby coś takiego dotarło do mojej wioski? Miałażby się matula z pyszna!

– Żadnych wskazówek. Scenariusz aut. Po co komu scenariusz. Nagie, nomen omen, fakty – orzekła.

Pozwoliłem sobie wtrącić trzy grosze.

– Gdyby chciała się pani rozebrać.

Na chwilę się pogubiła potwierdzając mój domysł, że pod podszewką, kryje się ktoś bardzo zakompleksiony. Nagle jej wszystko zaczęło z rąk lecieć.

– Gdzie ja mam położyć ciuchy? – Zirytowała się, nie dostrzegając stojącej, jak byk kozetki i wieszaka. I nagle, na odgłos sygnału nagrania, na odwyrtkę, jak koń ułański na brzmienie trąbki, przemieniła się w pewną siebie panią redaktor. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że akustyka ma taką siłę oddziaływania.

– Rozbieram się do naga – oświadczyła arbitralnym głosem, zupełnie tak, jakby ktoś jej tego zabraniał w stronę domniemanych słuchaczek i szeleściła bluzką, a może spódnicą w pobliżu elektronicznych pluskiewek.

Poczułem się, jak na scenie estrady w naszych świątecznych jasełkach.

– Zrzucam moje odzienie. Kieruje mną szczególny rodzaj podniety.

Na „randkę” patrzę z męskiego punktu widzenia. Wiem, czego chcę. Tu u masażysty rozbieramy się same i zaspokajamy żądzę z witalnym mężczyzną. Żadnych zobowiązań, żadnych uwłaczających umizgów. Chuć. Czuję zapach mężczyzny. Jest ode mnie wyższy o głowę. Kładę się, jak Pan Bóg mnie stworzył przed młodym człowiekiem. Sposób zawarcia znajomości z nieznanym jest równie dobry, jak każdy inny. Jest podobno niezrównany w swojej profesji. Nie szczędziła szczegółów na mój temat, które odebrały mi na pewien czas dobry humor i pewność siebie, zawstydziły.

– Czy robi na panu wrażenie naga kobieta?

– Nie, przecież nie widzę. Chciałbym zacząć masaż.

– Pan Adam stracił wzrok. Kładzie ręce na moich piersiach – relacjonowała.

– Ma dotyk pianisty. Obronnym ruchem przytrzymałam jego ręce. Spostrzegł mój bezwiedny wstyd i uznał swój ruch za przedwczesny. Odwraca mnie na brzuch. Palce delikatnie, ale głęboko wrażają się w czułe kobiece ciało. Wnikają w mięśnie. Czuję się, jak błogo zagubiona w czasie lata, nad brzegiem dzikiego jeziora. A nade mną płyną chmurki o erotycznych kształtach. Spokój, sielanka, rozleniwienie, poczucie nieważkości i jeszcze czegoś, co budzi we mnie chęć coraz mocniejszych doznań. Co to za masaż?

– Shiatsu, „ucisk palca”, z Japonii – odpowiedziałem.

– Męczyzna nie jest dla mnie łagodny. Cierpienie miesza z ukojeniem. Coraz bardziej pragnę przewrotnego bólu.

– Wyobraź siebie, słuchaczko, samotną, zaskoczoną w lasku przez nieznanego, napalonego faceta. Jesteś przerażona i bezradna.

Oczekujesz niewątpliwego. Ze mną się dzieje podobnie. Dorwał mnie i oczekuję niewątpliwego. Mocny ucisk pośladków. Ma ich pełne garście. Nie jest tkliwym kochankiem, lecz wyrachowanym gwałcicielem. Wyrafinowanym i bezwzględny.

Zesztywniałem, słysząc wymysły pod swoim adresem. Bez zastanowienia się przyłożyłem jej klapsa w pośladek. Bez rezultatu. Uznała to za wypadek przy pracy, a może dodatkowy impuls. Tokowała.

– Oparł się o mnie, jak o toaletę przy goleniu. Odchylił się do tyłu, i znowu całym swoim ciężarem, bardzo silnie, mnie przygniótł. To nie tylko masaż. To manewr wstępny, by wniknąć, od najmniej spodziewanej strony, w najmniej oczekiwanym momencie, do kobiecego wnętrza. Zamiar samczy, podstępny. Ja zaś zamiast się mu przeciwstawić, sprzyjam swemu dzikiemu instynktowi, który draży bezlitośnie moje łono.

„Co one na to, te jej potencjalne słuchaczki?” – zastanowiłem się.

Zacząła wizytę z pozycji wymagającego za pieniądze mężczyzny, kończy, jak dawno nierżnięta nimfomanka. Może to i było śmieszne, dla mnie raczej żalodne.

Może te jej relacje ze spotkania z niedźwiedziem, czy w izbie wytrzeźwień miały walor sensoryjny, przemawiały do wyobraźni? Sceneria, dramaturgia. Ale tutaj? Nie wydawało mi się. Na stole masażowym, z facetem, który nie widzi obiektu? Łagodnym jak ciele.

Dzierżąc w rękach jej ciało, mogłem nareszcie skreślić fizyczny wizerunek klientki. Była wysoką, bardzo chudą, wręcz zagłodzoną, kościstą osobniczką. Nic ciekawego. Mówi się o takiej wieszak, deska, szczapa lub ryfka.

Legła na plecach. Gąbczaste brodawki, zero piersi.

– Czy pozycja pana i władcy rusza? – spytała książkowo.

– Jestem fachura.

– Więc nie?

– Kocham kobiece ciało – odgrzebałem banał.

– Jeden zero dla pana. Co mnie czeka?

Wyglądało na to, że już sobie odpuściła mnie w roli gwałciciela. Zeszła z wyżyn twórczości, w dolinę przeciętności. Zbliżyliśmy się niespodziewanie do realiów łóżkowych w wydaniu podręcznikowym.

– Czekają panią to, czego pani sobie zażyczyła – zepsułem zgryźliwie bez reszty jej relację w wersji kryminalnej. Zdała się niedosłyszeć.

– O tym, co mnie czeka, dowiedzie się wprost z łoża masażowego. Może to będą słowa, może jęki i szloch, może cisza. Bądźcie ze mną!

Chyba najgorsze mam za sobą. Skończy z tym obłądnym jazgotem, jak się ją dorwie – miałem nadzieję.

W odwecie za wygłoszone o mnie nedorzecznosci, zabawiłem się jej kosztem. Uchwyciłem te gąbczaste brodawki w dwa palce. Nie miała za złe brewerii. Bezgłośny wybuch pozbawił ją chwilowo kontaktu z rzeczywistością. Zesztywniała.

Nie lubię niespodzianek, zwłaszcza przedwcześnie. Ale w jej wypadku, rzeczywiście przestała bajdurzyć. Niestety na krótko.

– Na jak długo wyłączył mnie pan z eteru? Zaskakuje pan ofiary? – wciąż dorabiała sensację. – Zmogło mnie odurzenie. – Czy pan je wykorzystał? Po raz drugi, nie dam się zaskoczyć. O nie, mój panie! Bądźcie ze mną! – nawoływała swoje

urojone słuchaczki do jakiejś krucjaty.

Moje nadzieje na koniec bredniom okazały się płonne. Były jednak sownie opłacone, o czym zapomnieć nie sposób. Słuchałem jej relacji z narastającym zdziwieniem i niesmakiem. Ja, który o dobrym smaku nie miał zielonego pojęcia! Pani redaktor na własne życzenie, za własne pieniądze, własnymi wynurzeniami odzierała się z intymności i szacunku.

– Znacie to palące uczucie? – wkradała się w zaufanie słuchaczek. – Jego palce spływają ciepłą strużką w dół mego brzucha. Krew we mnie wrze, jak ukrop. Omdlewająca przyjemność ubezwłasnowolnia. Czy dotknie? Skrywam najśłodszy wstyd – ściszyła głos do szeptu. – Pozwolę mu. Czy świadom jest moich przeżyć? Narusza tradycyjną granicę przyzwoitości. Błądzi po moim skarbczyku.

– Czy pana to kręci? Czy jest pan zaangażowany? Czy mnie pan pożąda? – zasypała mnie mnóstwem bzdurnych pytań, jak ktoś, kto podejrzewa niewiernego kochanka.

Zrobiło mi się nagle nieznośnie gorąco. W ten sposób nie ma szansy bym dotrwał do końca nagrania – uświadomiłem sobie. Zassałem napęczniałą brodawkę.

– Czy mogę tu krzyczeć? – spytała nagle pani NN rozplomienionym głosem. Natychmiast wycofałem się z imprezy.

– Bawi się pan ze mną, jak kot z myszką? – spytała nagle zgnębiona. Siadła. Nie wyłączyła nagrania.

Schyliłem się i dotknąłem ustami ud, a ona odchyliła się, wypięła i podała mi bezwstydnie gorące precjoza. Zachłysłnęła się, zmienionym głosem prowadziła swoją relację dalej.

– Szykuję się na gorącą pieszczotę. Na popularną grę miłosną. Czuję wilgotne usta i ciepły oddech na udach. To się nazywa „petting” Wydam się staromodna, egzaltowana, niedzisiejsza. Sama myśl o języku w tym miejscu, mnie przeraża i podnieca. Płonę. Ta śmiała pieszczota szczególnie mnie rozpałała. Delikatnie drapie brodą moje rozchylone uda. – To są miłosne katusze, których wyrazem może być tylko jęk. Słowa, uroczyście czy wulgarne, są jak sztuczne kwiaty na klombach. Jego język to rozpalona żagiew, którą gasi w moim wnętrzu.

Wcisnąłem język między jej zwarte plastry grodzące wejście w głąb brzucha.

– Aaa! – krzyknęła przeciągle i żywiłowo.

Zapewne znajdę zrozumienie u panów. Jakże upiorną torturą może się wydać, potok kobiecych, bulwersujący wynurzeń. Jeśli to ktoś usłyszy, weźmie mnie za degenerata – myślałem. Dziś już nie byłbym tak jednoznacznie pewien solidarności, do której się odwołuję. Takie wyznania są na porządku dziennym w każdym uznanym obrazie rodzimej filmowej produkcji i niczyich uszu nie rażą.

Rwała pazurami prześcieradło. Jakich efektów dźwiękowych mogły doświadczyć jej słuchaczki, wolałem nie myśleć.

Spytała:

– Czy zechce mnie pan ujarzmić po raz trzeci?

Walnąłem prosto z mostu:

– Mam zapłacone za trzy.

Znowu udała, że nie słyszy. Pewno to z nagrania wytnie.

– Znalazłam czarodzieja. Igram z diabłem. Wiem, że to musi was kręcić, moje siostry. Jeśli już postanowiłyście przeżyć to, co ja, jeśli was do tego zachęciłam....

– Co ma pan w rękę? – krzyknęła tym razem bardzo na serio. – To penis? Wibrator? Ogromny! Ma się to we mnie zmieścić? Czy nie powinnam krzyczeć, że tego się boję?

– Był w umowie – kompromitowałem udawaną spontaniczność. – Długość dwadzieścia cztery centymetry, średnica trzy. Woli pani mniejszy?

Nie krzyczała. Stała na kolanach i łokciach.

Tworzę figurę, jak na prehistorycznych płaskorzeźbach naściennych – była niezłomna w swoim postanowieniu, jak pewien znany dziennikarz, który podszywał się dla zdobycia sławy za więźnia, geja i policjanta. – Tak wabiła nasza pramatka, naszego praojca – plotła bez ładu i składu. – Brak mi ogniska i łona przyrody. Widoku parzących się ptaków. Mój strach wymyka się wszelkim opisom. A we mnie wszelkim opisom wymykała się narastająca złość na siebie, że poleciałem, że się dałem skusić pieniędzmi. W rękę dygotał mi wibrator. Wprowadziłem go do akcji nerwowo. Obudziła we mnie okrutnika. Podniosłem ją z łokci i wyprostowałem. Była

uległa jak trusia. Wcisnąłem w jej palce końcówkę wibratora. Miała kierować nim sama. Byliśmy twarzą w twarz. Pociągałem za brodawki sutek zbyt mocno. Pchałem palec w rozwarty wrąbek. Poszczypywałem i miętosilem drgający brzuch. Uwłączałem jej. Byłem ukontentowany jej bolesnymi szlochami i namiętymi westchnieniami.

– Ja tego nagrania nigdzie nie puszczę. Ono mi było potrzebne, żeby tu przyjść. Zrobiłam to dla siebie. Tak dawno... – doszedł mnie jej błagalny szept. Dotknąłem wilgotnego policzka.

Przerwałem niecne eksperymenty. Wyłączyłem wibrator i ją objąłem.

Dziś wspominam ten i inne szepty. Uderzam się w pierś. Nie umiem oddać delikatnych barw, których również nie brakowało tamtym wydarzeniom, ani ustrzec się wyświechtanych słów, na które „One” nie zasługują.

Telefon 111

– Kim jest? Dlaczego to robi anonimowo? – zadał głośno pytania dwóm swoim zastępcom z wydziału antynarkotykowego nadinspektor policji Marek Oko.

– Komunikaty przekazuje w ciągu kilku sekund. Nie sposób namierzyć – powiedział inspektor Jacek Krugulski. Nie namierzą go też gangsterzy. Słaba pociecha – dodał. – Nie tajemnica, że podsłuchują nasze rozmowy z miastem. Informacje tego osobnika nie znajdują potwierdzenia. Albo nas robi w konia, albo coś u niego nie gra. Optuję za pierwszym wnioskiem.

– Trzeba, jak z gównem. Delikatna sprawa. Informator wciąż wspomina żonę któregoś z dostojników Sejmu – stwierdził nadinspektor. – Może to prowokacja? Jak dobrze pójdzie, prasa oskarży nas o inwigilację polityków.

– Kto wie, czy właśnie o to nie chodzi? Czy za informatorem nie kryje się, jeden z tych brukowych padalców, dziennikarz? – spekulował Krugulski. Obserwacja granicy nic nie wniosła. Z podanych nazwisk, żadne się nie sprawdziło. Mami nas postacią z kręgu polityków, odpycha w kierunku Sejmu. I pewno, w to mu graj. Zaczniemy śledzić, to podniesie krzyk, że śledzimy. I to też budzi mój największy niepokój. Z braku jakichkolwiek realnych dowodów śledztwo proponowałbym umorzyć. Warto jedynie odnaleźć prowokatora. Popatrzył na swego konkurenta i przyjaciela inspektora Koźlaka, wzruszył ramionami, jakby chciał się przed nim usprawiedliwić.

– Właśnie. Dlaczego podawane personalia kobiet rzekomo uczestniczących w procederze przemytu, czy może dystrybucji w kraju, nie są prawdziwe? – odezwał się inspektor Kazimierz Koźlak. Co może być tego przyczyną?

Robił wrażenie, jakby nie słyszał dotychczasowej rozmowy. Zabierał głos rzadko i miał na swoim koncie większość spraw wykrytych. Wyróżniał się ekstrawagancką elegancją. Miał na sobie pąsową koszulę, krawat w słoneczne paski i welwetową marynarkę w kolorze dojrzałej śliwki. Na cienkiej czarnej wstążeczce zwisały na piersi okulary do dali.

– W informacjach powtarza się również pewna prawidłowość – dodał.

– Najpierw przejście graniczne z Białorusią, potem z Niemcami lub Czechami. Taki jest kierunek przerzutu.

– Więc to nie jest twoim zdaniem bluff? – W głosie nadinspektora Oko pobrzmiwała nuta wątpliwości. Dopatrujesz się w nieprawdziwości podanych nazwisk, argumentu na rzecz autentyczności informatora? Czy nie posuwasz się nazbyt daleko zastępując brak dowodów domysłami? Kobiety noszące podane nazwiska, warszawianki, jak sam wiesz, po inwigilacji, okazały się czyste, ze sprawą niemające nic wspólnego.

– Pieczone gołąbki same nie lecą do gąbki. Widocznie to nie jest takie proste – oświadczył Koźlak kręcąc głową. Zdawał się nie zauważać krytyki szefa. – Informator nie ma widocznie możliwości weryfikacji prawdziwych nazwisk. Zawsze mówi „zapewne”. W tym „zapewne” tkwi główna przyczyna naszego niepowodzenia. Nie trzeba demonizować pozycji pani X. Ona jest po prostu konsumentką. Trzeba by ją tylko z tego Sejmu wyłuskać i wziąć pod obserwację.

– To domysł czy stwierdzenie? – nadinspektor wpatrywał się w Koźlaka.

– Konkluzja – stwierdził Koźlak. – W przejętych doniesieniach, nazwisku pani X zawsze towarzyszy informacja, że zabrała ze sobą z szuflady niewielką dawkę narkotyku, nigdy kartkę. Nie sadzę, aby bawiła się w gilera.

– Sprawa ze wszech miar śliska. Trzeba by sprawę przekazać Urzędowi Ochrony Państwa. – stwierdził nadinspektor. Nie mamy żadnych dowodów. Telefon z miasta, myślałby, kto! Sprawa natychmiast dotrze do premiera. I tu się zaczyna kołomyjka...

– To może być babski gang – snuł wywód Koźlak. – Przynajmniej kierują nim kobiety. – Nie ma więc co liczyć na prostą logikę. Mężczyzn informator nie wymienia. Działają nietypowo. Rutynowe kontrole graniczne – skrzywił się. – Po pierwsze szukamy spódnic, a na granicy mogą być spodnie. Jak i czym przemycają? Sprytnie, jeśli w zapowiadany przez informatora terminie i miejscu nie udało się niczego przechwycić. Jestem zdania, że gang działa. Informator nie ma żadnego interesu w tym, żeby nam truć dupę. Nie jest bombiarzem lecącym na sensacje.

– Nie jest bezinteresowny – nie dał za wygraną Krugulski. – Przyjrzyjmy się

sprawie na zimno. Poza domniemaną panią X, ze wskazaniem na Wiejską, reszta podejrzanych wydaje się czystą chimerą. Wietrzę Kaziku polityczną podpuchę.

– Narkotyk do własnych potrzeb pani X opinia publiczna wybaczy. A nawet będzie jej współczuła, doszukiwała się podtekstów. To teraz takie modne i kultowe zachowanie. Chyba mamy na to dość codziennych przykładów – zauważył nadinspektor Oko.

– Gdyby informator chciał sprowokować aferę i miał jakąkolwiek do tego podstawę, dzwoniłby z donosem do mediów, wskazałby skrzynkę kontaktowa, lub osobę rzeczzonej pani. A oni tam już w mediach mają różnych paparazzi i swoje sposoby. Za sprawy nieudowodnione, nie ponoszą praktycznie żadnej odpowiedzialności, poza kasą potrzebną na przeprosiny dla poszkodowanego, która przecież jest wliczona w koszty działalności. Sprawę rozkręciliby na zasadzie ktoś, kogoś, dla czegoś. Nie, informator jest normalny. Jeśli ma w tym jakiś interes, to jest nim obawa o własny los. Boi się – powtórzył Koźlak. On pracuje w środowisku kobiet. Może jest krawcem, fryzjerem, ekspedientem lub masażystą. Może być człowiekiem kalekim, co tłumaczyłoby wiele spraw.

– Bardzo prawdopodobne – stwierdził nadinspektor Oko. – Czy mamy mapę miejsc, z których informator dzwonił? W jakich godzinach najczęściej?

– Taką rozpiskę mam – poinformował Koźlak. – Dzwoni między siedemnastą, a siedemnastą trzydzieści z różnicą dziesięciu, dwunastu minut. Zakładam, że kończy pracę o siedemnastej. Droga od miejsca pracy do budki telefonicznej zajmuje mu, od piętnastu do dwudziestu pięciu minut. Nie sadzę, aby pokonywał ją pieszo, bo dzwoni z budek odległych od siebie nieraz o godzinę drogi per pedes. Budki, z których telefonuje zawsze są w pobliżu przystanku. Rozpytywałem tramwajarzy. Jedna pani motorniczy zwróciła uwagę na niewidomego z psem. Dzwonił dzień po dniu z dwóch znajdujących się na przeciwległych krańcach śródmieścia budek. Siadł w śródmieściu. Pytał ją, gdzie ma do nich wysiąść. Sprawdziłem, że z tych budek do nas dzwoniło. Rozeznanie wśród niewidomych z psami poleciłem przeprowadzić.

– Tobie nic się z rączek nie wymknie – dał wyraz swego uznania Krugulski. – Depcesz po piętach delikwenta.

– Prowadź, Kazimierzu, sprawę do skutku. O pani X w ogóle mi nic nie wiadomo. Wam też, moi panowie. W sprawie spotkamy się w następnym tygodniu.

Pani Dulka

Do saloniku weszła pani Natalia Z. Równie dobrze mógł to być sowiecki żandarm. Narobiliby podobnego rumoru i zapach niezniszczalnych, rosyjskich perfum, czeremchy, byłby ten sam.

– Niech będzie pochwalony – zabrzmiało, jak wystrzał armatni. – Będziesz musiał chłopcze mi trochę pomoc, odkąd przybrałam na wadze.

Musiało się to stać ze trzydzieści lat temu. Rozpiąłem osiem solidnych haftek stanika o średnicy koła od ciągnika. Szczęściem nie kazała bym ją położyć na stół.

– Pozostanę w pasie i majtkach. Dajcie odpór diabłu, a uciecze od was – zacytowała zapewne Biblię. – Zaczynaj, chłopcze. Boli mnie wszystko.

Łamiąc zasady, spytałem o zawód.

– Ksiądz w spódnicy – odpowiedziała.

Jak się masuje katechetki? Czy piersi, łono i pośladki, to jeszcze nie grzech, czy może już grzech śmiertelny? Zdjęła stanik, więc biust jest poza klątwą? Żadnych religijnych precjozów na szyi nie odkryłem. Może miała jedynie jednorazową dispensę. Było tego przy dużo, oczywiście piersi. Pani Natalia trzymała jednak bufet bez trudu, wysoko. Potrzebował silnej ręki. Sapała, jak lokomotywa i skrycie przesunęła na biodrach trochę niżej pas. Sięgałem zarostu. Zadrzała i przytrzymała mnie za rękę. Masowałem nadal, jakbym niczego nie zauważył. Wstąpił we mnie duch przekory i postanowiłem wyprowadzić ją na złą drogę.

– Czy życzy sobie pani petting? – spytałem.

Udawała, albo nie znała rzeczywiście tej terminologii.

– Rób, jak uważasz!

Tuś mi! Wstąpiłaś do piekieł – pomyślałem.

Trącałem językiem brodawki piersiowe. Stały karnie na baczność. Podałem jej bufory perfidnemu łaskotaniu, a za chwilę łóżkowemu po prostu macaniu.

– Czy ma to właściwości zdrowotne? – spytała z naiwną obłudną, rozdygotanym głosem.

– Wyłącznie – zawiesiłem głos – erotyczne.

Znowu świadomie nie dosłyszała. Trzęsa się, jak wieprzowe nóżki w galarecie i dałbym głowę, że sprostałaby drużynie wyposzczonych piechurów.

– Pff! Jaka ulga – fantazjowała. – Nie czuję bólu w ramionach. – Cóż za ulga!

Bawiło to mnie. „Apage satane!” – powiedziałby na jej miejscu nasz ksiądz. Wiedziałem, że nie ominęła ją słabość. Dobrze się maskowała.

– Bolał mnie i biodra chłopcze – uwolniła spod klątwy dalszy obszar swego ciała. Szła za wewnętrznym nakazem musu. – Potrafisz przynieść ulgę zboląlemu ciału – usprawiedliwiała grzeszną duszę.

Skąd ja to znałem? Detko, czy anioł? Dla zachowania twarzy tworzyła pozory nieświadomości sądząc najpoważniej, że na mnie przerzuci winę za grzech śmiertelny przeciwko cnocie, czy czemuś w tym rodzaju? Głos uwiązał jej w gardle. Chrypiała niemal błagalnie. Z premedytacją odczekałem, aż zsunie sobie majtasy. Do moich obowiązków zdejmowanie tej części bielizny nie należało. Klientki decydowały same. Mogłem w tym tylko pomóc. Tak zabezpieczałem się na wypadek zarzutu o molestowanie. W jej wypadku było to rodzaj osobliwej perfidii. Chciałem by całą winą obciążyła jedynie własne sumienie. Nie doczekawszy się mego ruchu, zsunęła majtki i mocowała się z potężnym gumowy pasem uciskającym brzuch. Miała otłuszczone i zarośnięte uda.

Klient mój pan. Miałem oprócz pettingu w zanadrzu tysiąc innych skutecznych sposobów, aby jej duszę przynajmniej na jakiś czas powierzyć pieczy diabła. Od kolan przemieszczałem dłońmi nagromadzone ciepło pod jej owłosione podbrzusze. Nastroszone włoski zdradzały silne podniecenie starszej pani. Cierpiała, najzupełniej, ziemskie katusze. Delikatnie wymasowałem jej raz jeszcze piersi i postanowiłem z tej bryły mięsa zakpić.

Oderwałem od niej dłonie sygnalizując kres masażu.

– Nie! – jęknęła. – Nie było przecież ani pettingu, ani neckingu! – zdradziła się nieoczekiwanie ze swoim odczytaniem w literaturze, która w jej kręgach towarzyskich stanowiła zapewne bibułę drugiego obiegu.

Przewróciła się z trudem na brzuch. Rozłożyła szeroko nogi i rozwarła przepastne krocze. Twarz wcisnęła w materac, aż jęknęły sprężyny. Widocznie ze

skrytą twarzą grzech uchodził jej łatwiej.

– Zrób mi to, co innym – wydusiła z siebie.

Rozwarła istną kopalnię.

Po raz pierwszy, intuicyjnie zrobiłem jej to, o czym dowiedziałem się później, że zwie się fistingiem. Wsadziłem palec, potem dwa i wciąż pozostawała przestrzeń niezagospodarowana. Z niedowierzaniem i niezdrową ciekawością zwinąłem dłoń i jak narzędziem chirurgicznym wniknąłem w głąb pochwy. Skryła się po nadgarstek. Walczyła we mnie obrzydliwość z odruchem atawizmu. Rzeczywiście nie chodziło o stosunek, lecz o wnętrze, o grzebanie się, jak powiedziała mi pani Agata. Pani Natalia chrumkała i wierzgała nogami, jak niegdyś organiścicha. Uwolniłem dłoń spomiędzy jej ud i sięgnąłem po największy kaliber wibratora. Klientka niczego nie widziała, niczego nie słyszała. Zabieg, jak zabieg. Czego się nie robi dla zdrowia? Wibrator zawarczał, jak zły pies i skrył się w zwalistej górze ciała. Poszerzał jej wyrąbany chodnik. Bezkształtny wór dygotał. Bolała mnie od fedrowania ręka. Drżałaby tak chyba w nieskończoność i stękała w materac, gdyby, na szczęście ograniczona pojemność baterii.

– Jesteś w porządku, chłopcze – stwierdziła, jakbym odwalił tekst na sprawdzianie z katechizmu. – Moja wielka wina! – pokajała się. – Nie lecisz na atrakcyjne kobiety – rozgrzeszyła mnie. – Masz moje zaufanie.

Ma baśkę nabożnisa! Przytomnie to załatwiła – skonstatowałem w myślach.

– Wyjawię ci właściwy cel mego przybycia – zapowiedziała. Fakt, że została przed chwilą bezapelacyjnie, choć mechanicznie przerznięta, potraktowała, podczas wizyty najwidoczniej jako konieczność nie do ominięcia. – Posłuchaj, o co poproszę.

Naciągnęła majtasy skrywając dowód swego sprzeniewierzenia.

– Moja córka Honoratka, chcę się upewnić, że jest nietknięta.

– A ja miałbym?

Moje zdziwienie zbyła.

– Ma narzeczonego w Irlandii. Zacności rodzina, utytułowana, bogobojna.

Patronuje Honoratce – ściszyła głos do szeptu. – Mój brat, biskup. Gdyby, więc, mój Boże. Byłaby konfundacja. Na to pozwolić nie można.

Słuchałem opowieści, jak o żelaznym wilku. Cóż za rodzaj katuszy dla biskupa kryło słowo konfundacja?

– Trzeba by do lekarza – wycedziłem przez zęby.

– Do lekarza? Gotowa się obrazić i uciec z domu. Charakter po ojcu.

Podrzuciłam myśl, żeby zadbała o swoje ciało dla wybranka. Jest ciekawa. Przyjdzie do ciebie, mój chłopcze. Ty ją sobie pod pozorem masażu podejrzysz i mnie powiesz. Suto tę grzeczność wynagrodzę. Wreszcie dotarło do mnie jej subtelne przesłanie. To był naprawdę szczyt wszystkiego!

– Jest pewien kłopot z podglądaniem. Jak pani zapewne zauważyła jestem niewidomy. Mógłbym jedynie dokonać ryzykownej dla pani córki próby – zakpiłem jawnie. – Czy nie należałoby zostawić te sprawy do rozstrzygnięcia między sobą młodym?

– Jakoś tam sobie z tym poradzisz, mój chłopcze. Widzę, że sobie z kobietami radzisz wspaniale – nie przejęła się moją kpina. – To nie tuzinkowa sprawa. Honorata nie zna osobiście wybranka.

– Wzruszające.

– Kpisz ze świętego sakramentu małżeństwa – spróbowała mnie wziąć na grzech.

– Nie interesuje mnie proponowany biznes, ani los pani ukochanej córki. Dla mnie może szlag trafić nieskazitelną opinię pani świętobliwego brata. Córce potrzebny ginekolog, pani psychiatra.

Nie pomogłem jej nałożyć ani zapiąć stanika. Próbowwała okiełznać sama swoje bufory. Jak dalece dała sobie z tym radę, nie wiem? Stałem i czekałem, aż się z rumorem wyniosła.

Opowieść pani Agaty - druga

W drzwiach saloniku stała pani Agata.

– Wyjeżdżam do córki, do Paryża, panie Adamie. Stąd wcześniejsza, niezapowiedziana wizyta.

Pospieszyłem naprzeciw. Jak zwykle podała mi z wdziękiem rękę. Siadła w fotelu. Nachyliłem się nad nią. Lekko gładziłem ramiona przez batystową bluzkę. Wspomniałem, że darzyliśmy się specjalnymi względami i przestrzegaliśmy określonego rytuału. Pani Agata wstała z fotela i położyła mi ręce na biodrach. Rozpiąłem guziczki i zdjąłem jej bluzkę, lekko uniosłem od dołu piersi i rozpiąłem z przodu stanik. Przytuliła policzek do moich dłoni i objęła mnie delikatnie za szyję. Razem ostrożnie zsunęliśmy spódnicę i koronkowe majteczki, obnażając krągłe, dziewczęco szczupłe biodra. Zrzuciła pantofle. Stał naga. Emanowała ciepłem. Otarła się o mnie.

– Tak właśnie zastał mnie mój trzeci mąż z pewnym młodym tenisistą. Byłam wtedy na wczasach i znajomy zawodnik wpadł do mnie po tym, jak przegrał mecz. Byłam świadkiem jego porażki. Ale bardziej niż zmienne losy gry, pochłonął mnie widok jego sprężystych ud i ramion. – Możesz się na mnie odegrać – zaproponowałam, chcąc go jakoś pocieszyć. – Od początku rozgrywek był nie tylko moim faworytem sportowym.

Nie miał nic przeciw. Mąż trafił na tak zwany moment. Leżałam z rozwalonymi, od morza, do morza kolanami, a mój tenisista ładował mi silnie ścięte serwy. Nagle zamarł i zwiotczał, jakby zobaczył ducha. Wędrowałem znajomą, głęboką bruzdą kręgosłupa pani Agaty.

– Mój drogi mąż, wcale nie wpadł w tak zwane osłupienie – opowiadała. „Nie przeszkadzajcie sobie. Rznij ją!” – powiedział z wrodzoną pobłażliwością. – Lubiliśmy z mężem czasem wulgarne słowa. Bardzo nas podniecały.

– Nie wychodź. Sam mnie rznij! Popęlniłam, przyznaję, błąd – powiedziałam do męża lekko przestraszona. – To tylko taki niespodziewany katar. Kocham cię.

– A któż tu temu zaprzecza – odparł. – Zrobiłaś właściwy krok. I nawet mi się

to bardzo podoba. Nie musisz jednak robić z randki tajemnicy.

Masowałem ramiona pani Agi. Palcami dotknąłem szyi i głowy u nasady włosów. Delikatnie drażnił mnie w nozdrza świeży zapach jej potu.

– Więc mnie pierdol – powiedziałam do sportsmena.

– Czy ja państwu jednak nie zawadzam? – Mój tenisista był zdumiony obrotem sprawy. Z niepokojem rozglądał się za zrzucenymi gdzieś spodniami. Podejrzywał jakiś podstęp.

– Dżentelmen nie pozostawia kobiety w pół drogi – powiedział mój mąż. – Moja żona jest piękna i lubi dorodnego kutasa. Myślę, że podjąłem właściwą decyzję pozwalając panu przeżyć przygodę ze wspaniałą kobieta i tuszę, że się na panu nie zawiodę.

– Pociągnęłam tenisistę za rękę. Zbaraniał.

Podłożyłem dłoń pod piersi pani Agaty. Drugą pod jej łono. Ustami przywarłem do pleców. Lizalem jej słoną skórę. Westchnęła.

– Tak dobrze, jest mi tylko z panem, Adamie. O pana jestem naprawdę zazdrosna – westchnęła.

Obróciłem ją piersiami ku sobie. Masowałem brzuch w kierunku oczka.

– Nie bez obaw wrócił ze mną na pościel – opowiadała pani Agata. Łokciem musnęła mi wielgachnego przez spodnie. – Nie spuszczał z oczu męża, gotów natychmiast uciekać. Był wielce spietrany i bał się kompromitacji.

Mąż usiadł w fotelu i zachęcił go ruchem dłoni.

– Obaj mamy świetny gust – powiedział. – Ona ma świetną dupencję, od której pan oszaleje.

– Żądza skrzyła mi wnętrzości w rozkoszny węzeł. Sprowokowałam tenisistę natychmiastową gotowością. Lśniłam przepastną dziurką w gęstym sitowiu włosów. Wystawiłam mu ją pod nos.

– On był już pod wrażeniem słów męża. Może je zresztą zrozumiał zbyt dosłownie. Zlekceważył moje oczekujące uda. Chwycił mnie muskularnymi rękoma i przewrócił na brzuch. – Ostrożnie, posiniaczysz mnie! – krzyknęłam. Naprawdę to było bolesne, ale nie tak bolesne, jak stało się to po chwili.

– Podniósł mnie na kolana. Zaskoczył wbijając boleśnie swoją raketę w paru krótkich odbiciach w pupę, bez najmniejszego znieczulenia. Wyłam, gdy mi ten mój węzeł żądry tak gwałtownie rozplątał. Szamotał się ze mną z determinacją. Skończył. Wystrzelał się na moje plecy pachnącym białkiem.

– Dla niego gra się dopiero rozpoczynała. Był w świetnej kondycji. Mój mąż przestał mu nagle zawadzać. Pupa mnie wprost paliła. Trzymał raketę w gotowości i właśnie mi ją tam znowu aplikował. Tym razem nie było to złe, czułam niewysłowioną rozkosz.

– Hola! Podziękujemy! – usłyszałem zachrypnięty głos męża. – Daj panu coś na pamiątkę po sobie. Może na przykład, któryś z kupionych przez ciebie krawatów. Nabrałem na ciebie, Aguś, ogromnej ochoty.

– O nie, mój panie! – wrzasnęłam. – Nie jestem maskotką dla twego kutasa. Teraz popatrz, jakżeś chciał!

Tenisista sponiewierał mnie potężnie. Siadając, długo go wspominałam, zwłaszcza, że i mąż nabrał szybko umiejętności nagłego zaskakiwania mnie w tym względzie.

Mnie też uwierały spodnie. Miałem zastraszący apetyt na panią Agę. Ach te słodkie, niezawodne damskie zawodniczki. Nieprzynaglana szukała mnie już gołym tyłeczkiem. Tym razem jej Yoni nie doświadczyło zarówno czułego dotyku, jak i uczestnictwa w bachanaliach. Usiadłem na tyłeczku pani Agi i nieustępliwie, jak wędkarz zapuściłem wielgachnego równiutko między dwa krągłe pośladecki. Czułem całą gradację następujących po sobie wstrząsów, powodowanych bólem, rozkoszą i ekstazą.

Długo jeszcze po tym, jak pani Aga krzykiem zdradziła uchodzący z niej żar, ja ten żar podsycalam.

Nie wróciłem od razu po pracy do domu. Tramwajem przewędrowałem na drugi koniec śródmieścia i odliczywszy przystanki wysiadłem na właściwym obok budki telefonicznej. Wykręciłem numer policji. Przekazałem anonimowo treść ostatniej znalezionej w szufladzie wiadomości: „Migdały potrzebne w Morskim Oku we środe”. Podałem dwa nazwiska zauważonych klientek. Wyniosłem się z Sonią w

kierunku nadjeżdżającego do przystanku tramwaju. Nie mogłem wiedzieć, że po chwili pod budkę telefoniczną podjechał samochód z inspektorem Koźlakiem.

Samo życie

Uzbierała się niezła sumka. Mogłem kupić na raty dwupokojowe mieszkanie. Wysyłałem też pieniądze matuli i wpłaciłem zaliczkę na leczenie w Szwajcarii. Kurewstwo popłacało. Wciąż oczekiwałem na ostateczny termin wyjazdu. Przeszkodą był brak decyzji ministerstwa na dodatkową dotację finansową, o którą zabiegała doktor Elżbieta. Zdejmowała mi właśnie opatrunki po laserowej operacji likwidującej rozwarstwienia siatkówki. To był jeden z koniecznych zabiegów poprzedzających, operację finalną w Szwajcarii.

– Proces chorobowy został zatrzymany – powiedziała zupełnie nie lekarskim tonem.

– A co u pani doktor? – spytałem z szacunkiem i dystansem.

– Katastrofa – dłuższą chwilę milczała. – Mąż wciąż w śpiączce. Stłuczka, uderzenie w tył samochodu. Dla niego tragiczne. Pęknięty kręgosłupa, wylew, paraliż – mówiła cicho, beznamyślnie. Czasem myślę, że to mnie, a nie jego powinna spotkać kara. Piekło. Odechciewa się żyć.

– Wiem coś o tym – wyjąkałem.

Przytuliła się do mnie ramieniem. Siedzieliśmy, jak brat z siostra.

– Musi się znaleźć rada.

– Teściowie, traktują mnie, jakbym była czemuś winna. Może rzeczywiście.

Wciąż o tobie myślę. Oblęd. Czy już ci uleciałam z pamięci?

– Nie.

– Tyle u ciebie pięknych kobiet. Byłoby dziwne gdybyś...

– Nie to samo.

– Czuję się podle. Wiesz, bardzo.

– To nie jest twoja wina.

Pierwszy raz powiedziałem do niej ty. Przytuliła policzek do mojej ręki.

– Prawie o nim nie myślę. Odwiedzają go teraz w szpitalu panie, którym naobiecował. A ja nie mogłam sobie tamtego darować.

Objąłem ją ramieniem.

– I, co my z tym zrobimy?

Zadziwiając odwagą samego siebie, poszukałem jej kolan. Już nie byłem tym nieśmiałym chłopcem z nad Sanu.

– Poczekaj, rozejrzę się – wzięła mnie za rękę. – Chodź.

Weszliśmy do izolatki pozabiegowej. Elżbieta sprawdziła zamknięcie i usiadła na brzegu kozetki.

– Przysięgnijmy, że już nigdy więcej – powiedziała chcąc, bym w to uwierzył. Ustami byłem już przy niej.

– Wariacie!

Zapaliła przed gabinetem czerwoną lampkę. Mieliśmy trochę czasu.. Po tamtym, co między nami było, czułem, że oczekuje szczególnej adoracji, romantyki, namiętności, która choćby trochę usprawiedliwiałaby występki. Miało się to dokonać dzięki mojej wyraźnej inicjatywie. Ale mężczyzna patrzy na te sprawy nieco mniej idyllicznie, potrzebuje ciała nie duszy. Zakonotowałem gdzieś w pamięci miękkość jej pagórka łonowego, obrzmiałe wargi sromowe, żelazny ucisk mięśni krokowych. Próbowałem się wczuć w tamtą żywiołową niemal chłopięcą atmosferę naszego zbliżenia, jednak z dodatkiem odrobiny perwersji. Przygniotłem, ją do kozetki, równie gwałtownie, jak ona mnie kiedyś dosiadła. Wsunąłem prostacko rękę w dekolt i macałem piersi. Sutki uniosły się i stwardniały. Objąłem piersi dłonią, ucisnąłem i wydobyłem je na wierzch, tak jak robili to starsi koledzy dziewczuchom po wyjściu z potańcówki. Elżbieta ustami poszukała moich ust. Owiała mnie przyspieszonym, gorącym oddechem. Położyła mi rękę na uda, przesunęła dłoń wyżej i uściskała świadka naszego pierwszego zespolenia. Uwięziony w nogawce spodni był twardy jak skała, pulsujący jak wibrator. Oboje kontestowaliśmy swoje kształty. Syciliśmy się tym, co za moment nastąpi. Oczekiwała drapieżności i niepohamowanej żądzy, takiej, na wspomnienie, której wstydziła się. Opóźniłem tę chwilę leżąc na niej bez ruchu. Dopiero teraz zadarłem jej spódnice i zdjąłem majtki, ukradkiem, jak czyni to gospodyni napalony parobek na sianie, pozostawiając górną partię jej odzieży dla pozorów w spokoju, by gospodarz niczego nie zauważył. Wyżej z rozpiętej wcześniej bluzki i uwolnionego z ramiączek stanika, wysuwały się, jak dwa smakowite

serdelki, sprężyste piersi z pachnącymi brodawkami, którymi Elżbieta uderzała o moją twarz. Zsunęła mi z bioder spodnie, ujęła czubek wielgachnego i chybcząc nim na boki, mościła go w swoim gorącym przedsionku. Pchnąłem i gwałtownie wypełniłem cienki, lecz śliski otwór. Pomogła mi ze wszystkich swych sił. Dociskała się do mnie uderzając piętami w pośladki. Walczyliśmy, jak zapaśnicy. Parokrotnie rzuciłem ją na matę. Rozłożyłem na łopatki. Zastygłem w geście zwycięzcy. Poddała się głośno stękając.

Leżałem w cudownym odrętwieniu trzymając głowę na jej piersiach, a dłoń między mokrymi udami, na które wypływał wciąż strumień mojej i jej wilgoci. Całując mnie delikatnie uwolniła się z objęć i powędrowała do łazienki.

– Prześmiesznie wyglądamy. W pośpiechu pogubiliśmy tylko galoty – powiedziała. Wróciła zupełnie już naga i mnie uwolniła ze swetra i koszuli.

– Od chwili, gdy byłam u ciebie na wsi, miałam orgazmy myśląc o tobie. Oblęd! Nie znoszę myśli, że trzymasz wciąż kogoś innego w ramionach. Wybierałam się i ja do ciebie jako klientka, ale nie pozwoliła mi na to ambicja – powiedziała z wyczuwalnym gniewem.

Te słowa przygasiły nieco we mnie rozognioną wyobraźnię. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego, ale było w nich coś uwłaczającego mojej osobie. Wydała mi się niesprawiedliwa, zaborcza, nienasycona i trochę odpychająca.

Zgarnęła do ręki jądra i drażniła mi palcem pupę. Czulem nad sobą jej ciepło. Pocieraliśmy się. Dotknąłem szklistego pęknięcia. Na wargach został jeszcze uprzedni smak naszych uniesień. Mój brzuch łaskotały mleczne grona. Wtulała wielgachnego między zroszone potem piersi.

Uznałem, że penis między kobiecymi wzgórkami, to wykwinna pieszczota.

Trochę się przynaglając rozchyłałem jej czerstwe pośladki. Drgnęła, jak uderzona prądem. Zmieniła konfigurację i nanizala się na wielgachnego, jak wtedy, i jak wtedy, wolno nań opadała. Wchłonęła. Ale ja nie czulem tej ogromnej euforii, tego rozkosznego przerażenia i oddania, jakie przeżyłem z nią w starej chacie. Nie opuszczając wielgachnego, obróciła się twarzą do mnie. Tkwilem. Odczekaliśmy.

Opuściłem nogi z kozetki. Nie opuszczając jej dziurki, posadziłem ją przed

sobą i znowu odgiąłem do tyłu. Ssałem lepkie piersi. Rozpłaszczyłem je pod sobą powtórny natarciem, przygwoździłem tyłeczek do kozetki. Szybkimi i gwałtownymi ruchami pompowałem do utraty tchu, aż nie panując nad sobą krzyczała. Właśnie skończyliśmy, gdy zastukano do drzwi.

– Pani doktor, wiadomość ze szpitala. Mąż pani...

Opuściłem zabiegówkę ze spuszczone głową. Tu naprawdę od ponad godziny nie było już dla mnie miejsca.

Za dużo dobrego

Dzień w dzień byłem obłożony pracą, a dosadniej klientkami. Salonik prosperował. Brakowało czasu na kawę. Masując mniej wymagające pacjentki zastanawiałem się, czego szukają właściwie u mnie te najbardziej wymagające. Były nimi młode eleganckie kobiety. Czyżby marginalny zawód masażysty nabrał wartości, a moje usługi, stały się potrzebne i nagminne, jak dentysty czy fryzjera?

Już w czasie pierwszego masażu, chciały iść na całość. Epidemia jakaś? Zabieg traktowały, jako wstępną grę miłosną. Rzecz prosta, nie mogłem się na to godzić. Nie tylko, dlatego, że nie byłem studnią bez dna. Nie miałem po prostu chęci. Wtedy wychodziły zawiedzione i urażone.

– Za takie pieniądze – mamrotały.

Te mi dobrej renomy nie robiły. Nie przejmowałem się. Wystarczały panie, z którymi się zgrałem. Stworzyły swoisty gang, giełdę, na której konkurowały sportowo między sobą o moje względy. Niektóre zdradziły się i stąd wiedziałem. Prosiły, bym potraktował je podobnie, jak ich przyjaciółkę.

Pytanie, „dlaczego” tak na mnie leciały pozostawało jednak bez odpowiedzi. Może nie tylko na mnie? Może to taki znak czasu? Wziąłem się jednak na odwagę i odpowiedziałem sam sobie.

„Lecą, bo nie stwarzasz żadnego zobowiązania, bo tutaj czują się bezkarne, bo stanowią namiastkę kochanka, bo jesteś bardzo sprawny w tych rzeczach, bo nie widzisz. O żadnych tam sentymentach nawet nie myśl chłopie” – upominałem sam siebie. „Nie łudź się. Nie dopisuj sobie niczego na plus”.

Gdy sobie wygarnąłem tę prostą prawdę, że jestem wyszkolonym masażystą – żigolakiem, facetem bez zahamowań moralnych, zwierzęcą maszyną, to a żem się ugiął pod własnoręcznie nałożonym na siebie ciężarem winy. Na moje szczęście ten stan rozterki duchowej minął wraz z rozpoczęciem pracy. Znowu wiedziałem, dlaczego to robię. Nie ma ceny, której bym nie był gotów zapłacić za odzyskany wzrok. A to, co robię, w niczym nie jest gorsze od pracy, takiego na przykład, domokrażcy.

Wróciłem, więc do rozważań o zapachu i dotyku, rozważań o wiele rozsądniejszych, bezpieczniejszych i zdrowszych dla mojej psychiki. Na tym gruncie czuję się zdecydowanie pewniej niż w dywagacjach moralnych.

Nieduża, zgrabna, jak lalka Barbie, zapowiedziana telefonicznie przez panienkę z kasy, jako pani Bożena J. rozsiewała zapach kosztownych perfum Initial. Jaśmin i miód z migdałów to są zapachy wiodące tej kwiatowej kompozycji.

Te jej proporcje, które wychwyciły bezbłędnie moje ręce. Piersiątko, bioderka, brzuszki, uda, ramiona. Wzniesienia – wzgórki twardych, krągłych piersi, które podtrzymuje ku górze sama natura. Ta depilacja czyniąca z ciała kaszmir. Poczuję niespokojne mrowienie.

Gdy się nad nią schyliłem pocałowała mnie w usta.

– Masz pozwolenie na wszystko – powiedziała.

Nie lubiłem tego typu awansów. Panienka należała do przeświadczonej, że nikt nie jest w stanie jej oprzeć, że każdy jest gotów na kiwniecie paluszkiem. Ja zaś do tych rwących się, jak mucha do gówna, już nie należałem. Miała szminkę o zapachu jaśminu i miodu z migdałów.

„Cóż za przemyślana kompozycja zapachowa” – odnotowałem, bo na zapach nigdy nie pozostałem obojętny.

Poruszała się, jak fryga. Z pleców na brzuch i na odwyrtkę. Ile można? Często przywierała piersiami do moich ust. Była równie ekspansywna, jak zapach jej perfum Initial.

Miałem nie raz okazję zastanowić się nad związkiem między osobowością klientek, a ich zapachem. Myślę głównie o naturalnym zapachu skóry, dołków pachowych, czy kobiecej wydzieliny na chwilę przed stosunkiem.

Zapachem sztucznym, z odcieniem naturalnego piżma, emanują osoby nieśmiałe, oczekujące od zespolenia czułości. Ostry, z domieszką azotu, sygnalizował mi osobę wyrafinowaną, wyzwoloną, oczekującą przeżyć ekstremalnych. Świeżą śmietanką pachniały mi panie puszyste, lubiące umiarkowaną przemoc. Spotykałem klientki, które ze szkodą dla siebie, drobiazgowo neutralizowały naturalny zapach własnego ciała, pozbawiając partnera ważnych doznań erotycznych, a co gorsza,

zastępujących własny wabik, nie zawsze szczęśliwą, ale najczęściej intensywną, wprost nie do zniesienia kompozycja perfum. Zgodzi się ze mną większość panów, że ewidentnie wystawiały się na niepowodzenie seksualne. Ale czy ja nie popełniam błędu czyniąc uwagi tonem seksuologa? Nigdy nie miałem ambicji napisać podręcznika dla adeptów chędogologii. Co mnie dzisiaj nagrało?

Tak sobie myślałem wędrując palcami po mojej kobiecie „Barbie”. Wędrowałem, więc między cudownie, idealnie rozstawionymi sutkami, mieszczącymi między sobą grzbiet mojej dłoni, krążyłem wokół niewyczuwalnego pępka, sunąłem w dół i w rozwidleniu ud trafiłem palcem w kokieteryjnie rozchyłoną, mokra bruzdkę. Cofnąłem się i po krągłości miednicy zjechałem dłonią do pośladków. Rzeczywiście były, jak u „Barbie” z gumy, twarde. Ani w nią palca wetknąć. Uciekałem z objętych już żarem miejsc. Znajdowałem inne. Rzuciła się niespokojnie i podkładała sobie piąstki pod pośladki, tak jakbym miał się nacieszyć wyłaniającym się zapewne z pomiędzy ud, dotąd ukrytym sekretem. Wszędzie towarzyszył mi bardzo intensywny zapach perfum z jaśminu i kremu o zapachu miodu z migdałów. Czy ona je piła? – strzeliło mi do głowy.

– Czy ruszam ciebie? – spytała gładząc mi delikatnie kark. – Przyjaciółka zdradziła mi twój sekret. Na myśl o tym omal nie eksploduję. Wszystko we mnie stwardniało i pręży się pod drażniącym dotykiem twoich palców. Czy posiadasz również właściwości bioterapeuty?

Uznałem tę gadkę za zwrot retoryczny, sygnalizujący prośbę, bym przeszedł do czynów bardziej konkretnych.

– Taka kobieta potrzebuje moich rąk? To cudo natury szuka zaspokojenia u mnie, faceta nie zdolnego wyrazić swego zachwytu oniemiałym spojrzeniem? Pokażcie mi takiego, który nie starałby się uchylić choćby rąbka tajemnicy jej ciała.

W ślad za napomknieniem, z rozmysłem położyła mi nogi na ramiona. Alabastrowymi, wyczelowanymi przez przyrodę udami, objęła głowę.

Dusiłem się. Jak z grzęzawiska, w nozdrza, do ust i gardła, wdzierał się zapach wspaniałych perfum Initial i kosmetyków z tej linii. Niemal wykaszlałem wnętrzości. Wszechpotężny zapach jaśminu i smak miodu z migdałów poraził

nieodwołalnie moją potencję. Wyrwałem głowę z namiętnego opłotu. Złapałem powietrze.

– Dlaczego? – była gorzko zawiedziona.

Zdecydowałem się.

– To wina wszechobecnych perfum. Mam uczulenie – skłamałem.

– Wyrównuję przypadłości – wystękała. – Narzeczony. On mi powiedział, że nieprzyjemnie pachnę – pożaliła się.

– Ubzdurałaś! – usłyszałem kobiecą żalność i stałem się bezbronny.

Zrzuciłem kitel i dres. Wziąłem ją na ręce i wleźliśmy pod prysznic.

Była przepłoszona i niepewna. Spływała po niej ciepła woda.

Teraz już bez obawy pocałowałem przepyszne piersi o delikatnym zapachu i smaku pobudzonej kobiecości. Pocałowałem kuszące usta tchnące delikatnym zapachem miodu.

Wróciła na stół. Wcisnąłem policzki między boskie, rozchylone uda, jak gdybym kładł głowę na rozgrzanym kobiercu, w egzotycznym ogrodzie.

Zamarła czując w sobie mój gwałtowny ruch.

Tego dnia miałem jakąś szczególną potrzebę rozważań, Naszła mnie refleksja, że gdybym w przyszłości chciał się podzielić moimi wspomnieniami z kimkolwiek, to zawsze będą one niekompletne. Bo też nie rozmawia się ze ślepych o kolorach. Wszak ta uwaga mnie właśnie dotyczyła. Nie miałem na przykład nigdy możliwość zobaczenia i obserwowania twarzy moich klientek. Byłem ograniczony do domysłów tego, co się wokół mnie działo. Nie ożywią moich opowieści erotycznych uwielbiane przeze mnie, rozkołysane kobiece winogrona, czerwone bruzdy przecinające czarne wąwozy miękkich włosów w krocach, Słowem zabraknie czerni, miedzi, beżu, szkarłatu, różu i oliwki – kolorów, które dodają powabu kobiecemu ciału – rozmyślałem popijając samotnie herbatę. Jednak nie pozostaję bezbronny. Posiadałem skarb niedostępny innym. Mam go pod powiekami. Mój skarb to ciepły, sugestywny wizerunek kobiet wyczarowanych rękami, zapisany w smaku i zapachu, w tym, co zasłyszałem. Sonia szturchała mnie nosem dopominając się o kolację.

Opowieść pani Agaty - trzecia

Tym razem pani Aga była milcząca. Uszanowałem tę odmianę nastroju. Coś przeżywała. Wzdychała. Chwilami był nieobecna, otulona jakimś nieprzenikalnym pancerzem. Udzielił mi się jej humor. Masowałem na modłę „panie ober, raz schabowy!”

– Jak on mi to mógł zrobić? – spytała pani Aga zapewne pozaziemskie istoty. – Wybaczyć można tylko starszym od siebie – dodała zapalając światełko w tunelu domyślności.

Tematu młodszych konkurentek nie brałiśmy. Dlaczego sądziła, że im wybaczyć nie można? Najrozsądniej było poczekać na rozwinięcie i ukonkretnienie tematu i zrećźnie podbechtać wyobraźnię pani Agi.

Tak właśnie zrobiłem ruszając z masażem tantryckim. Tantra to zaproszenie do wzajemnego obdarzania się masażem kobiety i mężczyzny niewymagająca jakichś szczególnych technik. Ważne byś dotykał świadomie i z uczuciem, byś się radował. Nastąpiły ze strony pani Agi szepty, mruczenie, westchnienia. Wprowadzała się w nastrój. Zezwalała i zachęcała. Masowałem łagodnie brzuch wokół pępka. Położyłem rozluźnione dłonie na kilka minut między linią włosów łonowych, a pępkiem otwierając druga czakrę: witalności, radości życia, pożądania. Pani Aga wyciągnęła się leniwie na stole z rozrzuconymi nogami.

Zdecydowała się na opowieść:

– Wróciłam z miasta i usłyszałam jakieś odgłosy w sypialni. Zajrzałam przez szczelinę w drzwiach i zamurowało mnie. Na moim leniwie spoczywającym na łóżku mężu, ze zrolowaną pod piersi bluzą, siedziała jakaś blondyna, młodzieżówka. On bawił się jej wystającymi piersiami. Nawet nie rozebrali się porządnie, tak się im spieszyło. Nie spostrzegli mnie. Majtki zaczepiły się jej o dużego palucha i powiewały, jak proporczyk ułana. Jedną ręką wspierała się o jego włochatą pierś, drugą gdzieś tam pod siebie naprowadzała sterczący organ. Gadała i jeździła, na nim coraz gwałtowniej, jak na koniu na biegunach. Mąż wcisnął jej ręce pod skórzaną bluzę, której zapachem się najwyraźniej podniecał, bo ją, co chwilę wachał. Poczynam

miętosił piersi i nie odzywał się do chwili, gdy zaczęła z niego wyskakiwać, by po chwili bezbłędnie nadziewać się na jego groźną lancę. Wtedy krzyczał, że ją przekłuje. Ona jeszcze wyżej podnosiła tyłek, mocniej uderzała w jego miednicę. Dopiero teraz odkryłam, że ma go w pupie. Nie sądziłam, że może być to widok, aż tak wulgarny – pani Agata zakrzuszyła się z emocji.

– Analna pozycja jeźdźca – starałem się jej nerwowość stonować. Mąż ma się czym wykazać, nie każdego na to stać. Sądziłem, że pani pozwala mężowi od czasu do czasu?

– Ze mną i przy mnie, nie z gówniarami, panie Adamie. Ostatnio się rozzuchwalił. Stary łobuz rozbierał mnie tylko z dołu do pasa i lubił krótkie, ostre numerki. Najlepiej w wucecie, na sedesie. Wreszcie się wyjaśniło, że chciało mu się „jeźdźca” analnego w ubiorze. Znalazł sobie do tego fetysz – młodzieżówkę w śmierdzącej kurtce. To oburzające. Mógł i mnie się kazać ubrać do połowy i też w skórę, jeśli go to kręci. Też bym potrafiła latać nad nim tyłkiem. Wielkie mecieje! Nie mogłam się temu dłużej przyglądać, tak mnie w środku ścisnęło. Cofnęłam się. Nicowali się na dobre. Domknęłam drzwi na, tyle, że mogłam ich słyszeć, lecz nie widzieć. Wstyd mi się przyznać, ale zrobiłam się mokra i pomogłam sobie w tym gniewie palcem w kroczu. Dziwka wołała:

– Hop! Hop! Hop! – Widocznie szczytowanie normalne wyszło z mody, a weszło nowe, leśne. – W dechę – powiedziała.

Mój mąż:

– Szkoda, że nie ma starszej. Byłaby jazda.

– Starszej, czy to pan rozumie, panie Adamie?

– Zadzwoń, staruszkule, to przyjdę raz jeszcze, kiedy indziej. Dzięki za podwiezienie – powiedziała rozebrana od pasa w dół ździra. Skończyli. Szybko się zwinęłam i wyszłam na dwór. Wróciłam, gdy jej nie było.

– Miałem gości – oświadczył mąż. – Podwozłem miłą parę autostopowiczów. Szkoda, że ich nie poznałaś. Przypadliby ci do gustu.

– Parę autostopowiczów! – wrzasnęłam mimo, że obiecałam sobie milczenie. – Widziałam cię tylko pod tą dziwką! Grzebałeś się w czekoladzie.

– Jej partner był zmęczony i wyszedł na ławkę do ogrodu. Nie krzycz! Nie jestem głuchy – powiedział. – Chcieli mi się wypłacić za grzeczność – rozłożył ręce.
– Nie wypadło zadzierać nosa. Mogą do nas wpaść na telewizję, albo możemy ich zabrać do chaty na wsi. Przecież lubisz odmianę.

– Zadzierać nosa?! Mylisz części ciała! Mówisz o odmianie? Wyhamowałam nagle uniesienie. – Czy przyjdą oboje? – zainteresowałam się. – Czy on jest w jej wieku?

Pani Aga zamilkła. Nie wiem. Może oczekiwała ode mnie zrozumienia, może potępienia małżonka, a może aprobaty dla swego zamysłu zemsty na mężu w postaci seksu z młodym w jego obecności?

Nie zdecydowałem się na współczucie, ani na uwagę, że z nią anal w pozycji jeźdźca, z racji pewnych anomalii fizycznych, głębokiej kieszeni, o której zdążyłem już wspomnieć, mógł się jej mężowi wydać po prostu nie wykonalny. Nieopatrznie dotknąłem jej piersi. Rozwichrzyła mi włosy na głowie, wpiła się palcami w szyję, staromodnie stęknęła i powiedziała: „o, Boże!” Mój zamiar, aby doprowadzić dzisiaj do końcowego rytualnego zespolenia w tantrycie, to znaczy ja, jak siedzący posażek Buddy, ona w kołysce moich ud, przytulona brzuchem i sutkami, spalił na panewce. Oczekiwała „jeźdźca”.

– To przebrzmiała figura – oznajmiłem jej tajemniczo.

Zaprowadziłem ją do pokoiku wypoczynkowego. Zdjąłem spodnie i położyłem się na wznak.

– Więc, jak?

– Ciekawiej i skuteczniej. Wzbogacimy doświadczenie o pozycję analnego jeźdźca odwrotnego. Na sposób azjatycki. Tego pani nauczy przy mężu i jego partnerce młodzieńca. Mąż spróbuje z panią w następnej kolejności. Będzie miał za swoje. Potrafi pani lepiej niż młodzieżówka.

Okręciłem zgrabnie panią Agę, sadzając ja plecami do siebie. Podniosłem ją nieco za biodra i posługując się wyuczona sztuczką, zręcznie przesunąłem wielgachnym między pośladkami do przodu i do tyłu. Zapadł się w nią od tyłu, nadziejąc pupę na pal. Mimo zwilżenia dał się we znaki, bo z trudem stłumiła

bolesny okrzyk i splecionymi dłońmi objęła się z tyłu za kark. Jednak się nie szamotała. W takiej pozie, jak pacynka na palcu, trwała zastygła przez sporą chwilę. Z bojaźliwą ostrożnością rozluźniła splot dłoni z tyłu głowy i zdecydowała się nachylić w kierunku moich kolan. Odchyleniem ciała regulowała niesamowite napięcie we wnętrzu. Widocznie doceniła techniczną innowację, bo ruchem już przemyślanym sięgnęła ręką od spodu między moje uda, aby od tej strony także móc pieścić wielgachnego i woreczek pod nim.

– Rewelacyjnie! – wykrztusiła, jakby się czymś zadławiła. Chwilę się jeszcze mościła.

Dałem jej parę klapsów, a ona rozpoczęła swoje wyczyny. Poczęła się ślizgać po drągu coraz szybciej, raz w górę, raz na dół. Z galopu przeszła w kłus. Zabrakło jej tchu. Upadła piersiami na moje kolana, jak pochylony w pędzie nad końskim grzbietem jeździec. Przez moment miałem niesamowitą myśl, że kopuluję z kłaczą. Dotykałem od tyłu jej lekko rozchelstanego kołnierzyka. Wielgachny wciąż tam tkwił, zżymał się i ślinił.

– A, co sądzić o mężu? – zdumiała i zaskoczyła mnie tym pytaniem, nie mniej, niż gdybym ujrzał jej męża stojącego właśnie nade mną.

– Że „młodzieżówkę” przecenił, o czym może go pani przekonać.

Takiej mnie nie znasz

Zapach perfum potwierdzał obecności mojej chlebodawczyni, pani H.H. Użyła wieczorowych perfum Angel Star. Była we własnej osobie

– Angel Star.

Potwierdziła kłaśnięciem w dłonie

– Miałam trochę luzu, więc wpadłam.

– Miło. Kawy?

– Kawę też. Stawiam świetny koniak. Pewno marzysz Adamie, żeby ze mną wypić?

– Nie trudno zgadnąć. Widać to po mnie – podchwyciłem jej kpiarski ton.

Zapachniało kawą i koniakiem.

Właściwie w interesie ruch się już skończył i nie oczekiwałem nikogo. Pani H.H. wiedziała kiedy przyjść, by nie narażać saloniku na niepotrzebne straty.

– Czy mogę ci się powierzać? Zapewnij, że nie stracę na niczym w twoich oczach.

– Brzmi zagadkowo – odparłem. „Czy może to mieć coś wspólnego z narkotykami – pomyślałem.– Bzdura!”

– Mam chęć na szczerość. Ale tylko przed tobą. Ty mnie zrozumiesz. Kobieta czasem musi uchyli rąbka swojej tajemnicy przed kimś.

Podawała mi kieliszek koniaku.

– Dzięki za zaufanie. Nie wydaję tajemnic przyjaciół.

Trąciła się kieliszkiem.

– Trochę kluczę.

Po alkoholu musiałem mieć błogi wyraz twarzy.

– Kpij sobie ze mnie. Kpij. W interesach jestem apodyktyczna, w amorach, przeciwnie. Zimno i gorąco. Jest nas, takich kobiet, sporo. W zunifikowanym świecie szukamy zaspokojenia atawistycznych potrzeb. Czuję w tobie partnera w seksie, „frend boya”. Czy masz czasem chęć na przemoc?

Trochę mnie to mędrkowanie znudziło.

– Lubi pani mocne wrażenia. Czy o to chodzi?

– Genialnie! Prosto – przyznała. – Czy wiesz, że błaganie podnieca?

Brutalność też? Przerazenie i bezradność może wywołać ekstazę. Czytałam, że angielską Elżbietę roznamiętniała dokonywana egzekucja. Katarzynę Wielką, kastracja ogiera.

Tak, więc znaleźliśmy się w objęciach historii. Na szczęście nie przywołała z pod miecza Marii Stuart i nie stwierdziła, że na widok ostrego brzeszczotu miała ona orgazm.

– Bo widzisz. – Znowu podała mi kieliszek. – Czasem potrzeba mi bardzo silnych męskich rąk, a czasem – zawahała się – pieszczoty kobiecej.

„Więc to tak, siostrzynie?!” – skomentowałem w myślach.

– Czy masz jeszcze dzisiaj kogoś na liście, Adamie?

– Już nie!

– Czy zrobisz wyjątek?

– Dysponuj! Jakaś epidemia z tym przechodzeniem na „ty”.

– Wreszcie. Pozwolisz mi zapomnieć, że jestem od ciebie o piętnaście lat starsza. Tyle tylko, że to ty mną dysponuj. Dzisiaj chcę być „suczka”. Ostatnie słowo wymówiła wolno i dobitnie.

– Przy tobie zapominam języka w gębie.

– Tere fere. Jesteś urodzonym sadystą. Dałeś się poznać za pierwszym razem.

Wolałam doprawdy nie prowokować. Nie powstrzymał cię dzielący nas dystans. Pastwiłeś się nade mną. Do dziś na wspomnienie dostaję gęsiej skorki. W tym tkwi twoje ogromne wzięcie u bab. Często nie zdają sobie sprawy, że właśnie tego im brakowało. Wobec mnie starasz się niepotrzebnie trzymać się na wodzy. Tak w ogóle, kobiety masz za nic.

– Bzdury jakieś opowiada – stwierdziłem na własny użytek. Była chyba rzeczywiście inna, niż ta, za jaką ją dotychczas brałem. Czy podniecał ją gwałt i przemoc? Czy oczekiwała tego ode mnie? Zełgałbym twierdząc, że nie przeszedł mnie dreszcz emocji.

– Trochę mnie znasz. Dobrze mnie znasz – poprawiła się. Masz tę przewagę.

Przyznasz, że damsko jestem nieźle wyposażona w walory. Niech ja pofantazjuję o tobie. Figlarny. Duzi mają niewielkie, figlarne. Twardy, jak sztylet, ostry, jak sztylet. Dwie twarde gorące bile. Owłosiona klata, muskularny brzuch. Baba musi się przed tobą korzyć, piszczeć, dziękować. Ty lubisz ją stłamsić, aż pachnie, jak mokra kura – nakręcała się własnymi wypowiedzianymi coraz szybciej słowami.

– Idź pod prysznic! – nie była zabawna.

– Czy mogę liczyć na twoją bezceremonialność i bezwzględność? – jątrzyła Halszka.

– Wyłącznie – odparłem czując, że nie zamierzam gładzić jej włosów, ani pieścić rączki. Będzie miała, czego chciała. Postanowiłem jej dać nauczkę

Pod prysznicem Halszka przykleiła się do mnie. Objęła pieścizotliwie dłonią wielgachnego i osunęła się przede mną na kolana. W kompletnej ciszy dochodziła do siebie.

– Pogański bożku! – wykrztusiła.

Podniosłem ją z kolan i przycisnąłem do porcelanowej, ściennej wykładziny.

Wężowym ruchem objęła mnie udami w biodrach i czyniąc niewielkie przerwy, nawlekła się na wielgachnego. Była mokra, ciepła, sprośna, uległa i zarośnięta. Napomknąłem już kiedyś, gdy ją po raz pierwszy masowałem, Halszka była bez cienia zarostu, co mi się wydało wówczas nadnaturalne, dziko, podniecające. Brak włosów na wzgórku łonowy i między udami sprawia, że wszystko wydaje się większe, wydatniejsze. Z upływem czasu jednoznacznie przedłożyłem zarost, tym rajcowniejszy, im gęstszy i twardszy. Golizna, stała się wyróżnikiem czegoś niedojrzałego i bezbronnego.

– Oho? – zdziwiłem się.

– Czy wolisz mnie, jak niemowlę dla pedofilów?

– Nie! – zaprzeczyłem przemierzając już wielgachnym jej kurczliwą pochwę.

– Wróciłam do źródeł. Robiłam to przedtem dla niego, ale to kabotyn i gej. Tak czuję się bardziej seksowna. Mam mnóstwo hormonów, bo włosy mi rosną nawet wokół sutek. Stamtąd je oczywiście usuwam. Kutasem walisz mnie właśnie pod pępek ogierze – skonstatowała. Ugniatając sprężyste pośladki, niosłem ją przed sobą i

siadłem na klapie sedesu. Pełną gębą ssałem jej sutek, brodawką drugiego bawiłem się palcami.

– Zezresz mnie – była rozgorączkowana. – Jaka słodka tortura.

– Wybaczcie mi, jeśli nadużyłem waszej cierpliwości z tymi sutkami, śliskimi lub chropowatymi, pesteczkami lub śliwkami, ascetycznymi lub sprośnymi, cycami lub cychami, baniami lub balonami, buforami lub zderzakami, nabitymi albo wręcz przeciwnie, jeśli zbyt często pojawiają się w moich wspomnieniach. Dla mnie, gdybym to pominął, to jakbym mówił o spożywaniu śniadania i nie wspomniał o chlebie. Jedyna nadzieja na przyszłość, aby tego uniknąć, to nie śniadać. A takiej ascezy, znając was, nie zażądacie ode mnie. Siedząc tak na tronie, kazałem jej przełożyć nad moją schyloną głowę, lewą, potem prawą nogę i na wbitym już bolcu, obróciłem do siebie plecami. Gryzłem kark i plecy.

Zepchnąłem Halszkę w dół, piersiami na moje kolana i łydki. Rękami oparła się o podłogę. Nogami, by się nie zsunąć całkiem na ziemię, musiała się mocno trzymać moich bioder. Była bezradna i zdana na wszystko, co przyszlaby mi do głowy z nią wyczyniać. Na szczęście dla niej, poskromiłem nieco fantazję. Upokarzająca pozycja i sąsiedztwo kanalizacyjnej armatury podniecało ją. Palcem rozwierałem i wdzierałem się w jej pupę. Dźwigała już w sobie brzemię, sprasowanego, przeszywającego jej wewnątrz wielgachnego. Takiej konfiguracji pieszczotą bym nie nazywał. Każde drgnienie więzionego wielgusa wsparte uciskiem palca w pupie musiało być bolesne, ale spełniało jej ekstremalne oczekiwania. Palec, po przewierceniu koniecznego wlotu, postanowiłem zastąpić wibratorem Rwała się, jak szczupak na błyszczku. Tarła twardymi obłóściami o moje kolana. Nie mogłem jej widzieć(no właśnie!). Słuch miałem natomiast, jak echo sondę. Dochodziły mnie dźwięki zarówno z jej ust, jak i z penetrowanego wnętrza. Węch wilczy przynosił nęcące zapachy wabiącej samicy.

– Włożę ci wyżej trójeczkę? – zaproponowałem przymilnie.

– Nie torturuj! Nie mam rozjeżdżonej, jak gej.

– Wytrzymasz. Licz na moją bezwzględność – zapewniłem.

– Zlituj się! Nie mogę się bronić.

– Któż ci karze? Ulegnij!

Zaszumił wibrator. Bezradna zastygła w bezruchu oczekując natarcia na balkonowe wejście. Kret nie bez oporu pogrążył się w jej ciele. Krzyczała i plaskała coraz silniej dłońmi o kafelki podłogi.

– Proszę, dosyć, odpuść! – wrywała się, jak zwierzę z sideł.

Obejmowała mi rękami nogi.

W odpowiedzi drażyłem głębiej.

Podniosłem się, bo mi ścierpły nogi. Schylony stanąłem za nią. Wykorzystała zmianę pozycji i rozpoczęła ucieczkę, początkowo na dwóch rękach, a ja szedłem za nią, jakbym prowadził taczkę, po chwili, gdy za nią ukląknęłam, gnała na czworakach, do saloniku. Darmo się wymykała. Trzymałem ją w biodrach. Jechałem, jak cap na kozie, i nie zamierzałem niczego z niej wyjąć. Czym by się to skończyło, gdybyśmy się nie zaplątali pod stół masażowy? Dźwignęła się czepiając się rękami brzegu stołu, przywarła do niego drgającym brzuchem i miednicę. Wibrator z niej wypadł przy akompaniamencie wydobywających się z jej wnętrza odrażających dźwięków. Z nieprawdopodobnie głośnym hurchotem gnał po podłodze.

Uniosłem się wraz z nią. Chwyciłem boleśnie od tyłu piersi. Zmusiłem do zupełnej uległości wobec moich dalszych zamiarów. Umocniłem w niej swoją pozycję. Wtłoczyłem wielgachnego między wilgotne, wywinięte nabłonki, rozdzielające włosy w kroczu, do gruntu.

Dźgałem ją.

Wchłonęła, jak meduza. Oblekła gładkimi mięśniami bez pola manewru. Sięgnęła ręką i podała mi ze skrytki w stole bacik. Smagałem ostro wedle zapewnień. Odwróciła głowę do tyłu i chrapała. Wykonałem kilka głębokich, wahadłowych ruchów.

Znieruchomiała. Upadła brzuchem na stół. Jak wisielec kopała powietrze nogami. Właściwie mógłbym na tej końcowej odsłonie poprzestać, uznać za sukces dzisiejszą grę.

– Czy nie chciałbyś się związać na trochę dłużej ze mną? – moja pryncypałka

zmieniła mnie w słup soli. – Potrzebny ci odpoczynek przed wyjazdem do Szwajcarii. Ja ci go zapewnię. Potem zrobisz, co uznasz za stosowne.

Wybieg zastosowany wobec żony dostojnika sejmowego wydałby się jej zapewne śmiechu wartą, obrażającą komedią. Postawiłem, więc na męską dumę.

– Dzięki tobie uwierzyłem we własne siły. Nie chciałbym tego przekonania stracić.

Otarła się o mnie i musnęła ustami moje usta.

– Tak też myślałam! – powiedziała i pobiegła do łazienki.

Zwierzenie pedagoga

Radiowa Trójka jest moim nieodłącznym przyjacielem. Twórców programu znam z imienia i nazwiska. Zapewniam, że bez nich było by mi na tym świecie nie do zniesienia. Słucham i czuje się jak w wielkiej rodzinie. Ostatnio jednak zbyt narzekają na młodych, a zwłaszcza tych w szkole. Ja sobie podobnych faktów ze szkoły nie przypominam. Który by tam śmiał odszczeknąć się profesorowi, albo ośmieszyć profesorkę. Nie wchodziło w rachubę.

Ciało pedagogiczne trzymało dystans, nie spoufalalo się. Tylko czasem, zupełnie cichutko i całkiem poufnie wymienialiśmy w swoim gronie na ich temat jakieś uwagi. Fizyk zrobił matematycznie brzucha – byli małżeństwem. Biolog rznął wczoraj Kaśkę od dentysty. Nie zasłonili okna i wszystko podziwialiśmy dosłownie w biały dzień, przez szpary ze strychu u Wojtka. Najpierw się śmiesznie ganiali wokół stołu. On w tę, ona wewtę... Aż ją dorwał, rzucił na wyrko. Śmieszne to było i głupie. Będzie wesele.

Przychodzą do mnie różne panie „psorki”, stąd wiem, że wyróżniają się często wśród uczniów tylko wiekiem. Miniówa, więc widok za kolana, cycki bez stanika, totumfackie potrącanie łokciem, rozmowa z dziewczętami o błyszczku do ust, o kondomie. Nie kryją się z tym. Czy to jest źle, czy dobrze? Czy wszystkiemu winna jedynie ta rozbrykana „banda”, jak ją piętnują w radiu?

Panią magister Joannę znałem z niezwykle wybujałej fantazji seksualnej, przy której trudno o bezdzietność. Nie wiem, co sądziła o zaletach wychowawczych zajęć wu-efu, za które była odpowiedzialna w swojej szkole, bo się tym najwyraźniej nie pasjonowała. Wiem natomiast o jej rozległych wiadomościach z zakresu techniki seks szopowej. Dzięki niej byłem i ja w tych sprawach na bieżąco. Wciąż eksperymentowała. Do chwili, gdy rozpętano nagonkę przeciw rozbisurmanieniu młodzieży, jakoś specjalnie mnie fantazja erotyczna tej „psorki”, ani jej podobnych, nie intrygowała. Ale w jakimś momencie zacząłem się jej „przyglądać” z uwagą.

Miała ze sobą własny wibrator. Dwustronny, dla układu Bi. Czasem, gdy podczas masażu, wypadały z niej kulki do erotycznych zabaw, nie upierała się, że to

wina zanieczyszczonych basenów pływackich. Nie zarzekała się, że się to więcej nie powtórzy, a nawet mnie namawiała, bym czasem w niej coś zostawił, bo lubi, jak ją uwiera. Nie można mieć ludziom wszystkiego za złe!

Jeśli nie zadawałem jej bólu w trakcie masażu, miętoszyła sobie ostro piersi. Kazała się wiązać rzemionnymi uchwytami i masować twardym, gumowym językiem. W czasie rzadkich zajęć nadprogramowych dopingowała mnie do czynów karalnych.

– Rwij ją za cyc! Wal w dupsko! – judziła na siebie.

Można by o tym długo. Po przeżytych uniesieniu kajała się, płaszczyła, że niby ją poniosło, że była wulgarna.

Włożyła ręce w rzemienne uchwyty.

– Tak dobrze się czuję – powtórzyła znaną mi śpiewkę. – Zwiąż mi nogi.

– Musisz zmienić masażystę. Ustaliliśmy, że tego ci więcej nie zrobię. Są amatorzy takich spektakli.

– Błagam! Ciebie się nie boję. Ufam ci. Nikomu innemu nie dam się związać. A bez tego już nie potrafię.

– Nie wierzę. Przekraczasz umowne konwenanse. To nie jest zabawa w masochizm, lecz masochizm. Jesteś chora.

– Jestem. Po tym, co mi zrobiono. Może zrozumiesz.

Nie napierałem z zasady na żadne opowieści, zwłaszcza na miłą pachnącą potrzebą usprawiedliwienia się. Ustąpiłem. Wtedy opowiedziała mi, co ją spotkało, a ja mimo współczucia, sądziłem, że stało się to na jej własne życzenie. Masowałem wytatuowane plecy i pośladki.

– Marek miał lat szesnaście i tytuł krajowego mistrza juniorów w pływaniu motylkiem. W nauce za mistrza nie uchodził. Byłam nauczycielką wu-efu i wychowawczynią w jego klasie. Doszkalaliśmy uczniów gimnazjum przed liceum, na obozie, na Mazurach. Ja zapewniałam im relaks i starałam się być z nimi za pan brat.

– Błąd – przerwałem. – Belfer jest zawsze obcy.

– Zaufałam pedagogice nowoczesnej.

– Cieplarniany chów.

– Zapewne. Na obozie, jak to na wczasach. Czulili się i migdalili.

Przesiadali u siebie w nocy. Czy nauczyciele z tego powodu mieli zaciągnąć warty? A może wzywać policję?

– W mojej szkole...

– Chcesz twierdzić, że nie dorwałś panienki?

– Nie! To wtedy była szansa, jak jeden do tysiąca.

– Co było, a nie jest... Podobnie działo się wśród pedagogów. Wszystko młodziaki. Starych przezornie na obozy nie zabrano. Sfrustrowana robiłam za singla. Mąż jechał i nie dojechał. Rozumiesz, „słomiany wdowiec”.

Nie szczędziłem jej skóry na plecach. Kantem dłoni biczowałem pośladki. Syczała.

– Mocniej! Pozwól mi się położyć na plecy. Jeżykiem.

Jeżyka z gumy używałem wyjątkowo, na wyraźne życzenie, do masażu pleców i bioder. Brzuch i uda nie poddawałem temu bolesnemu zabiegowi. Poza wszystkim groził pozostawieniem rozstępów na skórze.

Uwolniłem ją z więzów, by się mogła odwrócić. Zacisnąłem rzemienne uchwyty.

– Za ręce trzymały mnie dziewczyny – wróciła do zwierzeń. – Nie pomogło, że wierzgałam i na nie plułam. Tyle, że mi wsadziły na początek coś bolesnego w krocze. – Jeszcze ci nie dosyć? – krzyczały.

– Niejasne. Dziewczyny?

Ożywiła się.

– Zrób mi magiel. Cycki się proszą. Muszę się wyżyć.

Zrobiłem jej to, co normalnie jest zagrożone paragrafem o działaniu ze szczególnym okrucieństwem. Jeździłem pięciu centymetrowymi kolcami z lanej gumy bez znieczulenia po brzuchu. Rzemienie w takich razach są niezbędne. Masowana delikwentka, bowiem zazwyczaj próbuje uciec ze stołu. Załapała oddech.

– Urządziłam rozgrywki siatkówki. Nasi contra ci ze wsi. Dziewczeta contra chłopcy. Normalka. Marek pożerał mnie wzrokiem. W siatkówce cyce, dla poniekórych stanowią szczególną atrakcję. Umiałam je demonstrować, i wiesz sam,

że mam, co.

Mogłem zaświadczyć, że miała. Po ekstremalnych pieszczotach, gładziłem jej piersi, jak główki grzecznych dzieci.

– Gdybyś mógł mnie przed chwilą widzieć. Tracisz. Też by cię wzięło. Oczy wychodziły mi z orbit. Dajesz popalić – powiedziała w tak zwanym międzyczasie i zamyśliła się. Wróciła do wspomnień z obozu.

– Chłopcy wymieniali spojrzenia, a mnie to podniecało.

Zlekceważyłam nienawistne spojrzenia dziewczyn.

– Więc je sprowokowałaś. Czy Marek miał swoją dziewczynę?

– Nie da się ukryć, że miał. W nocy przez niedomknięte okno usłyszałam jego głos z dworu.

– Pani profesor, chodźmy się kąpać!

– Wskoczyłam z łóżka goła. Marek nie odwrócił wzroku i przyglądał mi się w jasnej poświacie księżyca. Włożyłam kostium. Pobiegliśmy nad brzeg jeziora.

– W nocy kąpiemy się nago. Wskoczył z kąpielówek, zobaczyłam jego gotową męskość.

– A jeśli ktoś przyjdzie?

– Nie przyjdzie. Piecuchy. Za zimno. Zresztą wtedy odpłyniemy w bok i wrócimy.

Zrzuciłam kostium i skoczyłam za nim, trzymając pewien dystans. Niemal uwierzyłam, że nagość w wodzie, to radość sama w sobie. Jednak zbliżyliśmy się. Milczeliśmy, bo echo niosło rozmowy po całym jeziorze. Podpłynął do mnie i huściliśmy się niezdecydowanie naprzeciw siebie. Drobne fale muskały jego owłosione piersi i ramiona, załamywały odbłask nocnej, świetlistej kuli na niebie. Wolno przesunęliśmy się w kierunku brzegu, aż poczułam pod nogami grunt. Markowi woda sięgała ramion, mnie po szyję. Wiatr wzmógł fale i w odpływach odsłaniał mu pierś i brzuch pokryty czarnym zarostem. Byłam tym widokiem tak pochłonięta, że zapomniałam, że sama stoję oto przecież przed nim naga niemal do pasa.

– Nie jestem już dzieckiem – zadeklarował się. – Miałem nie jedną. Lecą na

mnie.

– Zauważyłam. Fajnie! – powiedziałam to trochę bez sensu.

– Piękne ciało! – parsknął wodą. – Twoje. Na myśl o tobie, ciągle mi stoi.

– Szedł ostrym kursem. Podniecił mnie do żywego. Przysiadł i dotknął pod wodą ustami mego łona. Byłam gotowa na wszystko.

– Chodźmy na pomost – powiedziałam.

Zbliżył się i fala rzuciła nas ku sobie. W zimnej wodzie czułam twardego członka na udach. Dotykaliśmy się. Przyciągnął mnie. Nie wierzyłam w taką możliwość, ale oplotłam go nogami w biodrach. Wtargnął bez trudu, a wraz z nim woda. Doznałam cudownego uczucia. Bąbelkowała woda. Trysnął i był ogromnie zawstydzony.

– Dobrze, że nie miałam orgazmu – uspokoiłam go. – Mogła być ciąża. Chodź na pomost. Mam prezerwatywę.

– Dotknęłam jego ślicznego instrumentu, który znowu skamieniał. Wzięłam go głęboko do ust. Mój kochanek dygotał, więc się przestraszyłam, że zostanę osamotniona. Naciągnęłam mu prezerwatywę. Objęłam garścią i wprowadziłam sobie to cudo w szparkę. Dosiadłam go.

– Jesteś dobra. A ja? – spytał w istic sportowym stylu.

– Musiałam mu zatykać rękami usta, bo krzyczał. I gdy sama połykałam okrzyki rozkoszy, za plecami ktoś się histerycznie zaśmiał.

Po chwili zaczął się skandalizujący lament.

– Zerwałam się i naga minęłam się z dziewczyną, zapewne Marka. Dalej chwyciły mnie czyjeś męskie ręce i obaliły na trawę. Włożył mi kolano między uda i bił po twarzy. Chwyciłam go i mocno ścisnęłam. Przerażliwie ryknął i wypuścił mnie z rąk. Ale chwyciły mnie dziewczyny.

– Pejcz! – przerwała opowiadanie. – Jestem cała mokra człowieku! Wygoń ze mnie złego!

Gdy ją zaspokoilem wibratorem zachowując pozory barbarzyńcy, leżała długą chwilę bez ruchu.

– Za ręce trzymały mnie trzy uczennice. Dopingowały wyrostków ze wsi i

moich uczniów. Zrozumiałam, że oboje z Markiem padliśmy ofiara podstępny i zemsty.

– Chłopcy wyjęli mi z pochwy dużego ogórka, który wcisnęły mi na początku dziewczyny. Gwałcili po kolei. Przy drugim przeżyłam ekstazę. Potem z każdym następnym.

– Niezła zawodniczka – oświadczył ostatni. – Chciała mi urwać.

– Jeśli naszczekasz suko, będziemy świadczyły przeciwko tobie – zapowiedziały dziewczęta. – Dogodzili ci?

– Pobiegłam do pokoju. Chwyciłam walizkę i znalazłam się na stacji kolejowej. To był ukartowany gwałt. Dlatego skandal zażegnano. Ja byłam w ciąży. Dzieciaki zrobiły mi dziecko Rozstałam się ze szkołą i mężem. Urodziłam Kasię. Pozostał we mnie apetyt na gwałt.

– Walnij mnie w pupę! – krzyknęła podniecona do ostateczności własnymi wspomnieniami. – Będę miała natychmiast dosyć! Innej po gwałcie potrzebny psycholog, terapia, Bóg wie co? Jej jurny byczek – przebiegło mi przez myśl. Było mi z nią sprośne i brutalne. Nie używałam oliwki, bo zatraciłby się wówczas charakter gwałtu, na który leciała. A zapomniałem zaznaczyć, że była nadzwyczaj wąska.

Bez blichtru

Deszcz lał jak z cebra. Z mojej winy Saba skaleczyła sobie łapę. Szarpnąłem za smycz, by przejść szybciej przez ulice. Pies stawiał opór. Uratował mnie przed kraksą z samochodem. Zapiszczały hamulce. Zapiszczał przeraźliwie pies.

– Czy pan zwariował? – usłyszałem rzeczowe pytanie. – Na czerwonych światłach? – pytała dalej niewiasta. – I psa pan pociągnął. Łapę wsadził w studzienkę ściekową. Kuleje.

– Głupio mi. Pośpiech. Powinienem być w pracy.

– Podwiozę pana.

– Dzięki. To naprzeciw.

– W saloniku?

– Tak.

– No to ja też do pana.

– Pospiesz się – usłyszałem inny głos kobiety. – Nie możesz stać i rozmawiać pod światłami.

– To mama – powiedziała pani Ilona.

Pani Ilona szykowała się do wyborów Miss Stolicy.

– Polecono mi pana. Przyjdę parokrotnie. Muszę stracić trochę w biodrach, pozbyć się sztuczności i zyskać na gracji w ruchach. Pomyślałam, że masaż...

– Nie wiem, czy spełnię oczekiwania...

Wyczułem w pani Ilonie jakąś pretensjonalną sztuczność. W saloniku zachowywała się, tak, jak zachowywałem się swego czasu ja, gdy mi przyszło grać rolę archanioła w kościelnym widowisku Bożonarodzeniowym.

– Czy mam być ganz naga? Nogi hoch? I żadnej hard core!

– Szczyptę jaśniej proszę pani. Chodzi o głęboki relaks?

– Tak.

– Więc może Shiatsu.

– Co to?

– Ucisk palca. Zrównoważymy Ki. – Ki?

- Ki-Jitsu. Obszary ciała z nadmiarem energii Ki. Ki- Kyo, z niedostatkim Ki.
- Pan to będzie wiedział?
- Z pani pomocą.
- Jaką?
- Proszę zaufać.
- Tak się mówi w naszej branży.
- Naszej?
- Uważasz się za lepszego?
- A niby, od czego? Pracuję rzetelnie.
- Jedno drugiego nie wyklucza. Ja też pracuje rzetelnie. Zaufać, to pozwolić

na wszystko? Takie zaufanie okazuję swoim pracodawcom tylko za pieniądze. Na podobnym materacu.

– Kurka wodna! Niejasne.

– Właśnie?

Nie dociekałem. Nie, to nie.

– Spróbuję.

– Proszę zachować bieliznę. Zgodnie z tradycją rozwinąłem materac na podłodze. Shiatsu to kontakt fizyczny w obie strony. Skuteczny, gdy będzie pani intuicyjnie współdziałała.

Najlepsze shiatsu są ciche, obywające się paru słowami. Siadłem na krześle i postarałem się skupić. Siłą wizualizacji przywołałem szczygła, który mi siadł na rękę i nie uciekał. Skoncentrowałem się na tym, co dzieje się „tu i teraz.” Ukląknę przy niej. Odwróciłem ją twarzą na dół. Położyłem miękko na ciele zetknięte ze sobą kciukami dłonie. Ciało nie wymagało komplementów. Uciskałem duże powierzchnie pleców i pośladki. Opierając się o ciało pani Ilony. Zamierałem na chwile w bezruchu. Odchylałem się do tyłu, przesuwałem dłonie nieco dalej, zgodnie z kształtem jej ciała. Silnie napierałem ciężarem własnego ciała, uciskałem kciukiem wybrane fragmenty mięśni. Lokalizowałem obszary Jitsu twarde i napięte.

– Oj! Boli – jęczała.

Zastosowałem ucisk łokciem. Oparłem się o nią wewnętrzną stroną

przedramienia. Łokciem naduszałem, jak dźwignią. Wiła się.

– Jesteście jednacy. Kochacie zadawać ból – wycedziła przez zęby. Przestałem.

– Jak dobrze – westchnęła. – Jak dobrze! Nie przejmuj się mną. Już dobrze.

Hara, brzuch, uważany za siedzibę Ki. Ukląłem przodem do pani Ilony.

Dotknąłem brzucha na szerokość trzech palców poniżej pępka. Drugą rękę położyłem na szczycie jej uda. Ugniatałem udo aż do kolana. Zbliżałem się do pachwiny.

– Czy to konieczne? – szepnęła

– Co?

– Żebyś gmerał? Nie chcę.

– Nie zamierzam.

Dłoń spoczywała na Hara. Drugą na jednym z kolan. Zgiętą nogę oparłem o swój bok i pchnąłem ją ku górze, w kierunku brzucha. Masowałem koniec fałdki w zgięciu kolana. Masaż dobiegał końca. Położyłem delikatnie dłoń na Hara.

– Skończone. Proszę odpocząć.

Napiłem się herbaty. Zostałem ją tak, jak zostawiłem.

– Jest mi dobrze. Wyrównam za zmitrężony czas.

– Nie chcę. Wyjaśnij, co znaczy hard core?

– Jak ty się uchowałeś? Hard core, jak daję przed kamerą.

– Dajesz się wtedy filmować, tak?

– Tak. Robiłam to z narzeczonym. Powiedzieli, że jest nienaturalny. „Zdzira”

– rzekł mi wtedy narzeczony. – Teraz pracuję w Niemczech. Tam nikt nie żąda dla mnie egzorcysty. Stosunek to sprawa potrzeby fizjologicznej. Zarobię, to rzucę. Może mi się uda coś z wyborem miss. Wtedy pójdę do reklamy.

– Masz marmur, nie ciało.

– Wołają na mnie „milutka”. Że niby jadłabym seks łyżkami. Jak mnie palują zastanawiam się, kiedy pójdę na fitness. Ot, co! Na szczęście nie stanęłam do bicia rekordu.

– Jakiego?

– Ilu zdołam zaliczyć. Zwycięzcy zaliczyła przez dzień sześciuset. Po takim występie pozostaje już tylko pissing.

- A mężczyźni. No wiesz. Co robią, że wiecznie są napaleni?
- Wywiad robisz, czy co?
- Sama zaczęłaś.
- Różnie. Biorą Viagrę. Czasem strzyka się pianą do golenia w aerozolu.

Najlepiej tryskają czarni.

- Nie masz uprzedzeń?
- Nie te, o których myślisz.
- Obyczaję, traktowanie kobiet.
- Śmieszny. Nie gorzej niż biali. Zbyt dosłownie jednak traktują powinność.

Korzystają, że rzną białe. A i te walory.

- Duży walor to źle?
- W pracy źle. Prywatnie, nie miałam szczęścia.

Podniosła się i zaczęła ubierać.

- Świetnie. W Niemczech zrobiłby pan karierę – wróciła do „pan”.

Wpadka

W budce telefonicznej nikogo już nie było. Inspektor Koźlak rozejrzył się dookoła. Na wszelki wypadek zdjął odciski palców ze słuchawki. Prawdę mówiąc, zrobił to tylko dla czystego sumienia. Po raz któryś spóźnił się. Na pętli tramwajowej czekało parę osób. Do przystanku zbliżał się niewidomy mężczyzna w czarnych okularach z psem. Inspektor wracał do samochodu, gdy nagle zawrócił i szybkim krokiem poszedł na przystanek.

– Niewidomy z psem. Po pierwsze, mówiła o tym pani motornicza. Po drugie, ostatnio, gdy się spóźnił, też w kierunku tramwaju podążał niewidomy z psem.

Inspektor siadł na ławeczce nieopodal.

– Kawał chłopca – ocenił. Wysoki blondyn. Taki mógł się podobać. Na skroni duża blizna. Wypadek. Ręce, wypielegnowane, rozrośnięte bary. Gdyby nie kalectwo, mógłby być kulturystą. Inspektor wciągnął z kieszeni zapalniczkę służącą za mini kamerę. Jakiś facet pomógł niewidomemu wsiąść do tramwaju.

– Bardzo dziękuję – powiedział tamten. Inspektor dobrze znał ten głos z telefonu.

Znalazł, kogo szukał. Ruszył samochodem za tramwajem. Odprowadził niewidomego do klatki schodowej i zanotował numer mieszkania. W dwie godziny potem znał już dane personalne Adama Tobuza. Wiedział, że jest masażystą, co wyjaśniało wszelkie pytania i wątpliwości..

– Proszę o założenie podsłuchu i monitoringu w klubie „Primera” – zameldował nadinspektorowi Koźlak.

– Zwrócę się z tym do sędziego rano – zgodził się zwierzchnik.

W nocy do klubu Fitness przyjechało pogotowie elektryczne. Inspektor Koźlak na własną rękę zainstalował podsłuch i kamerę obok głośników w suficie saloniku. Rano otrzymał oficjalną zgodę sędziego.

Tego dnia zdobył pierwsze nagranie klientki penetrującej szufladę sekretrety W parę dni później, celnicy zasadzili się na granicy. W Zgorzelcu pojawiła się pod zupełnie innym nazwiskiem zidentyfikowana w saloniku klientka. Zatrzymała się w

hotelu i spędziła noc ze znajomym z Niemiec. Skoro świt wybyła z łóżka kochanka i stanęła za ladą jako sprzedawczyni akcesoriów do oczek wodnych. Tego dnia miała hurtowy popyt na sztuczne łąbędzie, kaczki i żaby.

Atrapa kaczki, w granicznej bramce przejazdowej, wymknęła się z rąk niezgrabnej celniczki wprost pod koła wolno przejeżdżającego samochodu. Z urwanej szyi plastikowego ptaka sypnął się nieskazitelnie biały proszek.

„Przypadkowo” zatrzymano czystą heroinę wartości ponad dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Inspektor Koźlak dowiedział się, że kramik z akcesoriami do oczek wodnych cieszy się nieprzemijającą popularnością wśród niemieckich turystów. Osiągnął niewątpliwy sukces i miał dowód w ręku. Śledztwa jednak nie zamierzał jeszcze dekonspirować. Aresztowano jedynie Niemca. Oficjalnie uznano to za czyjąś przypadkową wpadkę.

Honoratka

Tego zapachu perfum jeszcze nie znałem. Był zmysłowy, kuszący. Zielone płatki kwiatów.

– Jestem Honorata – miała dziecięcy głos.

„Brakowało, żeby przychodziły nieletnie” – przeleciało mi przez myśl.

– Czy mówi ci coś imię Natalia, ksiądz w spódnicy?

– Dajcie odpór diabłu, a uciecze od was – powtórzyłem dobrze zapamiętany cytat.

Klasnęła w ręce, jak to czynią ucieszone dziewczynki. Pograżyła mnie w czarną rozpacz.

– Czy chcesz mi ściągnąć na kark obyczajówkę? Niepełnoletnim wstęp wzbroniony.

– Przyjmij do wiadomości, że Natalia Z, to moja mama. Podobno byłem ryksą i stąd mój nieco dziecięcy głos. Jestem całkowicie pełnoletnia. Udowodniłam w rejestracji – oświadczyła naburmuszonym tonem.

– Nic dodać, nic ująć – mruknąłem.

– Jest tu całkiem, całkiem. Przytulne jest to piekielko – powiedziała bez cienia urazy za mało zachęcające przyjęcie. – Wpadłam, by prosić o poświadczenie niemoralności, ale nabrałam ochoty, by wypełnić zalecenie mamy i zadbać o swoje ciało.

– Mamie o tym wspomniałem. Nie jestem lekarzem. Świadczenie niemoralności? Kpisz czy o drogę pytasz?

– Nie gniewaj się, wyszło niezręcznie. Wstyd powiedzieć, nikogo jeszcze nie miałam.

Siadłem zrezygnowany w fotelu.

– Słuchaj, o co ci chodzi? Czy ze mnie nie wystarczająco zakpiło życie, żebyś i ty jeszcze musiała kpić?

– Coś ty? I do głowy by mi to nie przyszło. Szukam u ciebie ratunku. Nie interesuje mnie żaden irlandzki, ani indyjski narzeczonny, o którym ci matka,

bankowo, że opowiedziała. W tym celu muszę mieć dla matki świadectwo niemoralności, a tego nie wyda mi żaden ginekolog. Jestem zaprzysięgłą dziewicą.

– Zaprzysięgłą?

– Oj, tak się to mówi. Nie możesz mnie wesprzeć, to nie. Zróbmy masaż. Czy mam się rozebrać?

– W kasie ci zwrócą pieniądze. Polecam masaż w „Brystolu”.

– Czemu zawdzięczam dyskryminację? Kręcą cię tylko starszki?

– Nie. Przez chwilę wziąłem cię za kogoś innego, ale się pomyliłem.

Oczywiście. Proszę, rozbieraj się.

Sfrunęła na stół masażowy z lekkością motyla. Do wyobraźni przywołałem wspomnienie szczygła, jego śpiew. Tym razem, zamiast lżej, zrobiło mi się ciężiej. Przygniotło mnie brzemień mojej ułomności, tak silnie, jak owego krytycznego dnia, gdy pałętałem się po strychu w poszukiwaniu śmierci. Moje dotychczasowe zajęcie wydało mi się równie kalekie, jak ja sam. Oto, dlaczego nie chciałem, żeby się u mnie masowała.

– Czy chciałeś mnie rozmyślnie urazić? Dlaczego? Czy ci w czymś podpadłam? Lubisz doprawdy świętoszki?

– Na moment straciłem do ciebie konieczny dystans – wyjaśniałem, ale zrozumiała to po swojemu.

– I cóż w tym dziwnego. Jestem niezłą laską i trochę się wstydzę. Mam pietra. Czy jestem, zatem niewydarzona? Pewno dla tego się ostałam. Tak sądzisz. Masz to wypisane na twarzy. Mylisz się. Na twoim miejscu, mój chłopak by pewno oszalał – nie zabrzmiało to przekonywująco.

Coś mi tu z tym chłopakiem nie grało? Pozwolił, by tkwiła w tym zaprzysięgłym dziewictwie? Nie zastanawiałem się detalicznie. Nie moja sprawa. Trochę mnie ostudziła. Ale niby, czego innego mógłbym się spodziewać? Czy miałem jej to za złe? A to niby, z jakiej paki?

– Nie powiedziałaś, czego oczekujesz – stwierdziłem.

– Jakbym była na przeglądzie technicznym samochodu. Jaki ma być olej? – powiedziała sarkastycznie.

– Okey. Odwróć się na brzuch.

– Na brzuch? – powtórzyła zawiedziona. – Jestem jędzowata. Nie mam, nikogo. Kto by tam mnie chciał. Nie wściekaj się już na mnie, Adamie.

Znowu wróciły do mnie nieziszczalne nadzieje. Jak mi nie wiele trzeba. Zapamiętała moje imię.

Złapałem jednak dystans. Bałem się nie o nią, lecz o siebie, o swój zdobyty z ogromnym trudem spokój. Nie chciałem dać się zepchnąć z wytyczonej ścieżki.

Stałem przy jej głowie. Skoncentrowałem się. Poprowadziłem powoli dłonie. Czulem miękkość skóry, kształt kości i mięśni, ich twardość i napięcie. Podążałem wzdłuż kręgosłupa i przy pośladkach dłonie rozdzieliłem. Poprowadziłem je górną częścią pośladków do boków ciała, łagodnie zawracając i przesuwając nimi po bokach, w górę, do miejsca, z którego zacząłem masaż. Czynność powtórzyłem parokrotnie, budząc w niej uczucie odprężenia i rozleniwionej żądy.

– Czy ty dbasz o wszystkie klientki jednakowo? Powiedz, że mnie wyróżniasz – powiedziała z dziecięcą beztróską.

Głęboko oddychała i ocierała się o stół masażowy. Zmieniłem miejsce i stanąłem przy jej pośladkach. Wyciągnąłem dłonie daleko od siebie, i głęboko uciskałem jędrne ciało, biorąc palcami raz jednej, raz drugiej ręki. Naprzemiennymi ruchami, rozmasowałem jej uda i łydki.

– Mogłabym tu zostać na zawsze – powiedziała Honorata. – Nie tylko dla twoich rąk.

– Teraz się przewróć na plecy.

Coś drżało we mnie. Ścisnęło ze wzruszenia za gardło. Nikt nigdy do mnie nie przemawiał ani takimi słowami, ani takim tonem. W rękach miałem niewielkie, dziewczęce piersi i doznałem olśnienia, że tak małe, mogą być tak bardzo zauważalne i elektryzujące. Zazwyczaj wędrówkę palców rozpoczynałem od piersi. Były mi sterem i drogowskazem. Ich dotyk wyzwalał w klientkach bezgłośnie mowę gestów, drgnień, zapachów, dreszczy. Nauczyłem się rozumieć sygnały oddechu, gdy usta nie mówią. Najskrytsze, z głębin płynące fluidy, gęsia skórka pod dłonią, sztywniejące sutki, były cenną wskazówką. Rzadko popełniałem uchybienia, budzące

niezadowolenie moich klientek. Wiem. Znowu dałem się ponieść obsesji obłych kształtów. I właściwie, co jest w tym złego? Nie, nie obiecuję, że się to już nie powtórzy. Weryfikuję własne wcześniejsze zapewnienia i basta!

– Strasznie, strasznie mi z tobą dobrze – szepnęła zwodniczo i okropnie naiwnie. – Ojej! – westchnęła Honorata i niespodziewanie się wyprężyła. – Wyszłam na idiotkę.

Wiedziałem, co to znaczy. Ona ma być dziewicą? Jakbym ją złapał na oczywistym kłamstwie. Szczytuje szybciej niż najszybsze, napalona. I to mnie zmroziło. Jeśli jest dziewicą, to znaczy, że jest bio. Coś o tym słyszałem. Dałem się wziąć na wędkę własnej wyobraźni. Szybko ją sobie wyidealizowałem. To wada niewidomych. Młodość i świeżość podziały rozprzegająco. Jest jak pozostałe klientki. Pali się wprost do męskich rąk. Przeskoczyłem ze skrajności w skrajność. To i lepiej, bo coś mi niezdrowo odbiło.

Byłem teraz sobą. Znikła nawiązana nić intymności. Była ciałem do pieszczona za pieniądze, szacownym ciałem klientki, która winna wyjść stąd zadowolona. Niech się pręży na mamusi rachunek. Jabłko nie pada zbyt daleko od jabłoni. Zejdę do bioder. Tylko czekać, jak zainteresuje się moimi spodniami.

– Czym ci się naraziłam? – spytała Honorata, jakby czytała w moich myślach i nagle siadła na stole. – Idę sobie, nic tu po mnie.

Znowu sfrunęła ze stołu zostawiając mnie osłupiałego i zawstydzonego.

– Kładę ci na biurku zaadresowaną kopertę. Proszę, napisz słówko do mamy. Daj mi świadectwo niemoralności. Myślę, że teraz już za anioła mnie nie masz.

Czas mijał, wraz z nim ubywało mi zapału do pracy. Winna była czyjaś młodość i moja za nią tęsknota. Sprzątaczkę na korytarzu szeptały niepocholebnie, że tracę klientki, że stałem się zimny i niedostępny. Takich opinii nie wolno lekceważyć. Znaczą więcej, niż wnikliwa ocena personalnej. Halszka, znaczy szefowa, milczała. Sądziłem, że kryje się za tym oczekiwanie. Była pewna, że to chwilowe przesilenie i dawała mi czas.

Propozycja

Nigdy nie uważałem masażu za jakąś tajemną dziedzinę umiejętności. Masować mógł każdy. Niewidomy robił to zawsze znacznie lepiej. Niewidomy ma wzrok w opuszkach palców, jest stworzony, by odbierać świat przez pryzmat dotknięć, muśnięć, ucisków. Ma w sobie coś z nietoperza.

Masaż masażowi jednak nie równy. Najstarsze i najbogatsze w doświadczenia; chiński, japoński shiatsu, reiki, intuicyjny, aromaterapeutyczny, refleksologiczny – niezależnie od różnic zalecają masażyście, by zamknął oczy, by się skupił. Ten zasadniczy warunek skuteczności wszelakiego masażu, jest smutną koniecznością niewidomego.

Spośród wielu, wybrałem masaż intuicyjny. Właściwie go nie wybierałem. Był we mnie zakodowany. Zawsze odczuwałem naturalną potrzebę porozumienia się z partnerem. Masaż intuicyjny dopuszczał użycie różnych podstawowych technik i nie wymagał przestrzegania reguł. Jego podstawowym, niezmiennym elementem, było podążanie za własną intuicją i położenie rąk na właściwym miejscu, o właściwym czasie. Inne techniki, w zewnętrznym wyrazie bardziej wyrafinowane, oddziałujące na emocje, a nawet sugerujące masaż na odległość, z pomocą wizualizacji, poza teoretycznym zainteresowaniem, nie znalazły we mnie fana.

W saloniku, masaż intuicyjny wzbogaciłem o wiele elementów zalecanych przez tantryckie praktyki seksualne, według których, akt miłości między mężczyzną i kobietą jest święty i daje możliwość przeżycia najbardziej egzaltowanych stanów duchowych. Urzekły mnie swoją prostotą i elegancją nazwy najintymniejszych miejsc kobiety i mężczyzny: Yoni i Lingam. Dałem temu już wyraz wcześniej. Znajomość położenia dwu kanałów, Du i Re, całkowicie zastępowała mi zbyt drobiazgową, i dlatego mało przydatną w praktyce, wiedzę o rozsianych po całym naszym ciele punktach erotogennych.

W saloniku powiało znowu rosyjską czeremuchą. Przeraziłem się na myśl, że nawiedza mnie pani Natalia. Ale nie tylko ona upłynniała stare remanenty. Nowa klientka była niezbyt pewną siebie, może trochę ode mnie starszą rówieśnicą.

– Jestem Anulka W. Ze Stadionu Dziesięciolecia. Raz na jakiś czas sztafiruję się i wpadam po usługę. Przecie to nie zdrada i lepsze, jak byle przygoda, w knajpie – szukała u mnie zrozumienia. – Mąż na kontraktach u Arabów, a w domu dzieciak. Czasem dopada mnie chandra. Zazdroszczę tym kobietom, co mają wszystko na wyciągnięcie ręki. Wystarczy, że się trochę pomizdrzą, pokręcą tyłeczkiem, dadzą lepszy obiad, a mąż sam z ręki je. Ja to wszystko umiem, ale kręcenie tyłkiem do czterech pustych ścian niczego nie załatwia. A na żadne dłuższe układy nie pójdę. Więc nie dziwota, że mnie w dwudziestym szóstym roku życia nachodzi i wygania z domu. Fatygantów na stadionie mi nie brak. Ale w swoim gnieździe ptaki nie brudzą. Mój by mnie zabił, gdyby się zwiedziały. Ale jemu wolno, bo mi nawet mówi o miedzianych w kolorze piersiach i węzowych ruchach tamtych kobiet.

Wciąż ciągnie mnie do takich „sierot” jak ona. Poczujęm bratnią, samotną duszę.

– Chcę nie tylko odpocząć – powiedziała Anulka, nie siląc się na usprawiedliwienia. – Mężczyznom się podobam. Pan jest jakiś milczący. Czy nie wchodzi w rachubę?

Ten jej szczególny rodzaj śmiałości, a może raczej zdrowego podejścia do życia. Do mnie to trafiło. Zaprosiłem ja do rozbieralni i uścisnąłem porozumiewawczo podaną sobie dłoń. Była gorąca i niecierpliwa. Położyłem lewą dłoń na brzuchu poniżej pępka i dotknąłem ostrego, krótkiego zarostu. Dosłownie mnie kłuł.

– Jak mąż przyjeżdża, to mi się każe golić. Tam w Arabii podobno się wszystkie golą – powiedziała. Brzmienie jej głosu nie pozostawiało wątpliwości, że tę wiedzę miała mężowi za złe.

Palcami drugiej ręki zmacałem mocarne, jak u karmiącej matka, sterczące piramidy. Grzechu warte klejnoty pani Anulka świadomie wzbogacała, podkładając sobie ręce po głowę. Dwie kule pod uciskiem, u nasady pływały, u góry twardniały. Ssałem, a ona pieściła mój kark i wila się dosłownie w konwulsjach. Dotknąłem rozwartego pyszczka kotki. Oplotła mi szyję ramionami i wtuliła usta we włosy.

Obniżyłem stół montażowy. Przyciągnęła piętami do siebie moje już nagie

pośladki. Zawędrowałem nieskończenie głęboko. Uwięziła mnie z siłą, aż zasyczałem. Trzymała jak w szczękościsku. Falowała raz i drugi, ale nie wiotczała. I nie odpuszczała.

– Wybacz – była przerażona.

Przemieściłem się z nią pod prysznic.

– Puść ciepłą wodę.

Zwiotczała.

– To mi się zdążyło po raz drugi – powiedziała niemal błagalnie i zawstydzając całowała moje ręce. – Nie gniewaj się. Przetawiliś we mnie wszystko... Zostaw, jeśli odczuwasz wstręt.

Ani mi było to w głowie. Doznałem wszechpotężnej rozkoszy uwięzienia i potężnego wytrysku. Spełniła niecną ciągotkę do unurzania się w ciele kobiety do bólu. Fascynujące! Od przerażenia, uchroniła mnie wiedza chłopaka ze wsi. Wściekliczna macicy, to nic ponad to, że kobieta, była w tym względzie potrzebowska, a mężczyzna dostarczał jej wrażeń w nadmiarze, więc trochę przetrzymywała. Satysfakcja dotycząca niewielu. Nigdy dotąd nie doświadczyłem równie intymnego fizycznego kontaktu. Wtulałem się w piersi i poddawałem dotykowi, teraz już miło falującego wnętrza. Wciskałem swoją pięść w jej niewidzialną dłoń. Drażniła przewężeniem i zakleszczywszy raz jeszcze, tym razem nie groźnie, zadygotała. Bijąc piętami w pośladki nadawała naszym ciałom przyspieszenia.

– Zostań! Jeszcze mam chcię – mówiła miękko, tym swoim stadionowym żargonem.

Uwolniła. Leżała, jak martwa.

– Mój mąż, gdyby on tak mnie..., to ja bym do niego, do tej Arabii, latała, last minute, ciągle. – Jestem tu z polecenia – zwierzyła się. – Pewna aktorka kupowała u mnie ekstra bieliźniane ciuszki. Ona mnie podesłała. Chodziłam tu i ówdzie. Pieniądze mam, ale kobietę traktują jak mufkę. Włożą w nią ręce, żeby tylko wyjąć pieniądze. Powiedziała, że pan to, co inszego. I powiedziała prawdę. Ale jestem nie tylko z powodu śpiewaczki – szepnęła mi niemal w ucho. – Nie wiedziałam, czy to

zrobię. Ale kiedy ciebie poznałam. Chcę coś zapodać. Boję się mówić, żeby ktoś nie usłyszał.

Miałem zdumioną minę.

– Rozumiesz kobiety, więc nie możesz być „psem”.

– Zgłupiałem do reszty.

– Takich dwóch na stadionie. Niebezpieczni goście. Zaciekawilo mnie, bo użyli nazwiska, które mi dała śpiewaczka. Twego. Mówili, do siebie, że zwąchałeś się z „psami”, że, jak się to potwierdzi, to trzeba oddać cię hycłowi. Czy masz coś wspólnego z trawą?

– Trawą?

– No, wiesz z antyfeminą, czy coś w ten deseń?

– Nic wspólnego z tym nie mam – spościłem się ze strachu. – Więc mnie podejrzewają. Muszę się ujawnić i zażądać ochrony – postanowiłem w duchu.

– Tak sądziłam. Jednak uważaj. Może cię ktoś wrabia.

– Niesłychana historia.

– Chciałabym wiecznie cię tu spotykać – zmieniła temat uspokojona moimi zaprzeczeniami.

– Nie życz mi tak źle.

– Masz rację – powiedziała po namyśle. – Jesteś kochany. To nie jest praca dla ciebie. Rzuć i weź sex szop, na stadionie. Właściciel przedawkował i szop można kupić. To spokojny biznes. Palcem cię nikt nie tknie. Anulka cię o tym zapewnia.

Opowieść pani Agaty - ostatnia

– Pewno mnie pan zgani – powiedziała, gdy tradycyjnie zsunąłem pani Adze z bioder spódnice.

– Nie śmiałybym.

– Cenię tę pańską delikatność, dyskrecję i wyrozumiałość. Co też się za tym pobłażaniem tak na prawdę kryje? Co też pan o mnie, o nas kobietach, sądzi? Jak, zdaniem pana, wygląda ta naga prawda? Wie pan o każdej z nas furę, tyle, co spowiednik, lekarz, mąż i kochanek w jednej osobie.

Nachyliłem stół masażowy pod kątem. Pani Agata ułożyła się i spoczęła tym razem od razu na plecach. Zastanowiłem się, co i czy w ogóle mam jej coś do odpowiedzenia. Czułem się po spotkaniu z Honoratką coraz bardziej nieswojo i czasem wręcz podle. Ta dziewczyna odebrała mi pewność siebie i wtrąciła w kłopotliwe rozważania. Czy jestem, czymś w rodzaju byka rozplodowego zarabiającym na życie i leczenie, wysługującym się i wkupującym w łaski i zaufanie kapryśnych klientek? – zadawałem sobie pytanie. Do tego bym się nie przyznał pani Adze za żadne ”Chiny”. Na szczęście dla mnie nie był to jeszcze etap, na którym moje klientki stały mi się z dnia na dzień, nagle, obrzydliwe lub odpychające. Te inne przypisywane mi przez panią Agę wcielenia były wytworem jej fantazji. Nie miałem w sobie nic z psychologa, ani spowiednika. Byłem po prostu dyktafonem. Takim telefonem zaufania, któremu panie powierzały od czasu do czasu swoje bolączki, wcale nie oczekując ode mnie rad. Ja im miałem wygodzić i za to mi płaciły. Wyjątki tej reguły nie zmieniały.

Co do mego zdania o kobietach? Czy o tych, które tu do mnie przychodzą, bo przecież innych nie znałem? Może tylko tyle, że nachodziły mnie czasem takie myśli, iż nie zaznały od życia zbyt wiele szczęścia. Dziwny jest ten świat, w którym wszyscy, za wszystko, wszystkim muszą płacić. Ale coś mi mówiło, że nie takiej odpowiedzi oczekuje. Nie siląc się, więc na oryginalność, wypowiedziałem najbardziej wyświechtane powiedzonko, którego nauczyłem się od pani HH. Zdumiałem się tym, jak bardzo przypadło ono do gustu, imponującej mi intelektem i

własnym zdaniem pani Adze.

– Kocham ciało kobiece.

Zrobiłem prawdziwą furorę.

– Jest pan koneserem. Cóż za trafne ujęcie. Godne dialogu w filmach Felliniego – stwierdziła z entuzjazmem.

Połączony zostałem w swej męskiej ambicji. Przyszła mi do głowy szalona myśl, aby jej powiedzieć komplement.

– Pani jest istną seksbombą! Gdzie tam Joannie do pani.

– Kimże jest Joanna, panie Adamie? – spytała zaskoczona.

– Żoną młynarza z mojej wsi.

Pani Aga leciutko kaszlnęła, sprowadzając mnie na właściwą ścieżkę.

– Mugi dopadł Brugię sam, ale mu się wykręciła, gryząc – powiedziała zmieniając temat rozmowy i naprowadzając wszystko na właściwe tory.

Różne ludzie mają problemy. Też nie grzeszyła subtelnnością. Wciąż nie znalazłem przyczyny, dla której miałbym ją zganić. Stanowczo lepiej od komplementów szło mi masowanie.

Dłonie przesuwalem wzdłuż boków pani Agi i nagarniałem ciepło do piersi. Czekałem, aż sutki uronią małe kropelki i stężeją. To sygnał biegnący do kobiecego wnętrza. Leonardo da Vinci rysując ciało kobiety, połączył strzałką jej piersi z macicą. Zapamiętałem ten uczony wywód z kursów. Czasem takie szczegóły utralają się w pamięci na zawsze. Otóż ten Leonardo da Vinci, jakże dźwięczne i urzekające nazwisko, wykazał, że drażnione piersi kobiety powodują stawanie macicy i powiększanie się pochwy. W tym kierunku szły właśnie moje starania.

Podłożyła ręce pod głowę, a kolana ugięła. Leżankowa pozycja, u niej, zapowiedź pierwsza orgazmu. Długie „auu” i silna trzęsionka. Z mojej strony krótka przerwa. Teraz niema prośba o dotyk bramki. Można ją nawet delikatnie rozwierać. Sama się powoli rozchyła. Jakże chętnie zobaczyłbym, jak wygląda to, co wewnątrz tej bramki zakwita. To, czego, jak gorących płatków róży dotykam językiem. Tego, co pęczniąc pozwala się uchwycić ustami. Dziś się wyraźnie rozkleiłem.

– I gdzie w tej absorbującej robocie miejsce na filozoficzne deliberacje –

usprawiedliwiłem w myślach swoje braki salonowe.

Pani Aga dawno puściła niefortunny komplement w niepamięć. Stała u progu powtórki z upojenia. Nie dla mojej wątpliwej elokwencji mnie odwiedzała.

Darowałyby mi zapewne poważniejsze mankamenty w erudycji w zamian za efekt końcowy z erudycją mało mający wspólnego. Rozkraczyła się. Podnosiła rytmicznie miednicę do góry. Znalazła moje dłonie i ścisnęła je coraz silniej. Płatki róży zeszywniały by po chwili zwiotczeć i okryć się śliską wydzieliną. Zwiotczał też uścisk dłoni.

– Zaprosiłam tych dwoje autostopowiczów – wyjawiała pani Aga swoje przewinienie po długiej nieobecności duchowej w saloniku. Wędrowałem właśnie opuszkami palców po jej stygnących biodrach kierując się ku pępкови z odrobiną szorstkich podniecających włosków. – Zawitali, jak męża nie było. Będzie miał swoje za wcześniejsze wiarołomstwo.

– Pani piesek dopadł suczkę – powiedziała autostopowiczka, znudzona brakiem zdecydowania swego chłopca, by wypróbować nową poznaną u pana, Adamie, pozycję. Siedziała na tapczanie na przeciw, z rzadka rzucała na nas znudzone spojrzenie, wygładzała sobie starannie pilnikiem paznokcie. Odłożyła pilnik i obserwując pieski, nagle się ożywiła.

– Daje się mu lizać. Chwycił ją za kark. Jakież to czerwone, co ma pod brzuchem.

– Ją takie rzeczy widocznie podniecały. Zaczęła dziwnie drżeć trzymając dłoń między swymi lekko rozwartymi udami. Nie dostrzegając swojej trywialności, wpadła w śmieszność – opowiadała pani Aga.

Oto skutki braku obcowania ze zwierzętami – przyszło mi na myśl. – A cóżby ją w przeciwnym razie tak bardzo podnieciło? Gdyby widziała, jak w krowę się wdziera byk, albo poczciwy osiołek w ośliczkę, z pyta, która sięga mu prawie gardła? Że pies krył suczkę? Ach, ci miastowi!

– To jakiś niezguła, z tego pani partnera – nawiązałem do braku zdecydowania młodzieńca. – Trzeba mieć pecha.

– Mąż trafił na sprawę w pełnym toku mojej udanej próby z chłopcem,

dziewczyny ze sobą, Mugiego z Brugią pod stołem.

– Jak dobrze, że przyszedłeś staruszkę – odezwała się autostopowiczka do stojącego już od paru chwil na progu pokoju mego męża. – Dosłownie uświerknęłam. Sądząc po oczach twojej żony, ten azjatycki konik jest niezły. Zrobisz mi to.

Obniżyłem stół. Pani Agata zsunęła się na samą krawędź. Stała na czworakach, jak jej zwierzak. Biło od niej gorąco. Ocierała się o moje uda. Wilgotnym tyłeczkiem poszukiwała tego, z czym jakoś nie było mi spieszno, i co w niej w końcu zagłębiłem. Zastygła i korygowała połączenie. Potrzebowaliśmy kilku chwil by się wzajemnie spasować, wcisnąć i wchłonąć tak ściśle, jak pozawałało na to jej i moje gęste owłosienie. Teraz daliśmy miejsce psychicznej podniecie trwania i rozmowy.

– Zawsze należy zamykać drzwi za sobą, pouczył nas żartobliwie mój mąż. – Głos pani Agi lekko zadrżał, ale nie stracił frywolnego brzmienia. – Zbliżył się do dziewczyny i pozwolił się pieścić oralnie. Mój chłopak ożył po raz drugi. Nabierał ochoty, gdy zobaczył swoją dziewczynę w akcji. Dziewczyna nie próżnowała. Była nad podziw pojętna. Przystąpiła z moim staruszką do azjatyckiej galopady. Podejrzewam, że młodzi ludzie, by się spełniać najwidoczniej potrzebowali nas starszych – mówiła pani Aga z niemalym wysiłkiem zmagając się z podstępą huśtawką wzbierającej w niej żądzy. – „Mężczyźni, gdy się im już nazbiera, są pocieszni stwierdziła dziewczyna” – opowieść pani Agi przeszła w namiętny szept.

Osobliwy tembr jej głosu i nasze ze sobą zwierzęce zespolenie, rozpało we mnie wyobraźnię na niespotykana skalę. Jakże pragnąłbym ją zobaczyć. Obejrzeć sobie każdy szczegół jej kobiecości. Spojrzeć na uniesienie wyzieraające z jej oczu. To mnie omijało. Z tym większą pasją, bez zachowania umiaru panoszyłem się w jej i na jej ciele. Unosiła się już na szczytowej fali, sama wpadając w pułapkę niekontrolowanej śmieszności, z której przed chwila podkpiwała. Gulgotała, jakby czegoś nie mogła przełknąć, podrygiwała, lizała i smoktała. Przeistoczyliśmy się w Mugiego i Brugię. Wydawała krótkie szczekliwe dźwięki, ja dyszałem głośno i lubieżnie..

Podnosiła się na łokciach i opadała. Hasałem na jej tyłeczku Nim upadła na brzuch wykrzyczała tę swoją chwilową niemoc w tak długim splocie słów, że

zatraciłem ich sens.

Długo leżeliśmy łapiąc oddech.

– Dziewucha zapewne potrafiła dogodzić, bo mąż łapał garściami powietrze.

Mój adonis prychał. Straciłam na niego chęć. Czy uwierzy mi pan, że zostałam osamotniona i odnalazłam się, jako kobieta, dopiero tutaj. I jestem tym zrozpaczona.

– Słucham?

– Wyjeżdżam do córki na drugą półkulę świata. Tam wysłali ją z mężem do naszej ambasady. Co ja bez pana pocznę mój przyjacielu?

Ordnug

Świeże, delikatne, stymulujące. Cytryna, pomarańcza, greifrut. Perfumy kwalifikowane, jako sportowe. Fruitty Rythm albo Fresh Vibes. Równie mocny zapach torebki i pantofli. W komplecie pasek, zapewne z wężowej skórki.

– Wunderbar. Laboratoryjny ordnung. – Nowa klienta przeplatała słowa niemieckie z polskimi.

– Marina – dotknęła mi rękę. – Prrroszę – zawarczała to swoje „r” – o pełny serwis. Masaż, petting, stosunek razy dwa. Rozumiem, za dopłatą. Mam ze sobą wszystko, co w tym celu potrzebne. Viagrę, prezerwatywę model „wąsy” i własny wibrator. Zmroziła mnie. Bom wciąż chłopek. Przecież to proste, że miała rację. Chwyciła za łeb i potrząsnęła tkwiącą we mnie pruderią. Nazwała rzecz po imieniu. Odarła z fałszywego blichtru niedomówienia, ukazała rzeczywistość, nic niemającą wspólnego z romantyzmem. U nas każdemu bezceństwu musi towarzyszyć cierpiętnictwo, magia słów: : „Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina!” i grzechów odpuszczenie.

– To moje zaściankowego wychowanie – osądziłem. Ktoś wreszcie ustawił problem właściwie, bez niedomówień Dla niej mój zawód był, jak każdy inny. Ciężki, wymagający fantazji, godnym szacunku fedrunkiem. A salon miejscem zasłużonego wytchnienia bez wydziwianie i przeżywanie niezawinionych grzechów. Coś jest potrzebne, więc, o co chodzi. Przymusu nie ma. Czysto, higienicznie, bez zobowiązań. U nas, co innego w praktyce, co innego w teorii. Byłem przecież świadom, że dla wielu noszę piętno diabła. Ona mnie od tej świadomości na jakiś czas uwalniała. Było mi to potrzebne. Oczekiwała odpowiedzi. Skinąłem głową, aby formalności stało się zadość.

– Za stosunek pięćdziesiąt procent – dodałem. Już całkiem zgodnie z umownym cennikiem. Do własnej kieszeni.

– Natürlich.

Do ręki dała mi plastikową torebkę z zapowiedzianymi precjozami.

– Bądź ze mną nago? Ubrany mężczyzna zawstydzona mnie i wyhamowuje.

Czuje się gorsza. Nagi rozluźnia. Jesteś w zastępstwie męża. Zgadza się. Jest w Afryce. So arbeit. Często on tu, ja tam. Jestem korespondentką Bilda na wschodnią Europę. On pracuje dla telewizji. Ani on, ani ja nie możemy latać do siebie dwa razy w tygodniu. Zapewniła mnie przyjaciółka, że wyjdę stąd zadowolona. Jakbym usłyszał zalecenie pani H.H wypowiedziane kiedyś pod moim adresem.

– Gdzie Badezimmer? – spytała Niemka.

Rozebrała się. Pociągnęła mnie za sobą pod prysznic.

– Libling! Wie gross! Oceniała rzeczowo i z zachwytem. Jest wszystko jasne – stwierdziła głosem, lekko zachrypłym od emocji. – Przyjaciółka nadmieniała. Ona immer fantasirt, ale tym razem, och nie! Ja się nie boję. Es wird wielka sprawa. Oczekiwałam. Mąż, gdyby wiedział. Ale pozwolił. O, i niepotrzebna Viagra! Kann ich selbst? – uklękła przede mną i naciągnęła na wielgachnego prezerwatywę. Zrezygnowałam z klasycznej kolejności. Od razu przystąpiłem do męskiej powinności. Masaż na początek, wydawał się nieporozumieniem, szklanką herbaty na zgłodniały żołądek. Podobnie wibrator. Ona się napraszała, by ją brać z biegu, z przodu, z boku, od tyłu, bez ceregieli, byle brać, jak najszybciej. Rozpierałem jej nie małą pochwę. Zarzuciła mnie szkolnymi słówkami z niemieckiego. Niczego nie musiałem się domyślać.

– Es freud mich! Dobrze! O das ist sehr schon! O, jak pięknie! Gut! Sehr gut! Dobrze! Bardzo dobrze. Palcem silnie naciskała na pępek, jakby chciałam mi go przewiercić. Objęła rękami za pośladki i wcisnęła mnie mocniej w siebie. Tak ją zaniósłem z pod prysznic na stół i tu jej nie odpuściłem. Dobiegała kresu. Stękała.

– Szlage! Uderz! – zachęciła.

Udałem, że nie rozumiem.

Szamotała się, gdy wszedłem na bardzo ostro przekopując grunt raz i drugi, i nie zaprzestałem, gdy konwulsyjnie szczytowała. Wyprostowała sztywno nogi do góry i opuszczając gwałtownie, uderzyła nimi parokrotnie o powierzchnię stołu. Zsunąłem się z niej i oboje stanęliśmy znowu pod prysznicem. Otarła się udem o nieposkromionego.

– O, ja! Niesamowite. War wunderbar. Płacę dalej! Ich will, ich will!

Obróciłem ją twarzą do glazury. Złapała za niklowany uchwyt.

– Bez prezerwatywy. Asche! Pupa! – krzyknęła.

To musiało być bolesne przejście. Robiłem szereg podejść, a ona mi w tym sekundowała. Ułożyłem się w niej, jak główka w panewce. Złobiłem głębiej. Chwytała w palce ruchomy czop. Stękając poruszała pośladkami na boki. Gładziłem mi uda.

Obmacywałem wielkie, nabite konwie. Prosiły się by klepać, miętosić, podrzucać. Bujałem nimi na boki. Z lubością odtwarzałem dłonią zarys wypiętych i rozepchanych pośladków. Tkwił między nimi wielgachny, jak przed chwilą rzucony, wciąż dygocący oszczep. Wodziłem palcem po bruździe u dołu, miękkiej, soczystej, rozpiętej. Nasze wilgotne palce spotkały się w rozognionej łódeczce. Po podłodze potoczył się z dźwiękiem wyrwany z glazury niklowany uchwyt. Uchwyciła się wnętrza w kafelkach i tak przetrwała ostre biczowanie. W tej wizycie, więc wszystko było na odwrotność. Leżała odpoczywając na stole. Palcami gładziła mi ramiona. Zastosowałem masaż intuicyjny na całym ciele. Piąstkowałem. Postawiłem piersi na sztorc. Chyłkiem wyjęła wibrator i wprowadziła go sobie sama. Pomogłem jej skutecznie się pieszcząc piersi i lechtaczkę. Gdy była już na drugim brzegu, zwyczajem zapobiegliwych Niemek, nie zapomniała o mężczyźnie. Uklękła przede mną, umościła wielgachnego między stromymi pagórkami i pieszcząc odszpurowała gejer.

Kompleks

Była moją stałą klientką, taką, o której, do tej chwili, potrafiłbym powiedzieć nie wiele więcej, ponad to, że ciało miała dobrze utrzymanej mamuśki po czterdziestce. Piersi, jak z silikonu. Brzuszek trochę na wyrost, zarost łona słuszny. Wiedziałem, że jest rozwódką i ma syna. Powiedziała to kiedyś. Nigdy nie sprawiała wrażenia wyposzczonej. Nigdy nie doszło między nami do kontaktu fizycznego. Po prostu obywatela się półśrodkami. Choćby z tego jedynego względu cenilem ją sobie bardzo. Mimo to budziła moja antypatię, robiąc wrażenie kobiety na coś czyhającej. Nie szczędziła mi pochlebstw i dawała mi wiecznie do zrozumienia, że jestem jej idolem, co miało mnie raczej zbić z tropu i odwrócić od czegoś uwagę. Czulem, że uważa mnie za rozpustnego i obeznanego ze wszystkimi zбочzeniami. Siebie zaś za istotę z natury niewinną i pokrzywdzona od losu. Rozbierała się długo, trochę teatralnie, jakbym był tego widzem. Jak mamuśka, w niezbyt pochlebnym znaczeniu tego słowa, była damulką drobiazgową, chutliwą i nienaturalną.

Nigdy niczego nie mówiła wprost. Zawsze powtarzała się ta sama sytuacja.

– Czego pani dziś oczekuje? – pytałem, gdy naga zaległa już stół.

– Zapłaciłam za komplet – odpowiadała skromnie. – Pan sam zadecyduje. –

Wiedziałem, że liczy na orgazm, a jeszcze lepiej, na dwa. Drżała wtedy, jak dobrze odstany kisiel żurawinowy. Pojawiała się i znikwała równie bezgłośnie, jak przeżywała swoje spełnienia. Miała bardzo ciepłe ręce, które kładła mi nie raz na wierzchu dłoni. Czasem pytała mnie zagadkowo w rodzaju: – czy kobieta też może być pedofilem?

Nawet nie siłę się na odpowiedź, bo jej po prostu nie znałem, tak jak długo nie znałem znaczenia samego słowa. A że bym był specjalnie ciekaw, nie powiem..

– Nie czuje pan nic zdrożnego w tym, że mogłabym być pana matką?

– Ale nią pani nie jest.

– A gdybym nią była? Czy wtedy byłoby coś nie tak?

– Proszę pani – zawiesiłem ostrzegawczo głos. – Masaż leczniczy, owszem!

Masażu erotycznego nie musiałyby matka robić u mnie.

– Ale ona mogłaby tego chcieć.

– Moją matkę, proszę pani, masowało boleśnie życie. Do głowy jej takie zbytki nie przychodziły – powiedziałem niemal szyderczo. Myślałem, że nieznanymi mi, a gnębiący ją temat wyczerpaliśmy raz na zawsze. Myliłem się. Przy dzisiejszym masażu szlochała.

– Czy coś się stało?

– Nie!

Masowałem, a ona cicho łkała.

– Przecież ja go jej nie zabrałam – powiedziała półgłosem trochę uspokojona. Taka chwilową słabość. Zły dzień – pomyślałem.

– Jestem winna, ale czy aż tak strasznie?

Puściłem uwagę mimo uszu. Też dzisiaj nie byłem w nastroju. Nie miałem chęci w cokolwiek się płątać. Coś mnie przed tym dodatkowo ostrzegało. Jej zachowanie po raz pierwszy odbiegało od cichej, skrywanej perwersji, którą w sobie zazwyczaj rozniecała, by łatwiej doprowadzać się, jak się jej wydawało, do ukrytej przede mną, cichej ekstazy. Dziś jednak do rozmowy pchała ją przemożna siła, której źródeł nie potrafiłem się domyśleć.

– Ojcowie wprowadzają w życie synów. Mój ojca nie miał. Zostawił nas dla innej. To, kto miał go w życie wprowadzić? Obruszył ją mój brak reakcji. Nie na mój rozum były jej imaginacje.

– Zboczeńcy! AIDS! Do czego to dzisiaj chłopca nie namówią. Internety, czaty.

Milczałem. Faktycznie miejski żywot jest pełen pułapek.

– Od dziecka się przed nim nie kryłam. Kapaliśmy się, przychodził spać. Później trochę mu te kontakty utrudniłam. Ale sam niepostrzeżenie do nich wrócił. Miał dwanaście lat. Mył mi plecy. Kiedyś poprosił bym stanęła w wannie.

„Mama Waldka pozwala mu myć się cała” – powiedział mój syn. Takie zbytki – osądziłem w myślach. Nie pamiętam czasów, kiedy mnie matka myła, a żebym ja ją mył, tego nie było.

– Przysiadłam i pozwoliłam mu namydlić plecy – opowiadała. – Sięgnął po piersi. Podniosłam się wyżej. Namydlił mi brzuch i kotkę. Czułam ogromną

przyjemność. Z nabożnym zaciekawieniem dotykał mnie i gładził. Wsunął mi rękę między uda. Nie potrafiłam się przemóc, jako matka. Czułam ogromne podniecenie. Nie byłam dotykana dawno. Stałam oniemiała, bezmyślnie zapatrzona, całkowicie zeszywniała. A on był zupełnie zbity z tropu. Tego wieczoru syn przyszedł do mnie do łóżka. Niemal wbrew sobie, powiedziałam mu, aby mi nie przeszkadzał, bo chcę spać.

– Mył mnie w wannie i to się stało zwyczajem. Pozwalałam mu się kremować. Uwielbiał robić to z moimi piersiami.

– Twardnieją ci, jak siusiak – stwierdził któregoś razu. – Zobacz!

A mnie przypomniała się matka. Nie musiałem jej podglądać, bo zwyczajem wiejskim, golizna nie była tabu. Jedna izba nie sprzyjała intymności. Ale matki nie śmiałybym dotknąć. Klientka obudziła we mnie chwilową ciekawość. Jak wtedy, gdy ze strachem, a jednak po raz pierwszy dotykałem jamki, w której doktorka więziła wielgachnego, teraz spytałem:

– Uwodziła pani syna?

– No, nie! Oswajałam z ciałem kobiety. Spostrzegłam, że wacha moją odzież. Moje majteczki trzymał pod poduszką.

– Wcześniej zaczynał – świadomie ją uraziłem.

– Miał już piętnaście lat – odparła bezkrytycznie. – Bolały go już gruczoły piersiowe, przeszedł mutację – dodała z żenującą dosadnością.

– Ja podglądałem dziewczyny na plaży, albo w lesie. To jest normalka – prowokowałem.

– A mój syn, nie. Wolał mamę. Przyniósł mi zdjęcia nagiej mamy swego kolegi.

„Pozwoliła się nam sfotografować” – powiedział.

– Więc nie tylko ja, zastanowiłam się – opowiadała. – Przy synu twardniały mi sutki i wilgotniałam. Robiłam sobie z tego wyrzuty, ale rady nie znajdowałam. Podglądał mnie. Wtedy, niby tego nie widząc, wystawiłam na jego widok najintymniejszy szczegół kobiecego ciała. Przeżyłam orgazm. Spostrzegłam, że często paradował bez majtek ze swoją okazałą męskością. Był ciekaw mojego

zachowania.

Już we mnie zakipiał gniew. Niezwłocznie powinna się leczyć – gorączkowałem się wewnątrz. Oczekuje zapewne, że zawołam: „o, szlachetna duszo, która poświęciłaś swoją cześć, dla niesienia ratunku dla zagrożonego przez demony zła syna!” Na zewnątrz jednak zachowałem spokój.

– Godny uwagi rodzaj wychowania – podbechtałem ją.

– Kosztowało mnie to dużo – nie zauważyła ironii – aby nie wypaść z roli beznamiętnej matki, żeby nie wziąć do ręki tej słodkiej buławy, żeby...

Byłem ciężko zdumiony jej brutalną szczerością. Ja, którego egzystencja zasadzała się w dużej mierze na różnorodnych dewiacjach, byłem zbulwersowany.

– Za pierwsze zarobione pieniądze kupił sobie telefon komórkowy z kamerą. „Chyba mi się pozwolisz sfotografować?” – zapytał.

– Czy matka twego kolegi ma męża?

– Nie. Jest wdową.

– Czy ona ci się podoba?

– Tak. Ale ty jesteś o wiele piękniejsza. Masz piękne piersi i zarost. Ona jest łyśa.

Jednak widocznie mam jakieś zadatki na spowiednika – pomyślałem. Czy sądzi, że oprócz wzroku nie mam również żadnych zasad?

– Urządziłam tę sesję zdjęciową dla nich w niedzielę. Wywiozłam obu chłopców nad Bug, do letniskowego domku. Wyglupiałam się ze striptizem. Pokazałam trochę więcej, niż można to zobaczyć, tak w ogóle. Byli zachwyceni. „Jesteś mamą w porządku” – zawyrokował syn.

– Przyrowadź Waldka z jego mamą, kiedyś – zaproponowałam. – Poznałam blondynkę o oryginalnym makijażu.

– Matyllda. Znamy się ze zdjęć – oświadczyła mi bez najmniejszej żenady. Chłopcy zajęli się komputerem, my piłyśmy kawę.

– Moje zdjęcia można też znaleźć w Internecie. Trzeba z czegoś żyć. Jestem kosmetyczką i trochę za pieniądze pozuję – opowiadała. – Bałam się o Waldka. Jestem wdową i chłopiec jest od lat bez ojca. Takie czasy, AIDS albo robi dzieciaka.

W szkole zerowe wiadomości, wszystko ściemniają. A na co dzień nieograniczona samowola. Dzięki mnie, Waldek wie, czego oczekiwać od kobiety, i jak siebie i ją chronić przed niechcianym.

– Czuję do syna niezdrowy pociąg – przyznałam się jej ze wstydem.

Spojrzała na mnie zdumiona.

– Przecież to naturalne. Są mężczyznami.

– Więc ty też?

– Jasne. Obciągnęłam mu męskość. Nauczyłam go pettingu i miewam z nim orgazmy. Nie pozwoliłam tylko, no wiesz...

– Więc i ja pozwalałam synowi wejść do kabiny natryskowej. Widząc, że męskość ma w zwodzie, uklękałam...

„Niesamowite! – krzyknął. – Jesteś cudowna.”

Klientka pozbawiła mnie skrupułów. Nie umiem powiedzieć, kiedy przestałam ją masować.

– Więc czego pani ryczy? Czy zrobił komuś dziecko, albo złapał AIDS?

– Pan mnie potępia? Straciłam syna.

– Straciła go pani?

– Ożenił się. W naiwności ducha prosił żonę w łóżku, aby mówiła do niego synku. Opowiedział. Też mi świętoszka bez cnoty! Zapieniła się. Wyrzuciła go z łóżka. Darła się, „że albo ona, albo matka”. Kazała ze mną zerwać pod groźbą rozwodu. Przyszedł się pożegnać. Syn był załamany – powiedziała, oczekując najwidoczniej współczucia. We mnie wzbierał coraz większy gniew do męczennicy świętej sprawy.

– Nareszcie zdobył się na właściwy krok – powiedziałem z zajadłą pogardą.

– Tego nie spodziewałam się tu usłyszeć. Ty, ty dewocie, obłudniku! – wrzasnęła pod moim adresem, nie kryjąc swojej nienawiści i wściekłości. Więcej jej nie spotkałem.

Kosztowne odstępstwo

– Pan Adam? – niewieści głos brzmiał mile.

– Przy telefonie.

– Proszę mi nie odmawiać. Wiem, żadnych zaprosin, nigdzie poza salonikiem.

Cóż jednak warte jest życie bez kompromisów? O odstąpienie od zasady proszę w imieniu pańskiej klientki. Łatwo ją pan sobie przypomni. Słowik z opery, Joanna Z. i własnym. Joanna miała wypadek samochodowym. Boi się wyjść z domu. Ja też proszę. Żywcem by mnie zjedzono, gdybym pojawiła się u pana. Proszą dwie czarujące panie, niech im pan ulegnie. Co mi tam. Wywiesiłem białą flagę. Iść w jasyr takich dam nie sromota.

– Jestem Kira. Aktorka trochę po czterdziestce, feministka, przeciwniczka małżeństwa i niewoli kobiet. Można mnie spotkać w czołówce marszów równości. Stąd, pan mnie zrozumie, trochę mi do saloniku nie po drodze. Mam jednak również niezbywalne prawo obcować z mężczyzną. Nie kryję, że są takie chwile... Podobnie jest z moją partnerką. Zna ją pan z saloniku. Jak nas najdzie, wtedy stajemy się pozeraczkami mężczyzn, cichcem fundujemy sobie randkę. Został, więc pan zwabiony w zasadzkę nieobliczalnych kobiet.

Jakoś zupełnie nie potrafiłem się przestraszyć diabolicznej zapowiedzi. Rozsiadłem się wygodnie w samochodzie, a ona przypięła mnie pasem. Przy tej okazji nie „przypadkowo” otarła się o mnie. „Przypadkowo”, w rozgwarze rozmowy, dotknęła podczas jazdy kilkakrotnie mego kolana.

– Myślę, że nie jest pan wrogiem kobiet, chociaż w tym zawodzie pewno o takie nastawienie nie trudno? – powiedziała po chwili pani Kira. – Czy weźmie mi pan za złe, jeśli się przyznam, że uwielbiam pieścić piersi ładnych dziewczyn? Czy sądzi pan, że jest to przejaw rozwiązłej, chorej wyobraźni? A pan nie wygląda na typ „żarłocznego” masażysty – zaśmiała się. – Chociaż pozory mogą przecież mylić. Pani Kira wydała mi się kapryśna i despotyczna. Przez moment żałowałem, że się dałem na spotkanie namówić. Wcale nie zamierzałem się przed nią usprawiedliwiać, ani o nią zabiegać. Rzeczą sprowadziłem do rzędu usługi profesjonalnej.

– O dziesiątej wieczorem muszę być w domu – oświadczyłem odcinając się od wszelkich prób zażyłości.

– Jeśli czymś uraziłam, to proszę mi wybaczyć – powiedziała aktorka, najwyraźniej poruszona chłodem mojej odzywki. – Joanna uderzyła samochodem w barierkę na Trasie Łazienkowskiej. Bardzo pokiereszowała sobie twarz. Jest typem trochę nie zrównoważonym, nadwrażliwym. To jest głównym powodem, że nie wychodzi z domu. Musi przejść parę operacji plastycznych – zmieniła temat rozmowy.

Jechaliśmy ponad pół godziny. Dom, do którego mnie zawiozła pachniał kwiatami, zwłaszcza bzem.

– Specjalność Joanny – wyjaśniła Kira. – Bez przywiozła z Wilna jej matka. Ona podtrzymuje tradycję. Sadzi bez w donicach. Szczepi na pniu, kwitnie nawet zimą.

Weszliśmy do pulsującego ciepłem pokoju i usłyszałem znajomy, piękny głos.

– To cudownie, że dał się pan Kirze namówić. Serce zamierało mi z niepokoju. Pani Joanna wzięła mnie pod rękę i oprowadziła po obszernym salonie.

– Tu są wnęki w ścianach, a w nich instrumenty muzyczne. Gitara, tam skrzypce, dalej wiolonczela, cygańskie tamburyno. To są moje najdroższe pamiątki. Każda mi kogoś przypomina, wiąże się z niezapomnianą chwilą.

Zdałem się na jej słowa, na opis, na wyczuwalną tęsknotę za minionym.

– Zaszło mi w ustach. Koktajl z anyżkiem, druga specjalność mojej przyjaciółki? – Kira przerwała ekskursję po salonie i podała mi kieliszek.

Usadzono mnie w głębokim, skórzanym fotelu, w pobliżu kominka. W powietrzu snuł się zapach żywicznego drewna i wytwornych perfum. Wykwintne perfumy Trauble, pani Joanny, o których miałem już okazję wspomnieć, były, jak świeża herbata o poranku. Jak jastrząb krążył zapach pachnącej czarnym pieprzem i passiflorą, Red Edition, pani Kiry. Wiedziałem, że tą, która rozdaje karty, jest pani Kira. Wypiłem cocktail anyżkowy i ciepło alkoholu powędrowało żyłami i rozlało się po całym ciele. Rozmawialiśmy o nietolerancji wobec ludzi o odmiennej orientacji seksualnej. Tym razem temat poruszyła pani Joanna. Czekwały na moje zdanie.

Niczego uczenie nie wywodziłem, żadnych „za”, ani „przeciw” nie przytaczałem. Zgodnie z chłopskim rozumem oświadczyłem, że dobre jest to, co odpowiada obu stronom. Zyskałem uznanie pań. Następny koktajl anyżkowy przybliżył nas sobie. Darowałem pani Kirze jej nienaturalny ton rozpuszanej bachantki. Obie urocze istoty piły na dywanie, wśród sterty poduszek, u moich nóg. Panie gładziły moje dłonie wypielęgnowanymi palcami, spletały je z moimi. Podniecony i ośmielony tyloma wyrazami sympatii pomyślałem: „Czemuż bym nie miał się czuć, jak gość? Zaproszono mnie na określoną okoliczność, tym niemniej. Stać mnie na to, by spotkanie uznać za towarzyskie, bez żadnych zobowiązań finansowych z ich strony. A jeśli mnie wyszydzą?

– Proszę mnie traktować, jak przyjaciela, wobec którego nie ma się żadnych zobowiązań – powiedziałem.

Przyjęły to oświadczenie z niezwykłą serdecznością.

– Jakie to miłe, panie Adamie – zawołała skora do uniesień śpiewaczka.

Romans kominkowy nabrał wyrazistych kształtów i w drgającym cieple stał się grą miłosną, trzech osób. Rozpiąłem długi szereg guziczków u bluzki pani Kiry. Wyczułem, że obie panie z niepokojem śledzą i oczekują na moją reakcję.

Lepiej trafić, nie mogły. Byłem jej osobliwymi, długimi jak zeppelin piersiami zafascynowany. Nachyliłem się i nie powstrzymałem, aby nie pocałować je, wziąć je po kolei do rąk i nie wypełnić sobie usta tą fantazyjną w kształcie, kobiecą pysznością. Słyszałem podniecony oddech Kiry i zawistny, Joanny. Zrzuciła bluzkę uwalniając sprężyste kule. Nie byłem jedynym koneserem, obłych kształtów. Panie też je u siebie ceniły.

Zsunąłem się z fotela na dywan, przywracając przyrodzony porządek rzeczy. Współdziałając obnażaliśmy się. Ściągały ze mnie spodnie. Wyłuskiwałem je z majteczek dotykając zarostów. Używaliśmy wymyślnych porównań i bawiliśmy się tym świetnie.

– Biodra, jak hamak.

– Bile.

– Zarośnięte uroczysko.

– Karczochoy – cycuchy.

– Druciana kotka.

– Klata.

Zrzucaliśmy resztkę odzienia. Wśród nas nie było miejsca na wstyd, czy zażenowanie. Prześcigaliśmy się w wyrafinowaniu i perwersji. Czułem czyjaś miękka kotkę przy ustach.

– To ja – oświadczyła pani Kira.

Na moich plecach spoczęły ogniste kule

– To ja – poznałem głos pani Joanny.

Podniety wskrzesiłyby nieboszczyka, a cóż dopiero wiecznie niespokojnego wielgachnego.

Zastygł, jak zahipnotyzowany wąż. Więc nie dziwota, że zamilkły.

– Wbić na pal czarownicę Kirę! – ogłosiła wyrok na siebie grobowym głosem, już na małym rauszu, aktorka. Poczułem jej ciepłą dłoń obejmującą mocno moją męskość.

– Też jestem jawnogrzesznicą i tuszę, że pal mnie nie minie – Joanna pocierała się piersiami o mój brzuch. – Niedźwiadek. Ach! – jęknęła i osunęła się na dywan wraz ze swoim soczystym i lepkiem ciężarem.

– Nie umiesz się wziąć w garść. Raz za wcześnie, kiedy indziej, w ogóle! – głos pani Kiry nagle stał się ostry. – Wolisz, żebyśmy cię zostawili, czy baty?

Zaniepokoiłem się.

– Baty – odpowiedziała, chrypiąc Joanna. – Spróbuję się powściągać.

– Więc baty. Gdzie dyscyplina?

– Schowałam.

– Oddaj.

– Odpuść.

– Baty ci dobrze zrobią.

Kira nagle odstała od chłosty. Spór minął bez echa. Byliśmy w komitywie, nic nie uległo zmianie.

– Wypijmy brudzia. Niezręcznie mówić do nagiego chłopca pan, a do gołej

baby, pani – zaproponowała Kira.

– Jasne – przystałem.

– Zaśpiewaj nam coś, Joanno – poprosiła.

– Dobrze, ale każdy zgłosi swoje jedno życzenie. Bardzo mi się podobała poprzednia zabawa w słówka.

– Dwa życzenia zgłosi ten, kto wymieni najwięcej nazw szparki – zaproponowała.

– Nie tylko cipki. Synonimy palowania też! – krzyknęła Kira.

Atmosfera zagęszczała się coraz bardziej, coraz szybciej zdążając do konkretów. Najmocniej na ogniową próbę wystawiony byłem ja. Panie nie przepuszczały, bowiem żadnej okazji, aby nie okazać swoich względów, dopominającemu się o pieszczoty wielgachnemu.

– Jamka, loszek, szparka, szczelina, piczka, muszla, wawóz, łasiczka, baranek, futrzak, mufka, język, wrąbek – strzelała Joanna.

– Brożek, sieć, źródelko, gejzer, wnyk, rożek, łódeczka, dziupla, bramka, dupa, pupa, wyrwa, kanał, chodnik, rynna, piórnik, futerał, skarbczyk, pinda, przesmyk, kołnierzyk, rozperek, pęknięcie, rozpadlina, siedlisko – wyrecytowała Kira.

– Kotek, kozuszek, wyderka, króliczek, toczek, sakwa, szyjka, sztolnia, życ, sak, Yoni, suwak, kielich, ukwiał, meduza, skiba, rysa, oczko, wlot, dziurka – zgłosiłem.

– Fajnie! – wykrzyknęły.

– Nie będziemy liczyć, bo wygrał Adam. My mamy po jednym, a Adam dwa życzenia – zdecydowała Kira.

– Joanna pierwsza! – przeważyla we mnie chuć do jej kul bilardowych.

Chciało mi się spokojnego, uległego kobiecego ciała.

Czułem ostry ruch w interesie.

– W oczko – powiedziała Joanna.

– Lubi robić za suczkę!

– Ty za dziuplę! – odgryzła się Joanna.

– Konkrety – rzekłem.

– Musisz trafić bez rąk. Kira cię naprowadzi. Ciepło, zimno, no wiesz...

Szukaj mnie na klęczkach. Oczko się niecierpliwi.

Ruszyłem. Węch i słuch prowadziły bezbłędnie. Nie byłoby zabawy, gdybym cel namierzył z precyzją rakiety „patriot”. Kluczyłem, pozwoliłem na parę zwodów i ją nadziałem.

Była cudem kobiecej architektury. Układała się, jak irchowa rękawiczka. Płynnie pokonywałem przewężenia, pochyłości, progi, obramowania, uskoki. Doznałem tysiąca łagodnych ugniatań, ucisków, dławienia, zasysania, głaskania i tarcia. Wsunąłem się w nią po nasadę wielgachnego i uznałem, że spełniłem podstawowy warunek gry.

Uchwyciłem dyndające się piersi, a waząc je w dłoniach, ugniatałem, do pierwszych odznak bólu. Przemierzałem sak sprężystym pojazdem. Docieraliśmy się. Naprowadzała uderzenia długiego bata na pożądlivego, preżącego się w głębi gnoma. Spierałem się z jej mięsistym wnętrzem, zmuszając ją do pierwszeństwa. Tłamsiliśmy się brutalnie i lubieżnie nie oszczędzając sobie bólu. Skupiłem wszystkie dotychczasowe doznania w jedynej sprężonej dźwigni, aż spór rozstrzygnął gwałtowny i pożądanym remis.

– Uuuu! – zawodziła Kira. – Rozgarniałeś ją sobie tym szpadelkiem. Tyś ją gwałcił! Uuuu!

Wypiliśmy koniak i zagryźliśmy kanapką z kawiozem. Ikra jest podobno niezastąpiona. Mnie ona nie była konieczna. Od razu zauważyła to Kira. Delikatnie gładziła mi pępek. Widząc to, co ja czułem, pociągnęła mnie za rękę.

– W tańcu masz wlecieć do dziupli – przytuliła się kokieterycznie.

– Co to za taniec?

– Proponuj! – odpowiedziała zdławionym głosem.

– Rock and roll?

– Świetnie.

Utrzymywałem dystans. Już mi pośpiech nie leżał. Jej i owszem. Napraszała się, bym jej to zrobił. Gdyby odwrócić role, natychmiast przebiłaby mnie kołkiem,

jak wampira. Ale to ja byłem właścicielem zaklętego drzewca, a ona moją ofiarą. Zakleszczyła uda wokół moich bioder, aż się zachwiałem łapiąc równowagę. Uchwyciłem ją w krzyżu. Stęknęła.

Widziałem nad Sanem ważki, spięte z sobą. Kopulowały, przelatując z miejsca na miejsce. Nigdy nie zauważyłem, aby się rozszczepiły. Podobnie było z nami.

W rytm muzyki szukaliśmy uniesienia. Kira biodrami kreśliła elipsę. Do tyłu sięgała rękami puszystego dywanu. Siecią zgarniała mnie do siebie. Zatrzepotała rękami. Osunąłem się na kolana.

– Pożre cię, jak jakaś modliszka – Joanna rozpustnie nas dotykała.

To nowe perwersyjne doświadczenie zaowocowało moim nieoczekiwanym szczytowaniem.

– Ałła! – łkała jak użądlna Joanna. – Ty go kochasz! Ałła!

– Nie opera! Nie rób scen! – wydobyła w końcu z siebie głos Kira. Zabawne.

Są o siebie zazdrosne – pomyślałem.

Ułożyliśmy się we tróje na mały odpoczynek. Kira wsunęła mi się między kolana i przylgnęła policzkiem do wielgachnego. Ja spocząłem z głową na kędzierzawym łonie Joanny, a ona z matczyzną delikatnością rozczesywała mi palcami włosy. Nie wiedzieć, kiedy zdrzemnąłem się. Ocknąłem się słysząc odgłosy miłosnych zmagania. Miałem jasek pod głową. Siedziałem jak mysz pod miotłą, zaciekawiony i zafascynowany prawdziwością przeżywanej przez nie ekstazy. Moje panie baraszkowały ze sobą w zasięgu ręki. O mnie zapomniały. Odurzająco pachniały. Padały krótkie słowa, przerywane szlochami, okrzykami, zachwytem, podziękowaniami, upomnieniami, wyznaniem.

– Och, Jo! Tak! Nie bój się, Jo! Pchnij i... Jo! Masz ją całą... Jo! Nie głaszcz, a bierz! Nie zbywaj mnie, bo cię zostawię!

– Nie przerażaj mnie, Ki! Zrobię zawsze, co zechcesz. Tylko mnie nie przerażaj, Ki!

Zauroczyły mnie te skróty imion. Spierały się, jak kochankowie. Pozwoliły mi być przy sobie i obdarzyły niezrozumiałym zaufaniem. Leżałem obok zacząłem dotykać ich rozognionych ciał. Moja wyobraźnia odtwarzała sytuację. Jo

pochylona nad Ki, z zatopionymi piersiami w puklach jej wzgórka łonowego. A na odległość dłoni przed jej oczami lśniła bruzda wiodąca w głąb tajemnicy Ki.

Ki, miała nad sobą łuk złocistych ud Jo. W ich głębi, skibę rozoraną i pachnącą. Z tej perspektywy Ki, oglądała Jo, rzadko. Pozycja od dołu przypisana była z reguły Jo.

– Och! Och! Och! – szczytowała Joanna.

Na chwilę umilkły.

Sięgnąłem w kierunku Joanny. Prześliznąłem się dłonią wzdłuż kręgosłupa do górnego wgłębienia.

– Łał!

Podsunęła pudełko. Trafiłem palcem w krem.

– Chyba ją szlak trafi! – zawyrokowała Kira. – Tym goliatem?

– Popatrz, jak ja musiałam patrzeć, gdy chciałaś go pożreć jak modliszka.

Wtrąciłem się.

– Czy mogę mieć życzenie?

– Nawet dwa.

– Więc Joanna teraz zajmie się tobą Ki. Doszlusuję.

– Sprytnie – powiedziała Kira, w lot chwytając mój zamysł. Więc ciebie rusza gra między nami?

– A w trakcie, Kira deklamuje.

– Ma prawo żądać, czego chce – poparła mnie Joanna. – Ki zadeklamuj fragmenty Piczomiry.

Panie się skonfigurowały. Sprawdziłem. Krocze Kiry było obiektem zainteresowania Joanny. Pośladki Joanny, moim.

– Słuchamy Kiry – przypomniałem.

Recytowała pikantniejsze fragmenty. Wyglupiała się.

– Dasz jej zamarznąć? – spytałem Joannę.

– Przecież deklamuje – otarła się o mnie.

– No właśnie!

– Kirze nagle słowa ugrzęzły w gardle. Bez trudu domyśliłem się przyczyny.

Zdumiewał mnie fakt reakcji, jakbym jej robił to ja, a nie kobieta.

Podniecenie, jak epidemia, przeszło na Joannę.

Pacnąłem kremem i wtargnąłem między pośladki Jo. Kiedy chciałem się pod presją jej jęków z wnętrza wycofać, przewężenie, z którym walczyłem, skończyło się. Smukłe palce Jo natychmiast sprytnie wyszperały w gęstwinie włosów skryte atrybuty mojej męskości. Pieściła mnie od tej strony. Nie zaniedbała również Ki, bo ta biadała namiętnie i trzęsa się. Jej obłudne jęki: „Chyba zejde!” – najlepiej o tym świadczyły. Prężyla się pod Jo, jak wściekła kocica. Zapewne wdrapywała się właśnie na bardzo wysoki, przeciwległy brzeg zaspokojenia. Na swoją przeprawę czekała Jo.

Skrupulatnie nie odpuszczałem jej tyłeczki. Teraz na zmianę Ki zajęła się jej łechtaczką. Czasem też dotykała wielgachnego. Na sprawie się znała. Na przemian, otwierane i zamykane, pieszczone i pozostawiane sobie, utkane z milionów przekrwionych tkanek wierzeje dolne i górne Jo, jakby zobojętniały. Potrzebowały bardzo silnego kopa, by się z hukiem rozewrzeć. Dziewczyny miały na wszystko sposób.

– Ki, dyscyplinę schowałam za kominkiem – wychrypiała Jo. Ki wydobyła się na powierzchnię. Majstrowała coś z wilgotnym ręcznikiem. Położyła go Jo na pośladkach i zaczęła ją ćwiczyć dyscypliną.

– Boli! Oj boli! – poszczególne wyrazy zlały się w jedno długie booooli!

Razy nie ustawały. Czekałem, kiedy i mnie się oberwie. Jo wróciła energia. Ścisnęła wielgachnego gdzieś w swojej głębi żelazną garścią. Moje dłonie podłożyła sobie pod piersi.

– Daj czadu! Niech z siebie wyrzuci! – mruknęła Ki, jakbym był egzorcystą.

Wielkie piersi chwyczone od tyłu dostarczają przedziwnych emocji. To powrót do dalekiej przeszłości. Nie żałowałem, ani piersi Jo, ani jej zbitego i sponiewieranego tyłeczka. Wcale nie z myślą, by wygnąć „złego”. W przeciwieństwie do Ki, oczekiwałem po Jo czegoś wspaniałego. Oboje nagromadziliśmy w sobie nieprzebrane emocje.

Już gra w oczko zapisała mi się w pamięć, kto wie czy nie na długo. Chcę

powiedzieć, że nie było mi spieszno. Ki widocznie puściły nerwy, lub może, co bardziej prawdopodobne, stała się o Jo zazdrosna. Jo upadła na brzuch, co pozwoliło mi na niej siedzieć, jak kogutowi na kurze.

Doznania, jakich mi nie szczędziła, musiałbym ująć w słowa, których ustrzegłem się szczęśliwie dotychczas. Każdy z nas przeżył zapewne coś, czego się wstydzi i pragnie. No i wreszcie to nastąpiło przy akompaniamencie bezrozumnego bełkotu.

Drżeliśmy, jak w febrze, jak po biegu o życie. Jo udała się do łazienki. Ki siadła i oparła się o mnie.

– Budzisz grozę.

Nie dopytywałem się, co miała na myśli. Wstała i poszła do kuchni. Siedziałem w fotelu, gdy wróciła Joanna. Położyła głowę na moich nagich stopach, wzięła do ust palec, więc zrobiło mi się okropnie wstyd.

– Przeżyłam z tobą wspaniały strach, ból i grzeszną rozkosz – oświadczyła cicho. – Będę tęsknić. Wszystko poprzestawiałeś. I wyżej i niżej. Czy się ze mną spotkasz? Zadzwoń.

– Nie – sprzeciwiłem się. – Muszę wracać do swojej rzeczywistości.

– Ja nie mam gdzie wrócić. Jestem oszpecona. Nie widzisz tego.

Byłem wstrząśnięty.

– Zły los. Coś mi o tym wiadomo. Masz piękny głos i wspaniałe ciało – szklilem, czując do siebie odrazę. Na pewnym etapie człowiek musi mieć wsparcie innego. Potem wszystko wyrównuje życie – pomyślałem.

To „potem” nastąpiło niemal natychmiast. Nie mogła sobie darować uciekających chwil.

Dotknęła mnie.

Potężna zsiniała maczuga. Poczulem jej gorące usta.

Jak nie wiele potrzeba, żeby znowu. Sądziła, że po tym, co między nami zaszło, może sobie pozwolić na wszystko, nie oglądając się na pozory.

Leżąc na podłodze podrygiwałem i szukałem jeszcze jednej podniety. Udostępniała mi ją. Łaskotała moje wargi wilgotnymi włosami krocza. Prężyliśmy

się i elektryzowali. Słała odurzające zapachy. Wybuchłem. Wrzała i niepojętnie mlaskała.

– Napełnijmy żołądki – przerwała karesy Kira. Była urażona, że robiliśmy to podczas jej nieobecności.

Przechodząc otarła się o mnie wyzywająco. Usiadła mi na kolanach.

Jedliśmy i piliśmy.

Kira odstawiła talerzyk z łoskotem na stół.

– Rozwydrzona! Bezceremonialna! – Joanna mówiła falsetem. – Będiesz go wysiadywać z kamienną twarzą? Oniemiałaś? Wszystko się we mnie wywraca na nice. Czy ja, ani krzty się już u ciebie nie liczę?

Rzeczywiście od paru chwil Ki siedziała mi już nie tylko na kolanach. Jo wyrzucała jej to głosem dotkniętej kochanki. Sięgnąłem po osobliwe kolby Kiry i napotkałem sterczące precjoza siedzącej już obok Ki, Joanny. Nie próżnowały. Kirze nie przeszkodziła intymna więź ze mną. Panie mocno i pożądliwie biczowały się piersiami.

– Jesteś Jo, słodka – szepnęła Ki. – Wiesz, że liczysz się tylko ty. Po co więc... Wszak potrzebna nam ta odrobina zazdrości i ociupina męskich hormonów. Jo! Płynę, Jo! Wskrześ w sobie wyobraźnię. Jo! Bądź ze mną jednym ciałem! Jo, ty to potrafisz! Ki rozpustnie zawodziła, a Jo jej wtórowała. Obie szczytowały żywiołowo.

– On jest niesamowity. Joanna pocałowała mnie w usta i perwersyjnie uwolniła szparkę Ki wyciągając z niej wielgachnego. – Mógłbyś wypełnić spermą setkę kobiet – dodała wycierając instrument chusteczką. I nie gniewaj się na babskie pyskówki.

– Adam ma prawo raz jeszcze nas sobie wystawić. Wykorzystał tylko jedno życzenie – stwierdziła Kira.

– Żeby ten pan w kuchni w końcu do nas dołączył – powiedziałem.

Zapanowało milczenie.

– To stróż paru posesji, w tym i Joanny – wyjaśniła niepewnym głosem Ki. Ma własne klucze, dogląda kotłowni.

– Czasem nas palikuje – przyznała Joanna z dziecinną szczerością.

– I o to chodzi – stwierdziłem.

– Drzewa naznosiłem. Czekam tylko na jednego gościa – usłyszałem głos niezbyt lotnego faceta.

– Czy ona rozmawia z nim goła? – spytałem Kirę.

– Nie bardzo miałyby jeszcze, co przed nim ukryć.

Więc z nią nie jest najgorzej – pocieszyłem się z ulga.

– Zostań z nami, Oleksy – zaprosiła Joanna.

– Trochę z czasem – nagle zamurował go mój widok. Kira nalała mu do kieliszka i przestał marudzić.

– Pan sam jeden? – spytał z uznaniem. Wyczułem, że na końcu języka ma pytanie o wzrok. Ale obie panie nie pozwoliły mu na to.

– Roździej się i idź Oleksy pod prysznic.

Tę drogę najwidoczniej znał. Więc nie był tak całkowicie anonimowy. Nie tylko moje życie to wielki pornos.

– Tyle, że zaraz przyjdzie kolega – nadmienił. – Miarkowaliśmy iść do jednych takich.

Do drzwi kuchennych ktoś zastukał.

– To ten gościu, kumpel.

– Co wy na to? – spytała Joanna. – Gość niczego sobie.

– Czy masz Jo dla wszystkich prezerwatywy? – spytała rzeczowo Kira. Nowo przybyły zbaraniał na widok tłumku nudystów. Ale głowy nie stracił.

– Co jest grane? Pornosa kręcicie? Super! Mam dziewiętnaście centymetrów, to się nadam.

– Ja go najpierw pod prysznic, prawda paniusiu?

– Tak, Oleksy. Tak, Adamie.

– To niby ja, którą? – zagadnął goły już, jak święty turecki, mój imiennik Adam.

Gościu, zachwalał osobiste wyposażenie, ale słyszalnych reakcji pań na jego autoreklamę nie stwierdziłem. Sprawę rozgrywały w podejrzanym cichości. Dopiero okrzyk Joanny rozświetlił trochę sytuację, i wskazywał na jakąś formę „degustacji”:

– Rozstrzelał mi spermą fotografię z Antałówki na fortepianie!

– Wszyscy lecą na wytrysk. Czytałem. Mogę „demonstre” ze trzy razy! Teraz na zmianę do rączki weźmie go ta mniej puszysta. Szkoda, że pan nie widzisz. Mnie dużo nie potra! – zachęcał gościa Ki.

Wstałem z fotela.

– Oho! – nie kryli swego uznania goli dżentelmeni.

– Czy ty go kiedyś sobie zmierzyłeś? – zapytał mnie z respektem gościa.

Dostał kielicha. Sądząc po ilości nalewanego trunku dawkę niemal śmiertelną i się zamknął.

Mieliśmy wszyscy w czubie.

– Zrobimy korowód – Joanna tryskała humorem. – Dookoła salonu. Robię muzykę i poprowadzę.

– Krzyknę stop i wszyscy się zatrzymają – wzbogacałem pomysł. Panie wybiorą panów. Poza mną.

– Czy „doszłusujesz”? – upewniła się zapobiegliwie Joanna.

– Która z pań zatrzyma się w tańcu później, ta będzie później kochana.

– Fiu! Fiu! – zagwizdała domyślnie Kira.

– Na dwa baty?

„Oblatana nie tylko w aktorstwie” – z moich „spryciar” opadła kolejna zasłona. Nic nie było nowością.

Joanna nastawiła polkę-galopkę. Ruszyliśmy. Byłem na końcu korowodu i trzymałem za rękę Ki. Zazdrościłem widoku nagich, rozbawionych ludzi. Gdyby mnie ktoś wtedy upewniał, że nic nie tracę, rzuciłbym mu w twarz: – Ty hipokryto!

W pomieszczeniu unosił się zapach podnieconych ciał.

– Stop! – krzyknąłem.

– Spóźniła się Jo – zadenuncjowała Ki. – Idę na pierwszy ogień.

Instrukcje mogłem schować dla siebie. Panie już niczego nie udawały. Najbardziej zaskoczony obrotem sprawy byłem ja. Ki mościła się w siodle tego, co się szacował się na dziewiętnaście. Pewno miał, bo stęknęła.

– Sama widzisz, laleczko – dał dumnie głos z pod Ki, dziewiętnastka.

– Z ciebie obcęgi – pochwalił.

Pochyliłem się nad grzbietem Kiry i wbiłem się między pośladki.

– Och! – jęknęły obie niewiasty.

– Jakbym to czuła w sobie – mruknęła Jo.

– Na dwa baty – zamruczał chwając się znajomością rzeczy dziewiętnastka.

Stróż, czy adonis od Joanny, niegroźnie zaklął:

– Mam się patrzeć? Proszę paniusiu, dupci, bo polecę w konia. Po chwili już głośno stękał, a we mnie zagościło niejasne uczucie zazdrości na wspomnienie krzywizn ciała Joanny i niezbadanych i zaskakujących dróg prowadzących do wnętrza.

Ki opętał szal. Ból splótł się z potężną falą rozkosznie płynącą przez niemal wszystkie narządy organizmu. „Dziewiętnastka” doświadczył od partnerki nagłego braku respektu dla męskiej płci, nieokiełznanej chęci wyżycia się na nim za diablo duże dwie męskości, które zbyt lekkomyślnie wpuściła naraz do swego wnętrza. Biła go pięściami, targała za włosy. Byłem od „dziewiętnastki” w lepszej sytuacji, bo do tyłu nie mogła mnie sięgnąć. Ja łatwo ją mogłem okiełznać. Była pode mną, i to ja byłem źródłem jej bólu. Zblatowałem się z parterowiczem. Ścisnąłem jej serdelkowate piersi, jak Soni kolczatkę. „Aluzja”, kto tu rządzi, dotarła do niej. Wygięła się w krzyżu i pozwoliła facetowi pod spodem fedrować. Wbiła weń pazurki ponownie, gdy w niej eksplodował. Od tej chwili trzymał ją za ręce, aż dotarłem do tych tajemniczych neutronów, które ból przekształcają w porażającą rozkosz.

Popiskiwanie Jo dowodziły, że i ona jest na rozkosznej ścieżce, ale się mozolnie po niej wspina. Znając topografie jej brozka, chodziła mi myśl, że stróż jest dla niej przykrótki, i stąd zwłoka czasowa. To i lepiej, bo pozwoliłem sobie odsapnąć i przyśpieszyłem „dojrzewanie”, wsłuchując się w odgłosy ich zmagania. Podniecił mnie zapach Jo. W przeciwieństwie do Ki, Jo współpracowała z partnerem lojalnie.

Obmacałem drgającą wciąż rytmicznie parę.

– Parter ja! Ty balkon! – poleciłem palaczowi. Nie był zachwycony.

Trudno. Wielgachny musiał osiągnąć pełnię gotowości. Jo była tą sytuacją zaskoczona i rozhisteryzowana. Chciałem się wycofać, ale nie pozwoliła. Dosiadła mnie i łaskawie, własnoręcznie dokonała wielgachnym kolejnej „defloracji”, poczym

nakierowała pupę na stróża. Rozkosznie jęknęła.

– Dotarłeś – szepnęła mi w ucho. – Czuję cię macicą. Nachyliła się nade mną i musnęła sutkami usta. – Weź je. Uwielbiam.

– Tutaj? – Palacz na widok pośladek najwyraźniej się zawahał. Miał za złe nagłą zmianę lokalizacji. Trochę zgłupiał.

– Załatw ją – powiedział „dziewiętnastka” głosem światowca. – Posmaruj i załatw. Daj! Ja to zrobię.

– Dobra, dobra...

Jo nagle stęknęła boleśnie. Odchyliła się do tyłu i zamarła w bezruchu.

Palacz zagłębił swój szpadel w spulchnionej ziemi.

– Grzeje – mruknął bardzo usatysfakcjonowany i zwalił się na plecy Joanny

Jo zacisnęła znajomą mi obręcz. Wielgachny pęczniał.

Ciasne, przemieniło się w kleszcze. Jo usiłowała wyrwać się nam obu. Za późno. Palacz trzymał żelazną ręką za pękate, lepiące się piersi.. Wierzgała, jak umęczone zwierze. Pojawiła się Ki. Nigdy nie miała dosyć, jak kot kamfory. Położyła sobie na kolanach głowę Jo. Całowała ją i ponaglała. Kucnęła i jej uda znajdowały się nad moja twarzą.

Wzięło mnie. Uderzałem w głąb Jo, jak bokserską rękawicą. Palacz odpadł gwałtownie zapominając, lub mylnie sadzące, że z pupy też trzeba uciekać. Jo leciała przez ręce. Przyłgnęła do mnie, jak gorący naleśnik, a ja się dobierałem do niej wciąż głębiej i głębiej. Rytmicznie uderzałem w jej gorący, twardy matecznik.. Miałem nieodparte wrażenie, że się dla mnie rozwiera i obejmuje skrawek najdalszej i najgorętszej część wsuniętego w nią mego ciała. Ustami i językiem dotykałem rozwartych nade mną ud Ki. Tym razem z cudownym wyczuciem spazmowaliśmy we trójkę.

W najlepszej komitywie, pospołu, ruszyliśmy do ogromnej łazienki. Kira obiecała mnie odwiedzić do domu. Trochę się tego bałem, bo przecież wypła. Telefon z miasta przyjęła Joanna i była wyraźnie zdumiona.

– Kto mógł wiedzieć, że jesteś tutaj? – spytała mnie. – Czy komuś opowiadałeś? W saloniku podobno od dawna czeka na ciebie matka. Nie wzięła

kluczy do mieszkania.

Jechaliśmy z Kirą samochodem w kierunku Warszawy.

– Stanę – powiedziała. – Jakaś kobieta macha chusteczką.

– Nie. Lepiej nie. Wypiłaś.

Zatrzymała się i uchyliła szybę. Ktoś szarpnął mocno drzwi samochodu od mojej strony, odpiął pas, chwycił mnie za włosy i wywlókł na zewnątrz. Próbowałem wstać, ale mnie kopano. Uchwyciłem czyjąś nogę i coś w niej chrupnęło. Ktoś ryknął, ktoś inny nastąpił na mnie nogą.

– Ślepy pies gryzie – usłyszałem, jak przez mgłę kobiecy głos.

Krzyczała Kira. Wtłoczono mnie do bagażnika. Waliłem pięściami w nadziei, że mnie ktoś usłyszy. Samochód pokonywał wertepy, obijałem się boleśnie o blachę. Zatrzymali się. Wywleczono mnie znowu na ziemię. Usłyszałem jakże znany mi tembr głosu pani H.H.

– Oj, niegrzeczny. Uprzedzałam, że w interesach jestem bezwzględna.. Szkoda, że musisz tego doświadczyć. Czy mało ci było u mnie pieniędzy? Związałeś się z ”psami” i rujnujesz biznes.

– O niczym nie wiem! – usłyszałem histeryczny szloch Kiry.

– Czego od niej chcesz? – krzyknąłem.

– Oboje do wykopu i zasypać żywcem – powiedział głos męski. – To dodatkowa kara za rżnięcie Halszki.

Rzucono mnie, jak worek do dołu. Na mnie zrzuciono Kirę. Posypał się piasek.

– Dosyc – usłyszałem głos mojej chlebowdawczynie. – Wpierw mu wytnijcie.

Byłabym niepokieszona, gdyby miał, czym rżnąć aniołki. A z nią, jak chcecie.

Niepotrzebnie się zaplątała. Jeśli jest chętny, to baba niech ma swoje ostatnie pięć minut.

– Ręce do góry! Policja!

Rozległ się tupot nóg. Nad wykopem padł strzał. Jak oszalała krzyczała Kira. Coś uderzyło mnie w głowę. Leżałem na wersalce. Obok siedziała doktor Elżbieta.

– Nie mogę uwierzyć w nikczemność Haliny. To szok.

– Co się stało z Kirą? – spytałem.

– Żyje. Jest potłuczona.

– Podsunęli panu fałszywkę o dużym przerzucie, a myśmy chwycili. Stąd dowiedzieli się, że pan nas informuje – wyjaśnił sprawę lakonicznie inspektor Koźlak. Byliśmy na podsłuchu, więc mogliśmy przeciwdziałać. Komendant policji przyznał panu nagrodę.

– Pan mnie uratował.

– Razem ich posadziliśmy i razem dopilnujemy, żeby nie wykręcili się sianem
– zbył moje podziękowanie inspektor.

Niezwykłe rozpoznanie

Sędzia nie wierzył własnym uszom.

– Mamy zidentyfikować oskarżonych na podstawie węchu świadka? Czy oskarżenie wnosi o taki właśnie rodzaj identyfikacji?

– Sprzeciw, wysoki Sądzie. – Z ławy podniósł się adwokat pani H.H.

Rozprawa nie dotyczy perfum pani H.H.

„Damski gang”, jak okrzyknęła go prasa, cztery niewiasty i dwóch mężczyzn siedziało z podniesionymi głowami, jakby rozprawa nie ich dotyczyła.

– Czy oskarżona potwierdza, że świadek poznawał klientki po zapachu? Że również ją w ten sposób bez trudności poznawał? – spytał prokurator panią H.H.

Spojrzała zimno w kierunku Adama.

– Nie wiem. Było to dla mnie bez znaczenia. Nie mam zwyczaju spoufalać się z ludźmi pokroju świadka.

– Czy, zatem oskarżona nie pochwała działalność prowadzonej przez siebie firmy? – Prokurator nie krył sarkazmu.

– Może pan myśleć dowolnie.

– Czy oskarżona była również klientką świadka?

– Sprzeciw, to nie dotyczy sprawy. Oskarżenie narusza intymność mojej klientki – powiedział jeden z obrońców pani H.H.

– Proszę odpowiedzieć – podtrzymał pytanie sędzia.

– Nie.

– Odczytam zatem fragment zeznania ofiary – powiedział prokurator.

– „Pani H.H. była moją klientką. Na łonie i na lewym pośladku ma myszkę, której dotknięcie bardzo ją wyhamowuje. Używa na zmianę perfum... uwielbia sex...”. – Prokurator przerwał.

– Być może byłam. Szczegół bez znaczenia – sprostowała swoją odpowiedź oskarżona H.H.

– Kiedy przekonam się, co do zasadności zgłoszonego przez oskarżenie wniosku o sposobie identyfikacji oskarżonych przez świadka? – przypomniał

przewodniczący zespołu sędziowskiego.

– Proszę o powołanie w charakterze biegłej panią Liliann Krentz, przedstawicielkę firmy Azzaro z Lionu. Pani Liliann przywiozła próbki perfum. Proszę wysoki Sąd o zgodę na przekonywujący eksperyment potwierdzający niezwykle i wiarygodne umiejętności świadka, któremu węch zastępuje w wielu wypadkach oczy. Węch pozwala mu nieomylnie poznawać raz spotkane osoby – powiedział prokurator. Sędzia przewodniczący spojrział na dwie sędziny i na ławników.

Kiwnął przyzwalająco głową.

Pani Lilian wyjęła z nesesera flakonik i dała mi go powąchać.

– Nazwy tych perfum nie znam – powiedziałem.

Na sali zapanował konsternacja.

– Ich skład to zielone jabłko, czerwona pomarańcza, poziomka, melon, arbuż, róża, fiołek, konwalia, piżmo, ambra, drzewo sandałowe – wymieniłem składniki perfum.

– Brawo! – krzyknęła pani Lilian i zasłoniła sobie ze strachem usta. –

Przepraszam, Wysoki Sąd. To był odruch. W istocie. Nie wymienił pan jedynie bobu tonka – potwierdziła już całkiem rzeczowo pani Liliann i podeszła znowu do mnie.

– To są True Star. Boucheron. Kardanom, bergamotka, róża, jaśmin, pieprz, cynamon, ambra. Używa je pani H.H. – stwierdziłem.

– Sprzeciw! – zerwał się z siedzenia adwokat oskarżonej. Mamy do czynienia ze śmiechu wartą mistyfikacją.

– Czy używa pani takich perfum? – spytała sędzina.

– Używam różnych perfum – odparła wyniośle oskarżona.

– Tak – potwierdziłem. – Pani H.H. na wieczór używa perfum Aniel, Thierry Mugler – wtrąciłem się niepytany. – Pani Liliann podała mi flakonik.

– To są właśnie te drugie perfumy używane przez panią H.H.: Angiel – mandarynka, jeżyna, bergamotka, jaśmin, ambra – wyjaśniłem.

– Oba flakoniki perfum zabezpieczone zostały u oskarżonej w czasie przeszukania – poinformował prokurator. – Proszę Wysoki Sąd o zgodę na

przywołanie na salę paru asystentek pani Krentz. Rozwieją wszelkie wątpliwości obrony.

Na salę rozpraw weszły trzy modelki. Trzymały w ręku ponumerowane flakoniki. Nawilżyły nimi odpowiadające numerom flakoników batystowe chusteczki i schowały je do torebek. Flakoniki postawiły na stoliczek obok protokółantki.

– Proszę Wysoki Sąd o dopuszczenie flakoników, jako dowodów – zgłosił wniosek prokurator. – Proszę ławników by wskazali kolejność podchodzenia asystentek pani Lilian do pana Adama Tobuza.

– Wymieniałem po kolei nazwy znanych perfum, a pani Liliann potwierdzała trafność odpowiedzi, podając kolegium sędziowskiemu flakoniki z numerami odpowiadającymi numerom na batystowym chusteczkach.

Sędzia podziękował pani Liliann i jej asystentkom.

– Proszę, w oparciu o wcześniejszą opinie ekspertów znajdującą się w aktach sądowych oraz w oparciu o obecną stwierdzoną wiarogodność świadka, o zgodę na identyfikację przez niego oskarżonych – zgłosił wniosek prokurator.

– Sprzeciw. To nie jest agencja towarzyska – stwierdził jeden z obrońców oskarżonych.

– Niepochlebna autosugestia – cierpko zauważył sędzia. – Nie mamy jednak wpływu na dobór oskarżonych – zaznaczył i sprzeciw odrzucił. Podprowadzono mnie do ławy oskarżonych. Bez trudu, choć panie, jak sądzę, z racji regulaminu więziennego nie były wypachnione, wymieniałem ich nazwiska. Mężczyzn z nazwisk nie znałem.

– Ten był w czasie napadu na mnie i panią Kirę – stwierdziłem. – Ze znanych mi osób zamieszanych w proceder nie ma oskarżonej Alicji Bednarz.

– Nie ma – potwierdził sędzia. – Wprowadzić oskarżoną Jadwigę Kopec, vel Alicję Bednarz – zarządził.

Weszła, a ja nadśluchiwałem. Żadne brzęczenie nie doszło moich uszu. Zapach był jednak ten sam: słodki, trwałe, odurzający.

– To ona – rzekłem. – Jest bez żelaznych majtek, w których przechowywała paczuszki.

Przez salę przeszedł pomruk zdziwienia.

– To jest pomówienie i obraza – zaprotestował obrońca oskarżonej. Moja klientka wytoczy proces o zniesławianie.

– Mamy w tej sprawie dowód, Wysoki Sądzie – powiedział spokojnie prokurator. – W tej oto kopercie znajduje się sześć metalowych cekinów, które odpadły od „pasa cnoty” w czasie wizyty oskarżonej w saloniku. Świadek cekiny pozbiarał. Na jednym był włos z łona oskarżonej. W odnalezionych u oskarżonej majtkach cekinów brakowało.

Zgromadzeni na sali zarechotali.

– W jaki sposób świadek zidentyfikował nieuparfumowane oskarżone? – spytała jedna z obrończyni. Bo przecież przewidując tę farsę nie uparfumowały się. Jak świadek rozpoznał panią H.H., która na dzisiaj użyła wody „Suar de Paris”, którą jej przyniosłam? Czy świadek trochę widzi?

Oskarżyciel na chwilę oniemiał.

– Sprzeciw – powiedział. – Obrona stara się podważyć wiarygodność świadka. Kwestionuje opinię biegłej i lekarza.

– Niech świadek odpowie – zwrócił się do mnie sędzia.

– Nie pytano mnie, czym panie w dniu dzisiejszym pachną, miałem podać jedynie personalia – wyjaśniłem.

– W jaki sposób świadek to uczynił?

– Znam zapach ciała każdej z pań. Masowałem je przecież. Mężczyzna, który mnie bił i chciał zakopać żywcem, używał dezodorantu Adidas plus. To mu nie pomogło. Spocił się. Do dziś cuchnie.

– Sąd uznaje wiarygodność rozpoznania oskarżonych przez świadka – stwierdził sędzia.

Zaczęto mnie przesłuchiwać.

– Czy pracodawczyni podała panu przyjazną dłoń? – spytała obrończyni pani H.H.

– Tak. Dała zatrudnienie. Kupiła mi psa – przewodnika. Dzięki pracy u niej mogę jechać na leczenie.

– Dlaczego, więc oskarża ją pan o próbę morderstwa, podczas, gdy chciała jedynie pana nastraszyć, bo psuł pan renomę firmy wyjeżdżając na lewe masaże i schadzki?

– Pojechałem, do kogo chciałem. Nie straszono mnie, lecz chciano mnie okaleczyć i zabić. Pani H.H. była w stanie najwyższego podniecenia emocjonalnego.

– Śmieszne. Przecież pan nie widzi.

– Czuję – odparłem.

– A jakich perfum używam ja? – nie dała za wygraną obrończyni.

– Przeterminowanego, męskiego dezodorantu Gillette.

Na sali sądowej znowu rozległy się śmiechy.

– Czy w saloniku masażowym znajdował świadek kartki z zakodowaną informacją? – spytał inny obrońca oskarżonej.

– Tak.

– Dlaczego zainteresowała świadka treść tych kartek? Przecież nie były skierowane do niego i nie mógł je przeczytać?

– Towarzyszyły niewielkim paczuszkom. Kartki znikwały czasem wraz z paczuszkami po wizycie niektórych klientek. Czasem po nocy. To wydało się podejrzane.

– Jak zapoznawał się świadek z treścią tych kartek?

– Czytali mi je przygodni znajomi.

– Znajomi z pracy?

– Nie. Tych się bałem. Czytał mi głównie znajomy sklepikarz. Jest świadkiem

– Co to była za substancja w paczuszkach?

– Proszek, jakby korzenny, prawie bez zapachu. Pomyślałem, że to narkotyki, a pies, jak powiedziałem, potwierdził.

– Więc donosił świadek policji na podstawie domysłów? Oskarżał na podstawie własnych imaginacji te kobiety. Czy nie wystawia to świadkowi jednoznacznej opinii moralnej i nie podważa wiarygodności jego zeznań?

– Nie twierdziłem, że handlują narkotykami. Sugerowałem sprawdzenie.

– I nie ujawnił się pan? Czy świadek chciał mieć z tego jakieś osobiste

korzyści? Czekał na propozycje? – sugerowała jedna z obrończyni pani H.H.

– To uwłaczająca sugestia – zaprotestował mój adwokat. – Jednak przydatna.

Moja przeciwniczka w procesie potwierdza tą insynuacją prawdziwość zarzucanego oskarżonej przestępstwa przemytu i sprzedaży narkotyków.

– Kiedy świadek nabrał absolutnej pewności, że ma do czynienia z gangiem narkotykowym? – zapytał sędzia.

– Kiedy usiłowano mnie żywcem pogrzebać.

– Sprzeciw – krzyknęła obrończyni oskarżonej H.H. – A usiłowano? Przecież gdyby to była prawda... – ironizowała

– Obrona świadomie przeinacza fakty – powiedział prokurator. – Bandydzi nie mieli czasu, by zamordować ofiary. Mamy protokół policji i nagranie rozmowy telefonicznej oskarżonej z jednym z gangsterów przed napadem. Dowody te nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości, że przygotowano obmyślaną w szczególności okrutną egzekucję. Potwierdzi to inspektor policji pułkownik Kazimierz Koźlak.

Krew mnie nagła zalała.

– Chciano mnie okaleczyć, a panią Kirę zgwałcić. Oboje nas zakopać żywcem! – ryknąłem..

– Jak okaleczyć? – spytała prowokacyjnie jedna z obrończyni pani H.H.

– Wyciąć, proszę szanownej pani mecenas, jaja – stwierdziłem wściekły.

– To kpina z uczciwych ludzi – krzyknęła z sali pani Kira. – Oni z nas kpią

– Proszę o spokój – powiedział sędzia.

– Czy używa pan narkotyków? – spytała obrończyni pani H.H.

– Nie.

– Skąd znał pan ich zapach?

– Nie znałem. Już o tym mówiłem. Domyśliłem się. Potwierdził domysły pies.

– Pies? I my w to mamy uwierzyć.

– Proszę Wysoki Sąd o zgodę na przeprowadzenie kolejnego dowodu – powiedział oskarżyciel, jakby na to pytanie oczekiwał. – Świadek przyprowadzi swego przewodnika – psa. Inspektor policji da psu do rozpoznania narkotyki.

Sędzia przewodniczący skinął głową.

Wprowadziłem Sonię. Inspektor Koźlak położył niewielką walizeczkę na stoliku. Podprowadził mnie z psem.

– Szukaj trawy, Sonia! – dałem jej sygnał. Pies obwąchał walizeczkę i wrócił do moich kolan. Na sali sądowej zapadła cisza. Inspektor zabrał walizeczkę, pokazał jej zawartość sędziom, a na stoliku położył inną.

– Szukaj! – rozkazałem znowu. Pies, ociągając się ruszył w przeciwnym od stoliczka kierunku. Obwąchał kilka miejsc i znowu zbliżył się do walizeczki. Uderzył w nią potężną łapą i krótko szczeknął. Inspektor otworzył walizeczkę. Tym razem nie była pusta. Wyjął białą torebkę.

– Dowód numer osiem. Zabezpieczony u oskarżonej H.H. Osiemset gramów czystej heroiny, o wartości rynkowej, pół miliona złotych – poinformował lakonicznie prokurator.

Wieczorem w moim mieszkaniu zadzwonił telefon.

– Izabela K. Telewizja, program „Wiem o tym wszystko”. Z panem Adamem Tobuzem

– Słucham panią.

– Był pan w sądzie genialny. Czy wystąpiłby pan w moim programie?

– W jakim charakterze?

– Nie mają dla pana tajemnic zapachy?

– Przesada, powiedzmy.

– Program jest dla pana. Będzie pan odgadywał skład perfum.

– A jak spudłuję?

– Straci pan jakąś kwotę z nagrody.

– Czy mi pani dostarczy próbek perfum na dwa tygodnie przed programem?

– Firmy się będą o to biły.

– To zgoda.

Miałem tygodniowy urlop. W lodziii stały rzędami flaszeczki z uwięzionym zapachem. Dołączone do flakoników tabliczki z wypukłymi napisami, informowały o składzie, nazwie i producencie perfum.

Flakoniki wnosilem pojedynczo, wahałem, robiłem przerwy, wietrzyłem

pokój. Zapamiętywałem zapachy, jak zwroty z języka obcego. Zadanie miałem ułatwione, bo wsparte doświadczeniem, Nie uchroniło mnie ono jednak od stresu i zasłabnięcia przed wejściem do studia w telewizji.

W studio kłębili się zaproszeni goście, głównie panie. Były staranie wyzute z wszelkich zapachów. Wymagało tego pojawienie się w studiu. Powitano mnie dyskretnymi oklaskami i zamknięto w szklanej kabinie tkwiącej, jak okulary w futerale, w innej szklanej kabinie. Na uszach miałem słuchawki, przed sobą mikrofon. Flakoniki z perfumami podawał przez specjalnie w tym celu skonstruowaną śluzę powietrzną mechaniczny manipulator. Zwilżał chusteczkę perfumami i pozwalał mi ją z pewnej odległości przez siateczkę między obydwoma kabinami powąchać. Serwetki zasysał w śluzie rękaw, a specjalna aparatura neutralizowała wszelki zapach. Producentem tak skonstruowanej aparatury na potrzeby profesjonalnych „wąchaczy”, była francuska firma medyczna „Armani”.

Miałem podać, do jakiej zapachowej rodziny perfumy należą: orientalnej, owocowej, kwiatowej, drzewnej czy zielonej i wymieniść, co najmniej cztery składniki woni. Mile widziana była nazwa perfum i jej producent. Za odgadnięcie otrzymywałem dodatkową wysoką premię. Całą procedurę konkursu od strony technicznej uzgodniono ze mną wcześniej. Program przebiegał bez żadnych zakłóceń. Przez śluzę przewinęło się sześćdziesiąt flakoników. Lampka ogłaszająca zakończenie programu zgasła. Zabuczał dyskretnie sygnał. Moje wyjście powitano rzęsiastymi oklaskami.

– Oto najlepsze potwierdzenie fenomenalnego wyniku – oświadczyła prowadząca program, redaktor Izabela K. i oddała mi do rąk słuchawkę telefoniczną.

– Gratuluję panu w imieniu firmy Armani. Zapraszam. Jesteśmy zainteresowani współpracą z panem – usłyszałem.

Zasypano mnie pytaniami i umawiano na wywiady. Z drugiego telefonu dzwoniło Shiseido z Japonii. Skąd oni o mnie wiedzieli? Ja o nich nie miałem pojęcia.

Odezwały się i inne telefony.

– Jeszcze gnoju, żyjesz? – pytał czyjś zniekształcony głos. – Ale, co to za

życie? Jak kret. Pomogę ci zamknąć oczy na zawsze.

– Zakopię cię, ale w trumnie – usłyszałem wkrótce, już w domu ten sam głos. –
Będziesz mógł pokrzyczeć. Miło się z tobą rozmawia.

Takie telefony szarpały mi nerwy. Widocznie mafia nie dała za wygraną.
Zgłosiłem zastraszanie inspektorowi. Dali mi nowy numer. Obydwa wzięli na
podszuch.

Moja kobieta

Na razie wszystko pozostało bez zmian. Firmą pani H.H. kierował zarząd spółki. Z coraz większą niecierpliwością czekałem na zawiadomienie z Ministerstwa Zdrowia. Każdego ranka mobilizowałem się do pracy w saloniku i starałem się wybić sobie z głowy chęć natychmiastowego zwolnienia się. Miałem omamy, lęki. Nocą nie spałem. Sonia nie odstępowała mnie. Bałem się dzwonek do drzwi.

Starym zwyczajem, od kiedy usłyszałem w radiu z ust wiarogodnego dla mnie komentatora, że wino ma niepowtarzalne właściwości lecznicze, zachodziłem często po pracy do sklepiku i u znajomego ekspedienta kupowałem butelkę reńskiego wina. Ekspedient wybierał mi je osobiście. Pytał o zdrowie i życzył smacznego. Nie był to rytuał bez znaczenia. Szczególnie teraz spragniony byłem czyichś dobrych słów pod moim adresem, nawet tych czysto formalnych.

Sprzedawca włożył butelkę z winem do saka, przytroczonego do Soni. Ona, bez najmniejszych protestów, transportowała wino do domu. Tym razem zawarczała groźnie. Ten zapach zielonych liści. Wiedziałem natychmiast, że obok stoi Honoratka. Zamurowało mnie.

– Zaprosiłbyś mnie do siebie na muzykę z płyt, a ja bym nie odmówiła. Albo w ogóle – powiedziała swoim dziwacznie dziecinnym głosem Honorata. – Dzięki, że napisałeś do matki. Mam ci wiele do opowiedzenia.

Skinąłem głową. Mówiła, jakbyśmy się nie widzieli od wczoraj. Przecież od chwili, gdy wyszła urażona, minęły sporo czasu. Czego właściwie mogła chcieć? Czują się u mnie w mieszkaniu, jakby nie wychodziła stąd nigdy. Pozamiatała. Dała jeść i pić Soni. Znalazła mój jedyny kieliszek do wina, naląła. Dała mi z niego łyknąć i resztę wypiła sama. Usta jej się nie zamykały.

– Przysłałeś, więc ten list do mamy. „BW” napisałeś. Długo głowili się wraz z ojcem, co też to mogłoby oznaczać. Wszelkie próby był bezowocne. Więc ja, z głupia frant, pomogłam matce szyfr rozwiązać.

– Bez wianka – powiedziałam i ugryzłam się na niby w język. – Oszukał mnie – krzyczałam. – Miał was uspokoić. To twoja mammo wina, że musiałam się mu cała

pokazać. – Wszystko to robiłam, po, to, aby mi matka uwierzyła.

– Obejrzała się za siebie – opowiadała dalej – i, stwierdziwszy, że nic jej w razie upadku nie grozi, matka osunęła się zemdlna na wersalkę. Później dostała histerycznego napadu, zanosiła się łkaniem, rozpętała istne piekło, z którego wyrwał mnie ojciec. Powiedział do mamy:

– Ty też nie wszystko powiedziałaś rodzicom przed ślubem.

– Coś musiało w tym być, bo matka zamilkła. Nie znaczy jednak, że dała mi spokój.

– Kto cię skrzywdził moje dziecko? – dopytywała się, jakby to mogło przywrócić mi cnotę. – Powiedziałam, że ty.

Podskoczyłem jak użądłony.

– Wiesz ty, co! – wrzasnąłem.

– I tak nie uwierzyłaby. Podejrzane to, ale masz u niej kredyt. Powiedziałam, że z jednym księdzem z kurii.

Ryknęliśmy oboje.

– Wysłano mnie na rekolekcje do Rzymu, pod opiekę siostr wizytek. W ten sposób wyzbyłam się niebezpieczeństwa irlandzkiego. Zgrzeszyłabym Bogu, gdybym powiedziała na siostry złe słowo. Zaliczyłam mnóstwo dyskotek i brakowało mi tylko ciebie. Honoratka pocałowała mnie w usta i usiadła na kolanach. Pozbawiła mnie na długi czas możliwości rzeczowego myślenia.

– W ten sposób wybrnęłam z irlandzkiej zmory – przesiadła się z moich kolan na powarkującą Sonię.

– Nici z koligacji, nici ze ślubu w bazylice, nici z biskupiego prezentu, nici, plaża, siup! – podsumowała i przewróciła mnie na wznak na wersalkę. Całowała długo i namiętnie, jakbyśmy to robili wiekami. – Nie wywiniesz mi się tym razem tak łatwo – zapowiedziała. – I musisz mi to zrobić.

Nie zamierzałem udawać, że nie wiem, o czym mówi.

– To nie ma żadnej przyszłości.

– Czy musisz wszystko zakontraktować? Nie umiesz się cieszyć, tak, jak, ja? Oczekujesz deklaracji. Wiesz, kiedy to robię, zgadnij. Spadaj! – powiedziała

nadaśanym głosem. Po chwili pastwiła się nad moim tranzystorowym radiem.

– Pozwól. – I z radia popłynęło „Yesterday”.

– Skąd wiedziałeś, że strasznie, strasznie, to lubię? – spytała słodko, zapominając natychmiast o gniewie. Zarzuciła mi ręce na szyję, przylgnęła ufnie, po kobiecemu, kusząco i obiecująco.

– Pewnie byś coś zjadł? Zrobię kanapeczki pychota. Czy mogę się później u ciebie wykąpać?

– Jasne

– I przyjdiesz do mnie?

– Ma się rozumieć.

Zjedliśmy, wypiliśmy z jednego kieliszka wino. Całowaliśmy się. Honoratką, wzięła ręcznik i po chwili rozległ się plusk nalewanej do wanny wody.

– Czekam! – rozległo się wołanie.

W łazience było ciepło i przytulnie. Honoratka ujęła moje dłonie i położyła je sobie na pełnych, niewielkich piersiach, którym nie był potrzebny żaden stanik.

Skórę miała czystą i gładką.

– Nie zapomniałam twoich rąk, o nie.

– Ja góreczek też.

– Czy ktoś ci mówił, że jesteś słodki? – spytała.

– Bałamucisz mnie.

– Dziś mamy piątek?

– Tak..

– Więc zostaję u ciebie do poniedziałku – oświadczyła.

Schyliłem się i pocałowałem jej mokre i gorące usta.

– Zostań, jak długo zechcesz.

– Dasz się namówić do tamtego? – przymilała się. – Raz mi już odmówiłeś, czy jesteś z kamienia?

– Byłaś tylko klientką.

– Teraz nią już nie jestem.

– Nieba bym ci uchylił szczygiełku, ale...

- Uchyl mi, zatem piekła, to mnie rajcuje bardziej.
- Wodzisz na pokuszenie. To może się stać tylko raz.
- Właśnie.

– A, jeśli pożałujesz?

– Coś się uparł, dobry Samarytaninie. Chcę ciebie i będę miała.

Piszczął czajnik. Było jej pełno wszędzie. Za nią chodziła Sonia. Słałem wersalkę. Po raz pierwszy miałem w domu kobietę, która tu była dla mnie. Co nas czekało? Pytanie nagle straciło sens. Liczyła się chwila. Tego chciała moja kobieta.

– Tak, zostanę u Dosi, mamu – kłamała Honorata przez telefon. – Z budki, ona nie ma telefonu. Gdybym chciała cię oszukiwać ... Z radia popłynęła muzyka.

Tuliłem płomień. Zrzuciła z siebie mój wilgotny szlafrok. W tańcu zdejmowała ze mnie ubranie.

– O! Piękny. Żadne akty nie umywają się. Hinduskie, też. Zsunęła się do moich kolan i tuliła się.

Uniosłem i ułożyłem w pościel dziecięce przecież, a już kobiece ciało. Nie miała jednej zmarszczki, ani fałdki tłuszczu. Całowałem wypukłe usta i kosztowałem językiem smaku śliny. Oddawała mi się, przyzwalała na wszystko. Pragnęła, czyniła moje ruchy powolne, kochające, troskliwe.

Pod gniazdko podłożyłem zrolowaną poduszkę, na niej ręcznik. Ukląkłem. Zaskoczyła mnie gwałtowną ekstazą. Rojem niekończących się wstrząsów, westchnień, jęków. Wyobraziłem sobie unosząca się nad nią tęczę. Gładziłem uda i pośladki.

– Czy coś ze mną nie tak? – spytała spłoszona. – Jakiś ty podniecający. Znowu przedwcześnie przeniosłeś mnie w obłoki. Ale i ja cię nasycę. Prychała i prężyła się.

Podąłem jej jasek. Ująłem pośladki i pchnąłem.

Pierwsze zwanie gorącej męskości z jej bramką. Przerażliwie jęknęła i wtuliła twarz w poduszkę. Rezultat był mizerny. Utkwiłem. Pchałem, cofałem się i znowu napierałem, drażąc otwór. Z rozdartego ciała wypłynęła krew.

Honoratka zastygła. Nie krzyczała. Trzymała mnie silnie za szyję. Wsunąłem się i niewysłowiona rozkosz targała mną jak epileptykiem.

Honoratka trzymała mnie w objęciach, zboląła i jakaś inna.

– Kocham – wtuliła głowę w moją pierś i zasnęła.

Ranek obwieściła szorstkim językiem Sonia. Wciągnąłem dres i wymknąłem się na dwór. Po powrocie, w mieszkaniu powitał mnie zapach świeżo parzonej kawy. Szumiała w łazience woda.

– Połóż się! – zawołała Honoratka.

Jak żyję nie opływałem w takie luksusy. Podała śniadanie. Zjedliśmy razem. Bliskość, ciepło i zapach jej ciała prowokowały. Niecnych zamiarów nie dało się ukryć.

– O, ja biedna – powiedziała przewrotnie Honoratka.

– Miłość syci się oczekiwaniem.

– Fiu! Poeta. Próbuje, pragnę cię.

Straciłem głowę. Nie błdziłem w labiryncie jej ciała. Byłem samolubny.

Szlochała, ale tuliła mnie.

– Jak ci było, Adamku?

Pod wieczór zjedliśmy coś szybkiego i znowu byliśmy w łóżku.

– Jaki masz kolor włosów Honoratko?

– Rudy.

– A oczu?

– Zielone, jak wściekłe, to czarne, jak antracyt. Piersi figlarne, twoje – musnęła mi sutkami usta. – Nakrapiane, jak dwa indyjskie jaja.

– Masz piegi?

– Wyłącznie. Mrowisko.

– Jesteś bursztynową dziewczyną.

– Łał! Podoba mi się.

– Tam też?

– Mam bursztynową kuciabkę.

– Kuciapkę, ślicznie.

– A ty?

– Przecież nie widzę

– To ja opowiem.

Położyłem palec na usta.

– To tajny agent. Nie powinnaś go zdradzać.

– Nie zamierzam, nigdy.

Honorata siadła mi na udach.

– Będę cię zdobywała sama, długo, długo, długo. Miłość syci się oczekiwaniem, czyż nie tak?

Zaczęła, od oględzin i dotyku.

– Bezwstyd to pociągające uczucie.

Pieściła wielgachnego delikatnie palcami.

– Rozpusta to słodkie doznanie.

Pieściła sobie wielgachnym skryte w gęstwinie oczko.

– Lubieżność to diabelski nektar.

Wolno, nie bez jęku, pozwoliła wnikać. Nie widziałem, czy miała zielone, czy czarne źrenice. Przywarła ustami do moich ust. Ostrożnie kołysała biodrami dopełniając pożądliwego zespolenia. Trwaliśmy w bezruchu zwiastującym chwilę współbrania.

– Na myśl, że mógłbyś kochać tak inną, dostanę wścieklizny. Inna miłość jest godna politowania. Kasia już nie ma, czego u mnie szukać.

– Kto to jest Kasia? – spytałem, gdy ostygliśmy.

– Zabawiałam się. Jest starsza ode mnie, adwokatka. To bolesna dla mnie historia. Opowiem ci kiedyś.

– Czy trochę już przeszło? Mniej boli?

– Jest do zniesienia, a nawet podnieca.

Honoratka przygniotła mnie. Poruszała śmiało biodrami.

– Masz tajemniczy uśmiech, miękki i włochaty, jak materac brzuch i pierś. Jestem wciąż ciębie spragniona.

Wyrzuciła ręce nad głowę i gwałtownie na mnie opadła. Nasłuchiwała odgłosów uderzających w jej wnętrze. Zadzwonił telefon i przyjęła go Honoratka. Nagle z wściekłością wrzasnęła:

- Morda w kubeł, wszarzu! To twoja ostatnia rozmowa. Mamy cię!
- Skąd miał mój nowy telefon? – powiedziałem.
- Co robi ten twój policjant? – kipiała Honoratka. – Kiedy się kończy proces?
- Czekamy na ogłoszenie wyroku. Czym grożono tym razem? – spytałem.
- Przed śmiercią zostaniesz wykastrowany.

Dwa dni zleciało, jak z bicza strzełił.

- Więc zamieszkać razem z tobą, pod twoim dachem, bo jestem twoją kobietą. „A jeśli mnie nie wyleczą?” – kalkulowałem na zimno w myślach.
- Może po moim powrocie ze Szwajcarii – pozostawiłem jej możliwość

ponownej decyzji.

- O nie. Coś ty? Ktoś musi zadbać o mieszkanie i o Sonię.

Objąłem ją, bardzo, bardzo mocno. Całowałem.

- Myślałeś, że mi się zaraz wywiniesz.
- Twoi rodzice? Finansują studia.
- Bez znaczenia. Czas zrobi swoje. Zostawisz mi trochę pieniążków na czynsz.

Zarobię korepetycjami. O mnie się nie martw.

Dwie walizki przydzwigał kierowca taksówki. Torbę podróżną i wiotką, szmacianą lalkę, ponoć zielonowłosą, wniosła do mieszkania Honorata.

– Zostawiłam w domu list. Na sensowną rozmowę po Włoszech, jeszcze było za wcześnie – stwierdziła. – Poza tym, kto to wie, może będziesz miał mnie dosyć. Mostów za sobą nie paliłam. Dla niej wszystko było jasne, zrozumiałe, niezobowiązujące, białe albo czarne.

Pracowałem z coraz większymi oporami. Klientek po sukcesie telewizyjnym przybyło, mimo, że ograniczyłem się tylko do masażów. Z Honoratką o saloniku nie rozmawialiśmy. Wierzyła, że się urwę z dotychczasowej działalności. Pokładała nadzieje w moim nosie. Roztaczała przede mną widoki na pracę, w którejś z wytwórni perfum. Wieczorem słuchałem muzyki, a ona przygotowywała się do sesji egzaminacyjnej.

– Zaraz po egzaminach zapraszam cię na koncert w filharmonii. Brahms, Mozart, Dziewiąta Symfonia Beethovena. Spodoba ci się. Z nią poszedłbym, nawet

na występy mimów. Któregoś wieczora wpadła w milczącą depresję. Siedziała nad książkami, ale wiedziałem, że się nie uczy, Stałem za jej plecami i delikatnie masowałem szyję i kark. Przytuliła policzek do mojej dłoni.

– Dzwoniła Kasia, była naćpana. Nie może się z tym pogodzić, że z nią zerwałam.

Milczałem i masowałem dalej.

– Czy ona może zrobić sobie krzywdę? – spytała Honorata nie spodziewając się odpowiedzi.

– Czy tym straszyla?

– Tak.

– Więc nie jest to groźne. Milczenie jest groźniejsze.

– Była adwokatem w mojej sprawie. Tak ją poznałam.

– Tak? – nie napierałem na zwierzenia.

– Jest świetna w swoim zawodzie. Dzięki niej sprawa ujrzała światło dzienne.

Chłoptasie wpływowych rodziców, mimo niepełnoletności, do dziś nie wyszli z paki.

– Czy miałaś coś z tym wspólnego?

– Niestety. Byłam na wakacjach nad morzem. Poznałam na tańcach chłopaka w moim wieku. Byłam tuż przed osiemnastką. Któregoś dnia umówił się ze mną w odległym, romantycznym miejscu, za wędzarnią, czy suszarnią ryb.

Biegłam tam z dusza na ramieniu, nie ze strachu, lecz w nadziei czegoś niezwykłego. W suszarni było ciemnawo, weszłam ostrożnie nikogo nie spostrzegając. Nagle znalazłam się w otoczeniu pięciu chłoptasiów, wśród których był i mój.

– Piotrek! – krzyknęłam z radością. Wydało mi się, że w jego towarzystwie nic mi grozić nie może.

– Niezła szprycha – orzekli chłoptasie. – Naraiłeś nam niezłą laskę. Między nami kwita. Już nam nic nie wiesz.

– Usłyszałam dochodzące gdzieś z kąta suszarni stłumione jęki. Z przerażeniem spostrzegłam leżące w półcieniu, na długim stole, dwie związane i zakneblowane dziewczyny. Rzuciłam się do ucieczki, ale natychmiast mnie

chwycono i skrępowano kawałkiem sieci. Zdarło ze mnie narzuconą na gołe ciało sukienkę. Krzyczałam, więc mi wepchano coś w usta.

– Nie piekl się – powiedział do mnie ten rudy, zapewne szef bandy. – Popatrzysz, to sama nabierzesz ochoty. Cmoknij ją, bo zamarznie – powiedział do któregoś z chłoptasiów.

Do leżącej dziewczyny zbliżył się wysoki dryblas. Rozciął jej więzy. Dziewczyna zeskoczyła ze stołu. Próbowwała uciekać, ale zdrętwiałe nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Bandziory popychały ją sobie jeden do drugiego. Szarpali ramiączka jej sukienki, aż została naga. Dryblas ze splecionymi do tyłu rękami, z wypiętą pierśią i ze sterzącym z rozporka przyrodzeniem napierał na dziewczynę spychając ją w kierunku stołu. Okładała go pięściami. Oprawca nie reagował. Przycisnął dziewczynę do rantu stołu, aż jęknęła z bólu. Poddała się, szlochając. Teraz zaczął gładzić jej ciało ogromnymi łapiskami.

– Załóż chociaż gumkę! – błagała dziewczyna. – Jak będę w ciąży, to mnie ojciec zabije!

Dziewczyna usiadła na brzegu stołu, odepchnęła się od niego rękami i znowu próbowała uciekać. Podskoczyło do niej dwóch chłoptasiów i wykręcając ręce sparaliżowali jej ruchy. Po chwili dziewczyna jęknęła, ale nie boleśnie. Rozkraczyła się posłusznie. Ruszali się coraz szybciej ku ogólnej uciezce pozostałych łobuzów. Próbowalam skorzystać z zamieszania. Rudy mnie jednak trzymał mocno za rękę. Gwałcona dziewczyna objęła oprawcę za szyję. Ten stęknął i odsunął się od niej.

– Widzisz laluniu, nic strasznego – powiedział Rudy. – Każda chciałaby i się boi.

Kolesie oglądali mnie sobie jak cielę na targu. Śmieli się i macali mi piersi, dwóch uklękło, rozchyliło nogi, zaglądali w krocze.

– Ja ją sobie zaliczę – powiedział Rudy.

– Kto po mnie, panowie?

– Ona jest jeszcze nietknięta, Rudy – stwierdził któryś po dłuższych oględzinach.

– Bajasz – roześmiał się Rudy. – Takich nie ma. – Rozwiązał nogi drugiej

leżące dziewczynie i przyprowadził ją do mnie.

– Powiedz nam kotku, czy to prawiczka?

Dziewczyna wskazała głową na zawiązane ręce, a gdy ją rozwiązano, wyrzuciła z ust knebel.

Zajrzała mi w krocze, włożyła palec i powiedziała:

– Tak.

– Jajek nie masz, czy co? – spytał Rudy Piotrka. Reszta ryknęła śmiechem. – Zaległość nadrobimy... Nie będziesz narzekała. Rudy przygotował się. Wyjął mi z ust szmatę.

– Dasz po dobroci, będziesz moją dziewczyną. – Jego słowom towarzyszył złowrogi pomruk. – Trzeba będzie cię trzymać, to wszyscy przelecą – dodał pojednawczo pod adresem bandy.

Szlochałam, błagałam, głośno się modliłam. Groziłam, że jeżeli mnie zgwałcą, to się powieszę. Słyszałam szlochy pozostałych dziewcząt.

– Jestem jego, Piotrka, dziewczyną, niech on mnie załatwi!

– Nie kumasz, mała. Jesteś legalnie odstąpiona, za to, co nam wisiał. Nie upieraj się.

– Piotrek! – krzyknęłam. – To będzie mnie strasznie boleć. Mogę mieć krwotok.

– Tego jeszcze nie próbowałem – moje krzyki rozpały Rudego. Jego kumple rozwarli mi siłą nogi. Z lubością gładził mi uda i szykował się do ciosu.

– Uważaj na białe spodnie, bo cię zdrowo objuszy – zawołał któryś z łajdaków.

Rudy zawahał się.

– Mielście ją sobie tylko obejrzeć i pomacać – zaprotestował nagle Piotrek. Nie było mowy o rżnięciu.

Rudy zdjął spodnie i powiesił je na gwoździu.

– Nie krzycz koleś, tu nikt nie jest głuchy – wyszeptał groźnie do Piotrka. – Nie jest lepsza od tych, które i ty z nami rżnąłeś. Na recytację poezji ją nie przyprowadziłeś.

W ręku Piotrka błysnął nóż

– Nie ładnie, koleś, nie ładnie – powiedział Rudy.

Wszyscy wyciągnęli kosy. Korzystając z sytuacji, wyplątałam się z sieci. Obie, z tą drugą, nagą dziewczyną, przewracając w biegu jednego z chłoptasiów, wybiegłyśmy z suszarni na wydmy.

– To nie jest plaża nudystów – usłyszałam nagle zza wydmy głos zaskoczonego naszym pojawieniem się policjanta.

– Czy chcesz, żebym opowiadała dalej? – spytała Honorata.

Kiwnąłem głową.

– Długo nie mogłam dojść do siebie. Bałam się nowych znajomości, mężczyzn. Po sprawie rodzice osądzali mnie surowiej niż sprawców napadu. Spotykałam się kilkakrotnie z Kasią. Była adwokatem w mojej sprawie. Taka dobra i wyrozumiała. Podobnie, jak ja, stroniła od mężczyzn i się z tym nie kryła. Nigdy nie zwierzyła mi się z przyczyn, dla których taka była. Chodziłyśmy razem na koncerty i razem popłynęłyśmy na żagle na Mazury.

– Nie ma nic piękniejszego, jak kobieta. – Kasia zachwycała się moim ciałem.

– Trafiłyśmy w uroczy zakątek Wigier. Siedziałyśmy na żaglówce nagie ze spuszczonej do wody nogami. Nasze odbicia poruszane falami zderzały się, wpadały na siebie. Było w tym coś niezwykle perwersyjnego.

– Wyciągnęłam rękę w kierunku ślicznych piersi Kasi i patrzyłam w lustro wody, jak ich odbicie powędrowało do moich rąk. Zapragnęłam by właśnie tak się stało. Wyciągnęłam dłoń po kulisty owoc, a Kasia mi go podała. Nigdy przed tym nie doświadczyłam niczego bardziej delikatnego i subtelnego. Przyglądałam się cieniutkiej, jedwabistej skórze z delikatną siecią niebieskich żyłek.

– Coś nas do siebie ciągnęło. Położyłam głowę na jej udach, a ona mi delikatnie głaskała włosy. Pocałowała mnie w usta, a ja zrobiłam to, czego nauczyłam się od chłopców. Koniuszkiem języka dotknęłam jej warg.

– Leżałyśmy na pokładzie jachtu w gorącym słońcu obok siebie. Patrzyłyśmy na przepływające góra obłoczki pozwalając rękom wędrować po zakamarkach naszych ciał.

– Nie ma nic bardziej wrażliwego i pociągającego niż gładkie i pachnące ciało kobiety – szepnęła Kasia. – Ty jesteś rozkoszna. Lekko się na mnie nasunęła i objęła ustami moją sutkę. Drugą delikatnie drażniła paznokciem.

– Czułam skurcze w podbrzuszu. Smakowała moje ciało językiem trochę mnie zawstydzając. Wędrowała wciąż niżej i niżej, a ja czekałam z coraz większą niecierpliwością, kiedy dotrze, i jak rozchyli mi to miejsce. Wiedziałam, że będzie super. Zły los, a priori, przekonał mnie, że perwersyjnie może pieścić tylko kobieta, kobietę. Tylko kobiety potrafią się kochać zmysłowo. Dla kobiety pieszczota jest celem samym w sobie. Mężczyźni z ich przemocą i gwałtem, są potrzebni, aby mogły to sobie w pełni uzmysłwić.

– Dotarła i był to cudowny wstrząs, który wniknął i nie ominął bodaj najmniejszego skrawka mego ciała. Byłam radosna i skłonna do zabawy, jak małe kocie. Zrzuciłam Kasię z pokładu do wody i skoczyłam za nią. Ocierałyśmy się o siebie i znowu przeniknął mnie dreszcz nieznanej rozkoszy.

– Noc była chłodna. Wlazłam do koi Kasi. Wcale nie była zdziwiona. Szybko zrzuciłyśmy z siebie piżamy. Objęłyśmy się. Czują zapewne to samo. Twarde piersi, gorący brzuch, i czegoś szukające uda. Pocałowałam ją w usta i powędrowałam w kierunku tego, co mi przyniosło taką radość w ciągu dnia.

– Poczekaj – szepnęła. – Coś ci pokażę. Najpierw jednak pocałuj moje piersi. Są prawie tak piękne, jak twoje. Pieszczony wywołują u mnie orgazm.

– Są piękniejsze. Rozkwitłe – powiedziałam. – Wybacz, że spieszę się do najskrytszego. Nigdy nie dotykałam nikogo.

– Wędrowałam po chłodnych pagórkach. Z emocji wyschło mi w gardle. Przestałam się dziwić, że mężczyźni dotykając coś tak ponętne, głupieją.

Kasia niespokojnie wzdychała, przeciągała się i elektryzowała dłońmi. Te kocie ruchy rozpalały we mnie wyobraźnię. Zapragnęłam zobaczyć, jak drży, spazmuje i leży bez sił. Objęła mnie za szyję. Całowała żarliwie, jakby chciała mi w usta wtłoczyć bezmiar targających nią namiętności. Odrzuciła do tyłu głowę i zachłysnęła się powietrzem. Po chwili przytuliła głowę do moich piersi.

Leżałyśmy na boku zwrócone twarzą ku sobie. Do bólu pocierałyśmy się.

Doznawałam silnych erotycznych podnieć w głębi brzucha. Boleśnie zawadzałyśmy o siebie stojącymi sutkami. Rozchyliła mi bruzdę i wcisnęła kolano między uda. Dotknęłam gorącym nabłonkiem jej pokrytego meszkiem uda. To było nowe doznanie. Przebiegło mrowiem po krzyżu. Sięgnęłam jej krocza. Rozwarłam wilgotne oczko i rozpląszczyłam je swoim udem. Stęknęła. Obie szukałyśmy u siebie tych wilgotnych miejsc i pocierałyśmy się o nie.

Odchylając się od siebie i przybliżając, smagałyśmy się coraz szybciej i okrutniej nastroszonymi sutkami. Rękami trzymałyśmy się za pośladki. Krzykiem zakończyłyśmy nieznaną mi osobliwą pieśczętę. Zasnęłyśmy w objęciach.

– W nocy obudziły mnie grzmoty. Leżała obok gorąca i pachnąca.

Dotknęłam jej łona. Było miękkie i jedwabiste. Przeciągnęła się. W błysku pioruna ujrzałam jej otwarte, przerażone oczy.

– Boję się burzy. To śmieszne, ale się boję.

Przygarnęłam ją do siebie. Dotknęłyśmy się łonami. Szukałam pretekstu by się z nią kochać.

– Miałaś mi coś pokazać – szepnęłam.

Kasia uniosła się na łokcie i położyła się na waleta. Głowę złożyła na moje łono. Czułam jej bardzo gorący oddech. Przytuliłam policzek do jej ud. Nigdy jeszcze nie miałam policzka przytulonego do niczyjego, tak intymnego miejsca. Jej miękkie włosy drażniły mi ucho. Nie wiedziałam, że tak podniecająco pachną nasze kobiece skrytki. Na dworze jaśniało i burza uciekła daleko. Czasem przedtem zaglądałam sobie w to miejsce. Był to najprostszy odruch ciekawości. Teraz u Kasi, jawiło mi się ono, jak magiczna sakwa czarnoksiężnika. Przyglądałam się ledwo widocznemu u niej, w czarnych włosach, wklęśnięciu. Jak tajemnicze wrota Sezamu, rozchyliły się białe uda, a w głębi rozwarła się cieniutka, szkarłatna wstęga. Kasia zapraszała. Rozwarłam nogi i ja. Oglądałyśmy sobie cudeńka.

– Jesteś dziewicą – powiedziała niemal wystraszona Kasia. – Nie pomyślałabym. Jakie to nieprawdopodobne i podniecające. Ja mam to dawno za sobą.

– Czy mogę? – powiedziałam dotykając nie bez strachu jej jedwabistej wstęgi językiem.

Dostała się w ręce złych mocy, które nią tarłosiły bezlitośnie za głowę, brzuch i piersi. Przestraszona oderwałam usta od zaczarowanego miejsca.

– Zlituj się! Pragnę twych ust! Całuj! – prosiła.

Nasunęłam się ciałem i rozchyliłam nad nią. Teraz ona dotknęła mnie językiem. Uderzył mnie prąd, od którego się we mnie wszystko zatrzęsło.

– Zostałyśmy na długo kochankami. Byłybyśmy nimi do dziś. Ala odkryłam ciebie. Twoją delikatność. Doświadczylam twojej pierwszej odmowy. Dzięki niej mnie zdobyłeś. Będąc z tobą poznałam, co znaczy być kobietą naprawdę. Tego nie da się niczym zastąpić. Zrobiło mi się słodko na sercu. Przeszłości nie miałem jej za złe. Szczerłość, z jaką się zwierzyła, uczyniła mi ją jeszcze bliższą. Niezwłocznie powędrowaliśmy do łóżka. Dopiero bladym świtem zasnęliśmy. Ale i wtedy pozostałem w jej namiociku.

– Wszystko zaliczyłam, nawet lektorat z niemieckiego. „Niemiec” nie popuścił. Otarł się o moje kolana. Fertig! – wołała tańcząc i podśpiewując Honorata.

Objęła mnie za szyję, pocałowała i mocno się przytuliła.

– Chodź ze mną pod prysznic. Potem postawisz mi jakąś chińszczyznę i pójdziemy kupić ci super ciuch. Wypatrzyłam na przecenie. Musisz mieć coś na wyjazd – dodała, znając mój w tym względzie upór. – W sobotę idziemy na koncert.

– To był zazwyczaj szczególny rodzaj prysznicowania. Chichotała i wrzeszczała, gdy biczowałam chłodną wodą piersi, pupę, uda. Mydliłem ciało i śliską rękę wciskałem między jej zwarte uda. Uwielbiała takie pieszczoty. Całowała mnie i dotykała wielgachnego.

– Teraz ja. – Zabierała mi prysznic i na cel brała wielgachnego. – O! Już na mnie kiwa – wołała tym swoim dziecinnym, podniecającym głosem. Po chwili nie próżnowaliśmy.

– Adaś! – krzyknęła w chwili orgazmu.

– Noreczka! – odkrzyknąłem.

Nie pamiętam, aby nam po prysznicowaniu, udało się wykonać coś, zgodnie z pierwotnym zamierzeniem. Zawsze kończyło się kochaniem. Zaspokoiliśmy się i Honoratka nie mogła się nadziwić skąd u mnie się wiecznie bierze tak dużo gorącej

spermy.

– Po prostu płynę, Adamku. To wprost karygodne marnotrawstwo.

– Jest w tym wszystkim sporo ciebie – powiedziałem.

Znowu pobiegła pod prysznic.

– Pewno masz mnie już dosyć? – zawołała z łazienki. – Jestem napalone dziewczynisko.

Wyciągnąłem z szufladki przygotowany dla niej prezent.

– Proszę – podałem jej, gdy wilgotna tuliła się do mnie. – Zaufałem gustowi sprzedawcy – powiedziałem. – Bursztyn jest podobno przezroczysty, jak miód – zawiesiłem na szyi Honoratki bursztynową ozdobę. – Zastrzegłem, że możesz ją wymienić na inną..

Naga pobiegła po lusterko.

– Jest mi w tym wspaniale. Naprawdę jestem bursztynową dziewczyną. Tak właśnie, jak widzę siebie teraz, zobaczysz mnie po powrocie ze Szwajcarii. Padniesz.

Do filharmonii mieliśmy bardzo blisko. Wzięła mnie mocno pod rękę i szliśmy ulicą. Czułem się znakomicie, bezpiecznie. Słyszałem rozmowy spacerujących ludzi, wołania dzieci, skrzyp otwieranych drzwi w tramwajach. Słoneczko grzało w twarz. Honoratka poprawiła mi ciemne okulary.

– Wyglądasz świetnie.

Chłonałem uroczysty nastrój filharmonii: zapachy wykwintnych perfum, szmer prowadzonych rozmów, dyskretne kasznięcia, skrzypienie nierozchodzonych męskich trzewików i puknięcia cienkich obcasów damskich pantofli. Gdzieś z głębi holu, powiało aromatem kawy i nastrój stał się bardziej kameralny. Honoratka natychmiast pociągnęła mnie w tamtą stronę. Usadziła przy stoliku i wróciła z filiżankami pachnącego płynu. Zajęliśmy miejsca w wyściełanych fotelach, gwar zamarł. Zdawało mi się, że jesteśmy wśród niebotycznych ścian, jak malutkie stworki u stóp wysokich gór. Gdzieś daleko przede mną, z głębin jakiejś pieczary, dolatywały tajemnicze odgłosy. Tak, jakby ktoś w ciemnościach, potykał się o różne instrumenty, jakby nie mógł się zdecydować, na czym zagrać.

– Skrzypce, puzon, altówka – chwaliłem się znajomością rzeczy do ucha

Honoratce.

Honoratka wsunęła mi rękę pod pachę i przytuliła się.

Przeplęły nade mną słodkie dźwięki mozartowskiego Eine kleine Nachtmusik. Brzmiały mi, jak śpiew pozostawionego nad Sanem szczygła. Muzyka nabrała koloru szafiru księżowskiej stuły. Usypiała mnie ta muzyka i unosiła nad znajomymi brzegami rzeki, nad dziwacznie powyginanymi w lustrzanym odbiciu wody, nagimi ciałami kąpiących się dziewczyn.

Nagle zerwałem się z miękkiego fotela, przytrzymywany przez Honoratę. Gnała mnie nieokiełznana potrzeba ucieczki przed nawałnicą czerwonych dźwięków, pierwszego tematu Dziewiątej Symfonii. Po chwilę z entuzjazmem powtarzałem wykonaną przez chór frazę: „O radości córo bogów, gościu elizejskich stron. Odurzeni twym płomieniem, wstępujemy dziś w twój schron. Wszyscy ludzie będą braćmi, gdzie zaszumią skrzydła twe.” Do domu wracałem podniecony i przepelniony zasłyszaną muzyką.

– Chciałbym tam wrócić i słuchać raz jeszcze – powiedziałem. Honoratka była szczęśliwa.

– Wiedziałaś, że ci się spodoba. Jesteś taki muzykalny. Jest w tobie wszystko, co kocham. Pójdziemy, kiedy tylko zechcesz – zapewniła. W domu nastawiła mi utwory Mozarta. Leżeliśmy przytuleni i zasluchani.

Otrzymałem zawiadomienie z Ministerstwa Zdrowia. Miałem jechać do Szwajcarii. Przewidywano trzy miesięczny pobyt. Niemal jednocześnie dowiedziałem się, że doktor Elżbieta pochowała męża. Jedna z klientek powiedziała, że Elżbieta udaje się również do Szwajcarii. Otrzymała od dawna wyczekiwane stypendium doktoranckie.

– Czy to taki szczęśliwy zbieg okoliczności? – spytała mnie enigmatycznie Honorata.

– Zupełny – stwierdziłem zgodnie ze znaną mi prawdą. Do tematu już nigdy nie wróciła, ani słowem.

Swój wyjazd potwierdziła niebawem sama Elżbieta. Stało się to podczas ostatniej mojej lekarskiej wizyty u niej.

– Znam smutną wiadomość i bardzo ci współczuję – powiedziałem zaraz, po pierwszych słowach powitania.

– To chyba lepiej dla niego – szepnęła, jak o kims obcym Elżbieta.

Skończyła badania i położyła mi dłonie na rękach.

– Bądź dobrej myśli, Adamie. Może ci to doda otuchy. Możesz liczyć na mnie w Szwajcarii. Jadę tam po doktorat – szybko cofnęła dłonie.

To był ostatni wieczór przed moim wylotem do Szwajcarii. Honorata pitrasiała uroczystą kolację. Zapaliła świece zapachowe i rozlała wino do dwóch kupionych kieliszków. Podała kaczkę z żurawinami.

– Spróbuj, zobacz, jaka ze mnie gospocha – siliła się na niefrasobliwość. To ostatnie jej nie wychodziło.

– Dlaczegoś się ze mną przed wyjazdem nie ochajtnął? – wybuchła zupełnie niespodziewanie.

Zamurowało mnie. Pomyślałem, że to chwilowe emocje, dziecinada.

Próbowałem obrócić sytuację w żart.

– Miłość syci się...

Przerwała mi obcesowo.

– To już braliśmy. Ani mnie to nie grzeje, ani ziębi. Więc dlaczego?

– Muszę się wyleczyć.

– To w moim wypadku nie jest decydujące.

Rzuciłbym się jej do nóg.

– Nie chciałem cię unieszczęśliwić. Sama powiedziałaś, że nie wszystko trzeba zakontraktować. Trzymałem się tego.

– Guzik prawda, nie to miałam na myśli – powiedziała dużo spokojniej. – Za pomyślność – wzniosła toast.

Wypiliśmy. Odsunęła głośno krzesło i siadła u moich nóg. Głowę położyła na kolanach. Przy Honoratce legła z westchnieniem Sonia.

– Jak sobie dam radę, tak długo bez ciebie? – powiedziała ciepło Honoratka. – Jakbym została nagle bezdomna. Jak babcię kocham, zadurzyłam się na amen.

„Wyleczę się dla ciebie Honoratko. Wrócę zdrowy wbrew wszystkiemu i

wszystkim. Będę najlepszym z mężów, Honoratko” – poprzysięgłem sobie w myślach.

– Obdarowałaś mnie i bałem się spłoszyć swoje szczęście wygórowanymi oczekiwaniami. Chciej mnie zrozumieć – powiedziałem.

Honorata mocniej przytuliła głowę do moich kolan.

– Winić powinnam siebie. Chodź ze mną do łóżka i do rana ze mnie nie wychodź.

Kochaliśmy się w jej ulubionej pozycji, atawistycznej, jak ją nazywaliśmy. Przynajmniej my to sobie tak wykombinowaliśmy. Opierałem się o jej pośladki albo obejmowałem ją pod łonem. Czasem kładłem się brzuchem na jej plecach, sięgałem po wrażliwe obłóści. Honoratce zaczęły drżeć ramiona, co nakazywało mi przyspieszenie i dodatkowe, koliste ruchy biodrami. Zapłata za to staranie, były jej niepohamowane okrzyki rozkoszy i konwulsyjne skurcze wnętrza, które rozpalało moje zmysły. Miałem potężne wytryski.

– Czy pamiętasz pierwszy raz? – spytała Honorata i jej długie palce powędrowały między moje uda.

– Jakże by nie? Obdarowałaś mnie sobą i swoją...

Honoratka zakryła mi dłonią usta.

– Kocham cię. – Pieściła opuszkami palców moje krocze. – Tu się one znajdują, maleńkie, malusieńkie dziewczynki i chłopcy.

Pod jej ręką dawała znać o sobie moja nienasycona żądza.

– Zgoda – powiedziała Honorata, jakby rozmawiała z kimś trzecim. – Też czuję tego wieczną potrzebę. – Zrób mi to w ten sam sposób, jak wtedy, gdy mnie posiadałeś po raz pierwszy. Chcę, więc, żebyś mi to robił tej nocy, jak mąż żonie, a nie, jak kapryśnej kochance. Wydawało mi się, że znałem Honoratkę. Nie powinna była mnie zaskakiwać. A jednak. Jej sentymentalna dziecinada wzbudziła we mnie wiecznie drzemiący niepokój. Może czuła się zawiedziona i tak sygnalizowała swoje rozżalenie?

Objąłem Honoratkę i całowałem czując żar jej usta i migdałowy smak jej śliny.

Poddała się pieszczocie języka, jakby długo na nią oczekiwała. Rozchyliła

wargi drażniąc czubkiem języka, mój język. Z mocą sygnalizowała mi swoje oddanie i wzruszającą pokorę. To nie była ekstaza wywołana zetknięciem się przekrwionych nabłonków osobników przeciwnej płci. Ukazała nieznaną mi dotychczas twarz miłości. Znalazłem w niej nawoływanie się bratnich dusz, radość z dawania i otrzymywania. Zapraszała mnie na niezwykłą wieczerzę do alkowy swych bioder, powierzała się.

Przygniotłem ją ciężarem brzucha, piersi. Przykryłem niepokojem rąk, niecierpliwością. Miałem ją gorącą, dyszącą, gotową na wszystko. Kochającą.

Jak mogłem się jej wypłacić? Ukoić jej rozzalenie? Nie mogłem uwierzyć swemu szczęściu. Bałem się panicznie, że uzna swoją decyzję za błąd.

Dotknąłem czoła, brwi i szyi, rozchylałem, te jej wypukłe, jak u rozgrymaszonego dziecka, usta. Założyłem jej ręce za głowę. Pocierałem się piersiami o wzniesienie jej ciała. Honoratka, jak powój, zaczęła ciasno oplatać mnie nogami. Nasze ręce, jak wiotkie gałęzie na wietrze, tańczyły i splatały się, buszowały i czepiały się, rozkołysanych ciał. Utknęła tę noc dla mnie z siebie. Nie pozwoliła, bym z niej wstał, i nie pozwoliła bym się od niej oderwać.

Rano omal nie odwołałem wyjazdu. Spanikowałem, bałem się zostawić nie wystygłą pościel. Zostawić Honoratkę. Bałem się, że mnie opuści. Odgadła mój przejmujący niepokój.

– To doprawdy niedługo, Adamku, będę tęskniła i uczyła się. Zobaczysz mnie, to się raz jeszcze zakochasz.

Odwiozła mnie na lotnisko. Bez mała spóźniłem się na samolot.

– Jak mnie zaprosisz, to do ciebie przyjadę – szepnęła mi na pożegnanie i oddała wprost w ręce zniecierpliwionej stewardessy.

Nadzieja

Elżbieta była moim jedynym łącznikiem ze światem zewnętrznym. Brak znajomości języka, czynił ze mnie niewidomego niemowę. Całymi dniami słuchałem muzyki poważnej ze słuchawek. W tej muzyce obcowałem z Honoratką.

Zastrzyk, krople do oczu, pobieranie krwi, tomografia, pomiary ciśnienia w gałkach ocznych, zabiegi laserowe, zdejmowanie i nakładanie opatrunków na oczy – to był mój dzień, jak, co dzień. Towarzyszące tym licznym zabiegom rubaszne poklepywanie po plecach przez lekarzy i pielęgniarki, były jedynymi rozumianymi przejawami sympatii dodającymi mi otuchę.

Z rzadka zabierała mnie na spacer Elżbieta. Była zapracowana. Czuję się przy niej nieswojo. Ona też była spięta. Rozmawialiśmy o postępach w leczeniu, pogodzie tu i w Warszawie. Uciekałem przed nią z rękami, kolanami, ramieniem.

– Czuję się bardzo samotna, Adamie – powiedziała bardzo ostrożnie na jednym ze spacerów.

Milczałem.

– Ty wkrótce wrócisz, ja muszę tu zostać ponad półtora roku. – Przytuliła się do mego sztywnego ramienia. – Odwiedziłbyś mnie, napił się dobrej kawy.

Ile dałbym za to zaproszenie jeszcze przed rokiem. Teraz było mi tylko jej żal. Wymówiłem się wyjątkowo złym samopoczuciem. Przyjęła je ze zrozumieniem.

– Jutro masz pierwszą poważniejszą operację – uprzedziła Elżbieta. – Profesor Springer stwierdził, że czas spróbować. Będę jedną z asystentek. – Położyła mi dłonie na rękach. – Bądź dobrej myśli. Będę przy tobie. Jak zawsze – dodała ciszej.

Po raz pierwszy doznałem uczucia piekielnego wstydu i wyrzutów sumienia. Ona mnie nigdy nie zawiodła. O sobie tego powiedzieć nie mogłem. Nawet ślepy dostrzegłby, że kierowała się nie tylko względami lekarskimi. Bez względu na następstwa, postanowiłem powiedzieć jej o Honoratce.

Wózek, zastrzyk, odlot, uczucie spadania, koziółkowania, niemożność zrzucenia z siebie płaszcz senności. Zawieszenie w niepewności. Sen to, czy jawa?

Przecucie czyjejś bliskości.

– Pić – poprosiłem.

– Jak się czujesz? – Głos Elżbiety przedzierał się do mnie, jak słońce przez chmury.

Znów jechałem wózkiem. Tym razem, zamiast sali operacyjnej, znalazłem się w klimatyzowanym pomieszczeniu. Wyczuwałem bliskość siedzących tu ze mną osób.

– Zdejmę ci opatrunki – usłyszałem głos Elżbiety.

Zdjęła mi je i nic nie uległo zmianie. Otaczała mnie ciemność. Chociaż... Noc się rozwidniła i wstał mglisty poranek.

– Czy to jest okno? – spytałem Elżbietę pokazując ręką jasny prostokąt.

– To jest, Adamie, ekran.

– Bolał mnie bardzo oczy – oświadczyłem

Elżbieta przez chwilę rozmawiała po niemiecku.

– Minie, Adamie. To szwy.

Założono nowe opatrunki i paru lekarzy uścisnęło mi rękę. Byłem boleśnie rozczarowany.

– Zabiorę cię do siebie – powiedziała Elżbieta.

– Mam wspaniałe ciasto. Ktoś mi je przywiózł, aż z Warszawy. Pojedzie z nami też profesor.

– Profesor prosi cię o cierpliwość. Uważa, że wszystko jest na dobrej drodze – powiedziała, gdy piliśmy herbatę i jedliśmy placek ormiański. Dałbym głowę, że Elżbieta podobała się profesorowi.

Uznałem, że moment jest sprzyjający.

– Muszę się wyleczyć. Mam dziewczynę.

Przez bardzo długo Elżbieta milczała.

– Musisz się wyleczyć dla siebie. Jeśli zaś ma to zasadnicze znaczenie dla spraw sercowych, to zważ, z kim się chcesz związać. – Jej głos był przyjazny, ale daleki i obcy.

Po czym Elżbieta rozmawiała głównie z profesorem, od czasu, do czasu

informując mnie, że rozmowa dotyczy jej pracy doktoranckiej.

Jeszcze parokrotnie przemierzałem windą piętra, a wózkiem nieskończenie długie korytarze kliniki. Razu pewnego wsadzono mnie do windy i wiozący mnie pielęgniarz gdzieś znikł. W windzie znalazłem się sam. Nagle zapadłem się w dół. To nie był sen. Zapadałem się coraz szybciej. Winda łomotała, jak rozpedzona kolejka w lunaparku. Uderzała o ściany szybu. Pęd wyrzucał mnie do góry. Uderzyłem głową w sufit windy. Nagle siła odśrodkowa wcisnęła mnie z powrotem w wózek. Obudziłem się poobijany i bolesny. Przywitał mnie głos Elżbiety.

– Próbowano cię zabić – powiedziała zatrwożona. – W ostatniej chwili windę wyłączył elektryk. Pielęgniarz był podstawiony. Teraz masz stale tego samego pielęgniarza i opiekę policyjną.

– Kto?

– Zapewne sięgają tu ręce gangu narkotykowego. Będziesz przesłuchiwany, pomogę ci.

Przesłuchania potwierdziły przeświadczenie, że chodzi o zemstę gangu. Prosiłem policję by powiadomili inspektora Koźlaka. Powiedzieli, że już to zrobili. Poinformowałem ich o Honoratce, że mieszka ze mną. Pytali o wiele szczegółów związanych z jej osobą, pragnąc ustalić zapewne stopień jej zagrożenia ze strony gangu. Tłumaczyła Elżbieta. Stała się mimowolnym powiernikiem wielu skrytych i bolesnych dla niej i dla mnie informacji. Mój pobyt mocno się przedłużył. Zastanawiałem się, z czego zapłacę dodatkowe koszty. Zamierzałem prosić Honoratę, aby zaciągnęła z mego upoważnienia, kredyt hipoteczny na mieszkanie. Często z nią rozmawiałem przez telefon. Nic jej o windzie nie powiedziałem, by ją nie denerwować. Ona też mi nie wszystko mówiła. Robiła dobrą minę do złej gry, ale mnie w błąd nie potrafiła wprowadzić.

Spytałem o sesję egzaminacyjną i wiedziałem, że ma kłopoty. Spytałem o rodziców, a jej milczenie starczyło za odpowiedź.

– Lada dzień zdejmą ci opatrunki – ucieszyła mnie Elżbieta. – Jeszcze trochę i pojedziesz do domu.

– Pozostaje jednak sprawa zapłaty. Zacząłem już żyć na kredyt.

– O, to się teraz nie martw. Wszystko uregulowałam i ureguluję za ciebie.
Oddasz mi w kraju.

Po już kolejnej operacji leżałem, jak Łazarz. Szarpał mną niepokój o Honoratkę. Nie widziałem końca mego leczenia. Zważyłem we wszystko. Tylko obecność Honoratki mogła mi przywrócić nadzieję i ochotę na życie. Nie miałem jednak pieniędzy by ją zaprosić.

Znowu jechałem wózkami do znajomej klimatyzowanej sali. Serce mi biło, jak młot kowalski. Zdjęto opatrunek. Ogarnęła mnie równie czarna rozpacz, jak otaczające mnie ciemności. Założono mi na głowę hełmofon, w ręku trzymałem pilota.

– Naciskaj guzik, jak ujrzysz świetliste znaki. Mów, gdy zobaczysz figury geometryczne. Jakie, jakiego koloru? – usłyszałem w słuchawkach głos Elżbiety.

Gdzieś przede mną zalśniła daleka błyskawica. W polu widzenia lewego oka, wyroił się warkocz świętojańskich świetlików. Szalałem z tym swoim pilotem, by nadażyć i nie pominąć żadnego z zapalających się i gasnących punkcików. Po mojej prawej stronie, spadł rój meteoratów. Ręka bolała od gwałtownych manipulacji pilotem.

– Zorza polarna! Tęcza! Fontanny kolorów! – wołałem oszalały ze szczęścia. Niczego już sobie nie zmyślałem. Ja te kolory widziałem.

– Zielony trójkąt, czerwone kółko, niebieski trapez – z wrażenia urwał mi się film.

Ktoś przetarł mi twarz wilgotną, pachnącą chusteczką. Słyszałem gwar podnieconych głosów. W pomieszczeniu pomału jaśniało. Odróżniałem zarys jakiejś pochylającej się nade mną twarzy, poczym otaczająca mnie wciąż wata z powrotem wchłonęła cień postaci. Odważnie do bólu rozwarłem powieki. Dostrzegałem zarysy konturów siedzących osób. Pojawiały się i znikwały bez przyczyn. Ale ja już wiedziałem, że to zwycięstwo. Zerwałem się ze swego miejsca. „O radości córo bogów, gościu elizejskich stron...” – zaśpiewałem słowa z Dziewiątej Symfonii, które pozostały w pamięci po koncercie, na który zaprowadziła mnie Honoratka. Nagrodzono mnie brawami i ściskano ze wzruszeniem.

– Ile w tobie prawdziwego umiłowania życia – powiedziała obejmując mnie Elżbieta. – Szczęśliwa twoja wybranka. Twoje podziękowanie zapamiętamy na całe życie.

Otrzymałem izolatkę z przyćmionymi szybami. Miałem się przyzwyczaić, czekałem na okulary do dali i na co dzień. Myślałem już przy Honoratce w Warszawie. O swej radości nie mogłem jej powiedzieć, bo pojechała na parę dni na żagle. Sam ją do tego namówiłem, w nadziei, że będzie bezpieczniejsza. Nie mogła wytrzymać nerwowego napięcia wciąż przesuwanymi terminami „próby ostatecznej” mego wzroku. Pojechała „zabić” żaglowaniem nieznośne uczucie samotności.

Elżbieta założyła mi na nos okulary. Przysięgłbym, że drżały jej przy tym ręce. Była pierwszą osobą, którą oglądałem po trzech latach. Blondynką o drobnych rysach twarzy, z wyraźnymi śladami ostatnich przeżyć, które obrały sobie miejsce wokół niebieskich, pełnych wyrazu oczu. Jakże podstępny wydał mi się tym razem dar widzenia.

– Na okulary do dali będziesz musiał poczekać – powiedziała.

– O, nie! Muszę natychmiast wracać do domu – zaprotestowałem.

Elżbieta pochyliła głowę, jakby chciała ukryć wyraz swojej twarzy.

– Dobrze. Masz samolot jutro. Okulary ci doślę.

Schyliłem się i niezręcznie pocałowałem ją w rękę.

– Dziękuję, za wszystko ci dziękuję.

– Ja też za wszystko ci dziękuję. Bądź szczęśliwy.

Rano wraz z ochroniarzem odwiozła mnie na lotnisko. Pozwoliła się ucałować.

– Dalej już sobie radź sam. Hej! – Wsiadła do taksówki i odjechała.

Bezdrože

Dalej sobie radziłem sam i roznosiła mnie radość i duma. Bez trudu odnalazłem swoje miejsce w samolocie i usadowiłem się obok starszego polskiego małżeństwa, wracającego do kraju od córki. Miałem chęć rozmawiać, nareszcie wszystko rozumiałem. Trochę martwiłem się, że wrócę do pustego mieszkania. Dzwoniłem, ale telefon milczał, więc Honoratka jeszcze nie wróciła. Podano śniadanie. Wszyscy do wszystkich się uśmiechali, wymieniali uprzejmości, narzekano na wyjątkowo zimne i burzliwe lato, na powodzie. Starszy pan pochłaniał jakąś gazetę.

– Musisz pomału kończyć, Mieciu – upomniała go starsza pani, sama zamknęła książkę.

– Kończę, ale posłuchaj. Znowu wypadek u wylotu Czarnej Hańczy ze Śniardw. To koło nas. Tam winno wisieć ostrzeżenie, taki czarny punkt.

– Cóż jednak tam się stało, Mieciu? – spytała trochę niecierpliwie starsza pani.

– Więc... „wczoraj wieczorem u wlotu... – czytał starszy pan – zatonał uderzony boczną falą o dużej sile jacht „Mors”. Zginęły trzy żeglarki z Warszawy.”

– Kto zginął? – ryknąłem do mego sąsiada wiedziony strasznym przeczuciem. Starszy pan zaniemówił z wrażenia.

– Już czytam – wymamrotał przerażony moim widokiem. „Ciał dwóch żeglarek jeszcze nie odnaleziono, ciało Honoraty Z. do brzegu przyholowała wilczyca.”

Coś mnie z niesłychaną siłą wydarło z fotela i rzuciło przed siebie. Potknął się i upadłem zamroczony. Moją głowę ujęły troskliwe kobiece ręce.

– Biedaku – powiedziała do mnie Honoratka. – Uspokój się. Wszystko ci wyjaśnię.

Zawierzyłem jej słowom. Pozwoliłem się stewardesie położyć i wziąłem jakieś lekarstwo. Po przylocie zbadał mnie lekarz. Odwieziono mnie do pustego domu.

Nagle ogarnęła mnie gorączka poszukiwań i wyjazdu do niej. Zadzwoniłem po taksówkę, kazałem się wieźć do Augustowa.

– Połowa należności za kurs od razu – zakomunikował kierowca.

Wyrzekałem wszystkie pieniądze z portfela. Dałem mu posiadane dolary i zdjąłem zegarek z ręki.

– Panie, wystarczy, jeszcze reszta zostanie. Pieniądze wymienię w kantorze.

Stanęliśmy przed komendą policji. Zaspany dyżurny przyjrzał mi się podejrzliwie

– Pan krewny denatki? – spytał.

– Tak – skłamałem.

– Podejrzewa się, że zginęły w wyniku celowego uszkodzenia jachtu.

– Zabójstwo?

– A nie zna pan nazwisk pozostałych dwóch denatek?

– Nie.

– Chce pan zabrać jej psa?

– Tak.

– Komendant zapytywał, czy pan by psa nam nie zostawił? Przydałby się taki ratownik.

– Nie.

Dyżurny zaprowadził mnie do ujadającego już psa. Sonia skoczyła na tylne łapy, oparła mi się o ramiona, polizała twarz.

– To był wasz pies – powiedział, jakby trochę zawstydzony policjant.

– Do kostnicy niech pan nie jedzie. Tam już jej nie ma. Parę godzin temu ciało zabrali rodzice.

– Takie nieszczęście – powiedział kierowca taksówki. – Za kurs powrotny pan nic nie płaci. – Podścielił na tylnym siedzeniu koc i usadowił na nim Sonię. W drodze częstował mnie kawą i kanapkami. Byłem, jak kawał drewna. W głowie dudniła pustka. Z mieszkania już w Warszawie zadzwoniłem do inspektora Koźlaka.

– Znikł pan z lotniska, a potem z domu – powiedział inspektor. – Byłem zaniepokojony.

– Zabrała mnie załoga samolotu wprost z płyty lotniska. Potem pojechałem do Augustowa. Kiedy pogrzeb? – starałem się o naturalne brzmienie głosu.

– Podejrzewam zabójstwo, więc pewne formalności.

– Czy pomoże mi ją pan zobaczyć?

– Proszę tego nie robić. Niech ją pan zapamięta taką, jak była. Możemy się postarać również o fotografię.

Nie odpowiedziałem. Przecież ją nigdy nie widziałem. Żal zdławił mi gardło. Miał rację. Zostanie w mojej pamięci taką, jaką mam ją pod powiekami.

– Czy była to zemsta na mnie?

– Tak myślę. Dopadnę, rozgniotę.

– Niczego to nie zmieni. Zobaczymy się?

– Natychmiast. Zaraz będę, podam to samo hasło, co ostatnio.

– Pamiętam. – Siedziałem na podłodze obok Soni. Z odrętwienia wyrwał mnie dzwonek telefonu.

– Jesteś już. Jak samopoczucie? – spytał mnie znajomy, znienawidzony głos.

– Dlaczego zamordowałeś Honoratkę, a nie mnie? – wychrypiałem.

– Nie żartuj. Pomyłka! – telefon zamilkł.

Zadzwoniono do drzwi. Sonia zjeżyła się i przyjęła pozycję wyczekującą.

– Niedziela!

Inspektor uściśnął mi mocno rękę.

– Pogrzeb odbędzie się pojutrze. Ciała pozostałych żeglarek odnaleziono. W kadłubie jachtu był ruchomy balast. Spowodował w czasie przechyłu błyskawiczne zatonięcie jednostki.

– Zemścili się.

– Nie poprzestaną.

– Już do mnie dzwoniono. – Opowiedziałem.

– Wiem. Przejęto nasłuch. Ochrona jest przed domem.

– Nie chcę, by mnie poniechali. Chcę zemsty – oświadczyłem. – Nadzorujcie mnie z daleka. Przyjdą, a wtedy zabijcie.

– To jest zawsze nieprzewidywalne – powiedział inspektor.

– Chcę tego.

Cały ten dzień przemęczyłem się, jak potępieniec. Mówiłem do Niej złamanym, błagającym głosem, prosiłem by cofnęła czas. Widziałem jej uśmiech,

zmieniający się w smutek. Rzucała spojrzenia, jak ktoś unoszony w dal wbrew swojej woli. A ja przyglądałem się temu ze skamieniałym z bólu sercem. „Żegnaj, żegnaj!” – dochodził mnie jej dziecięcy głos. O ileż szczęśliwsza była tamta tkwiąca we mnie oślepiąca istota, gdy Ona była koło mnie, od tej widzącej, zbolącej i zdruzgotanej nieszczęściem. Łudziłem się. Położyłem się i wsłuchiwałem w jej spokojny oddech, jakby była tuż. Potem nagle miałem w uszach łopot urwanego żagla i niezrozumiałe krótkie komendy. I tak dotarłem znowu do rzeczywistości nieodwołalnej. Wyrwał mi się z ust okrzyk bólu. Najwidoczniej odchodzę od zdrowych zmysłów. Powodowany udręką, wybiegłem z domu w kierunku kościoła. Ściemniało się i na nic zdały się okulary dla krótkowidza. Znowu byłem samotnym ślepcem wydanym na łaskę losu i wydało mi się to bardzo naturalne.

W półmroku instynktownie odnalazłem drzwi kościoła. Były zamknięte. Upadłem na kolana i całowałem ziemię. To mi ulżyło. Trzymając się murów, wpadając na niskie gałęzie, zmuszony byłem iść po omacku, znalazłem sobie jakiś wyłom i w nim usiadłem. Na samodzielny powrót do domu nie miałem szansy, tego zresztą nie chciałem.

Napastowany przez demony wspomnień trwałem w bezruchu do świtania. Nicowany wyrzutami sumienia, kombinując wciąż nowe, coraz bardziej niedorzeczne plany wydostania się ze ślepego zaułka. Tak, jak w mojej chacie na wsi, kielkował mi zamysł samobójstwa, ale na teraz, silniejsza była chęć zemsty.

Brzmiał mi w uszach, jak oskarżenie, szept Honoratki na lotnisku, gdy mnie odprowadzała: „Jeśli mnie zaprosisz, to przyjadę” Nie zaprosiłem. Był to z mojej strony akt nieufności i zdrady, przejaw obsesji, z którą ona nie miała nic wspólnego. Brak pieniędzy był jedynie żalonym wykrętem, dowodem własnej małoduszności. Ona nigdy nie uzależniała czegoś, od czegoś tam. Zawsze była pewna tego, co robi. Może trochę zbyt pewna...

Do kościoła wśliznąłem się tuż po kościelnym i ukryłem się za filarem. Byłem zdrętwiały z zimna i nieprzespanej nocy, skamieniały. Patrzyłem, jak zahipnotyzowany na nienawistne mary i myślałem, że Honoratce też musi być zimno. Patrzyłem na coraz to nowe twarze gromadzących się gapiów, zwrócone w żółtym

blasku świec ku ołtarzowi. Zaraz zapłoną wszystkie światła wydobywające najdrobniejszy szczegóły tego ponurego spektaklu i przegonią nieodwołalnie z tej ziemi, ulotne widmo Honoratki błakające się u stóp ołtarza.

Dzięki odzyskanemu wzrokowi, dostąpiłem luksusu zamglonego wskutek braku okularów do dali, oglądania dramatu na własne oczy. Tą świadomością byłem wstrząśnięty. Widocznie nieszczęście nie jest monopolem kalek, tak, jak szczęście, przywilejem tylko widzających. Nie wiem, jak długo czekałem z oczami utkwionym w drewnianą trumnę. Obok mnie uklękła zboląła, szczelnie zasłonięta woalką kobieta. Domyśliłem się, to była matka Honoratki.

– Chodź ze mną – powiedziała. – Byłeś dla niej najbliższym.

– Nie pójdę.

Nie ponowiła prośby. Klęczała obok, jakby uspokojona, utkwiała wzrok w płaskorzeźbie ostatniej stacji drogi krzyżowej Chrystusa. Biskup, wuj Honoratki, wygłaszał słowa wyuczone i puste, chłodne, jak było tu chłodne wszystko. Rozglądał się niespokojnie za siostrą.

– Chodź ze mną – powtórzyła błaganie prośbę matka Honoratki.

Podniosłem się z klęczek i powędrowałem za nią, witany zaciekawionym szmerem.

Gleba, która miała pokryć skromną, dębową trumnę, była czarna i ciężka. Rodzice Honoratki stali obok grobu bez ruchu, bez słowa, z zastygłymi twarzami. Nie ruszyli się z miejsca nawet wtedy, gdy trumnę ze zwłokami ukochanej córki spuszczone do dołu i zaczęła ją pokrywać rzucana garściami ziemia.

Nagle ojciec Honoratki uchwycił w geście rozpaczony moje ręce.

– Przebacz, jeśli potrafisz. Przebacz mnie i żonie – powiedział przygarbiony, posiwiwały. – Jestem winny. Odtrąciłem ją, kiedy potrzebowała pomocy.

Spojrzałem na niego czegoś nie rozumiejąc.

– Wyklęliśmy Honoratę za to, że była w ciąży – powiedział, nie podnosząc oczu.

Ziemia uciekła mi z pod nóg. Byłem jak ogłuszony. W moim wnętrzu rozwarła się bezdenna czeluść, której zapewne nigdy niczym nie da się zasklepić. Porwane i

rozwichrzone myśli i strzępy wspomnień zaczęły się układać w dramatyczny, logiczny ciąg.

Mój przedłużający się pobyt, brak zaproszenia, obecność doktor Elżbiety, o której nie sposób, aby czegoś nie zasłyszała. Kłopoty z zaliczeniem egzaminu, samotność, której żywiołowo nie znosiła. Wreszcie naiwne, i niefortunne zwierzenie się rodzicom z tego, co jakże niesłusznie ukryła przede mną. Zresztą może myślała, że nie zaakceptuję tej ciąży? Może sądziła, że ta wiadomość wywrze zły wpływ na przebieg mego leczenia? Takie myślenie było do niej podobne.

Gdy odzyskałem oddech, dotarła do mnie miazdząca prawda, że to, co skłonny byłem uważać za dziecinadę, dziecinadą z jej strony nie było. Pytała wszak, dlaczego się z nią nie ochajtnąłem. Prosiła wszak, abym ją posiadał, jak mąż żonę. Abyśmy, na koniec, przed moim wyjazdem, tak to właśnie robili. Moja słodka Honorata! Nie byłaś mi przeznaczona. Twoja łódź, zanim ją zatopiono, musiała pokonać więcej niesprzyjających wiatrów i groźnych uderzeń bocznych fal, niż potrafiłem to przewidzieć i sobie wyobrazić. Nie miała szans pokonać ostatniego uderzenia. Obserwowano cię. Nieumyślnie wystawiłem cię na pierwszy ogień.

Odwróciłem się od rodziców Honoraty, głucha wściekłość odebrała mi na chwilę rozum i wolno od nich odszedłem. Gdybym tego nie zrobił, mógłbym zabić. Nie obchodził mnie ich ból, ani to, co o mnie pomyślą. Bałem się spojrzeć raz jeszcze za siebie, na świeżo usypaną mogiłę.

To nie prawda, że ciebie nigdy nie widziałem Honoratko. Widziałem cię. Byłaś piękna, wspaniała i jedyna. Mam w pamięci twój wizerunek, którego niestety już nigdy nie będę mógł dotknąć. Zdobyłem cię i to była moja klęska. Kocham cię. Wybacz i zegnaj! Po szalonym napięciu i wyczerpaniu wszystkich sił w bezsilnej furii wpadłem w stan całkowitego ośpienia. Przesiadywałem całymi dniami i nocami w domu, na wabia. Gdyby mnie napadnięto poza domem byłbym bez szans. W domu inspektor wbrew przepisom wręczył mi rewolwer.

– Może mnie za to nie wsadzą. To na wypadek, gdyby interwencja nasza się przedłużała – powiedział.

Tropiłem w mieszkaniu najdrobniejsze ślady obecności Honoratki. Chusteczki,

książkę, którą czytała, kieliszek, z którego piliśmy wino. Znalazłem bursztynowy naszyjnik i upadłszy na kolana zalałem się łzami. Po chwili odnalazłem lusterko, w którym się Honoratka przyglądała i roztrzaskałem je na drobne kawałki. Czy jestem szalony? Nadśluchowałem i wydawało mi się, że idzie, że zawoła na mnie tym swoim przedziwnie dziecięcym głosem. Szukałem pod nocnym okryciem samotnika śladu jej ręki. Błąkał się jeszcze zapach zielonych płatków kwiatów, perfum, których używała. Ty jesteś tu teraz ze mną, w jednym łóżku, ty moja najpiękniejsza. Muskam twoją jędrną, czystą, jedwabistą skórę, leżę pod twoją kołdrą, grzeję się ciepłem twego ciała. Twoje długie nogi, długa szyja, niewielka głowa.

Przekręcasz się na wznak, jak żona do męża, przyciągasz mnie, żebym legł na tobie, żebyśmy się połączyli, żeby... Pozwól mi wywołać cię w pamięci taką, jaką na zawsze powinnaś w niej zostać. Dodawałem sam sobie otuchy, jak człowiek zaskoczony i odcięty nocnym pożarem od rychłej pomocy. Dostawałem kręcka.

Wreszcie zasnąłem i nie przypominam sobie, abym coś śnił.

Obudziłem się na dużo przed świtem. Dusił mnie jarzmo wspomnień. Miałem wyrzuty, czułem do siebie wstręt i pogardę. Ale coś się we mnie przetasowało, a w mózgu niespokojna, bezpłodna i bezkształtna kotłowanina myśli zaczęła się układać w rozumny punkt widzenia. Pewna nawracająca myśl, jak gdyby zrodzona podczas snu, prześladowała mnie. Postanowiłem, zerwać z przeszłością, natychmiast, już, zaraz, tak, jak zrobiła to spontanicznie Honoratka wobec swojej partnerki i rozpocząć nowe życie, tak, jak tego ode mnie oczekiwała.

Miałem jednak przed tym pomścić ją i dziecko. Ta myśl mnie opętała i zniewoliła. O paradoksie, dodała sił! Nieznajomy, telefoniczny szantażysta milczał. Wychodziłem jedynie na krótko z psem i robiłem zakupy. Inspektor Koźlak upewnił mnie, że mam obstawę. W moim przekonaniu chroniła mnie bezpośrednio Sonia. Dlatego prowadziłem ją bez kagańca. Któregoś dnia poczułem nosem, że nieopodal mnie, po raz trzeci z rzędu, kręci się ten sam mężczyzna. Był zbyt daleko, bym mógł się mu przyjrzeć. Wciąż jeszcze nie miałem okularów ze zmienną optyką. Nie uciekłem do domu. Nie zależało mi, szukałem konfrontacji, bez względu na cenę chciałem bandytów wystawić policji.

Sonia szarpnęła i stanęła na tylne łapy. Spojrzałem za siebie. Widziałem jak przez mgłę. Ktoś biegł, a ktoś inny usiłował mu w tym przeszkodzić. Ktoś runął na ziemię, zabrzączało żelastwo, a ten drugi stanął tuż obok mnie. Ten sam zapach. Nareszcie widziałem jego twarz. Byłem bezbronny.

– Strzelaj, bydlaku! – krzyknąłem.

– Niech pan uspokoi psa, bo mi przegryzie rękę – usłyszałem nienawistny głos z telefonu. – Bandytów już ujęto. Myślę, że nie da mnie pan wsadzić. Być może uratowałem w ostatniej chwili pańskie życie.

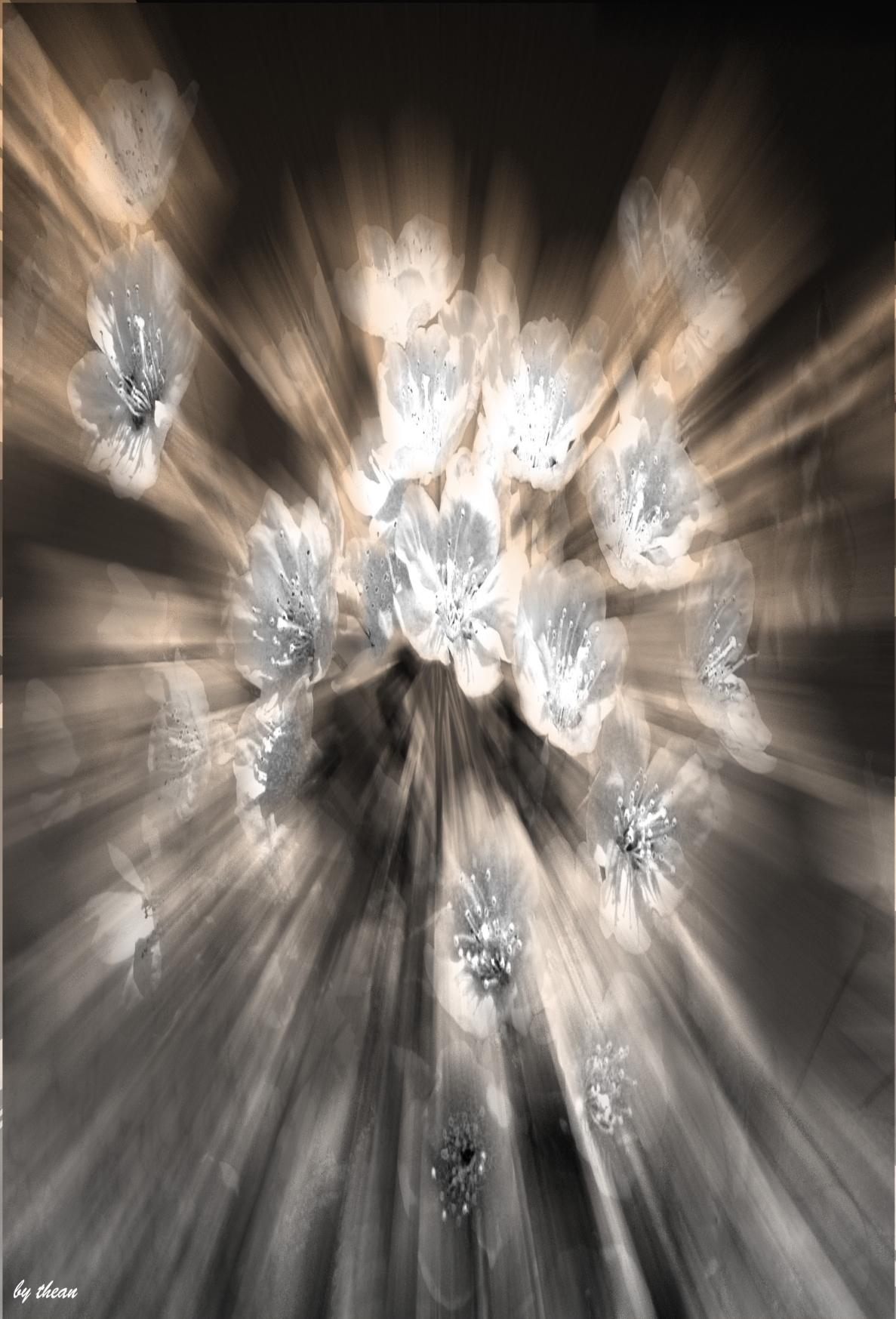
– Kim pan jest? – krzyknąłem, nie wierząc własnym uszom.

– Zazdrosnym mężem jednej z pańskich klientek – usłyszałem w odpowiedzi.

– Sonia, puść! – upomniałem psa trzymającego wciąż w pysku rękaw nieznajomego.

– Dziękuję – powiedział do nieznajomego inspektor Koźlak. – Bardzo pan pomógł. Mamy czterech. Zamelduję o tym nadinspektorowi. Czy panowie się znają? – spytał od niechcienia.

– Nie – zaprzeczyłem. – Dziękowałem temu panu za pomoc. W tydzień później stałem na peronie dworca kolejowego z dwoma walizkami i Sonią u nóg. Jej pobyt był wpisany w warunki trzyletniego kontraktu, który zawarłem z bardzo znaną w świecie firmą kosmetyczną pod Paryżem.



by thean

